

RELINSKI IGRA

>60

PRZE KROJ z GWIAZDAMI

TWOJE GENY
KRADNA
BIOPIRACI >38

NIETEATR
LUPY >46

PILCH >74
O JARUZELSKIM



ISSN 371424



9 770033 1248007

RZEKROJ.PL

XXI ZIMOWE IGRZYSKA OLIMPIJSKIE VANCOUVER 2010



W DRODZE DO VANCOUVER WSPIERAJĄ NAS:

SPONSOR GENERALNY

SPONSORZY POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

OFICJALNI PARTNERZY

LOTTO



Generalny Sponsor Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej



Poczta Polska



NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU O KIM NIE PISZEMY...

...o **Andrzeju Olechowskim** i jego problemach z arytmetyką. Na spotkaniu z wyborcami kandydat na najwyższy urząd w państwie pomylił się, bagatela, o półtora miliona. Według niego w Polsce jest ledwie 500 tysięcy bezrobotnych. Panie Andrzeju, może łatwiej będzie policzyć bezrobotnych kandydatów na prezydenta?

...o **Marcinie Rosole**, byłym szefie gabinetu politycznego ministra sportu, który swoje usługi dla rodziny Sobiesiaków określił jako „pomoc obywatelska”. Od dziś ten, kto nieźle zalewa, może śmiało mówić, że zalewa Rosolem.

...o **Ryszardzie Sobiesiak** nie piszemy po raz kolejny. Tym razem dlatego, że zamiast królem okazał się posłańcem branży hazardowej. Napiszemy dopiero wtedy, jak już okaże się trefnieniem.

...o **biathlonistce Weronice Nowakowskiej**. W Vancouver otarła się o złoto, choć na metę przybiegła piąta, bo – niestety – źle strzeliła. Z pewnością dlatego, że za dużo rozmawiała z karabinami, które nazywała Zbyszek i Rysiek. Wiadomo – strzelanie to hazard. A skoro tak, to może trzeba było jeszcze pogadać z Mirkiem?

...o występach **Ich Troje**. Też w Vancouver. Wystąpiła tam rodzina Ligońskich (Paulina, Michał, Mateusz) i wszyscy solidarnie powywracali się podczas snowboardowych startów. Nie taniej było powywracać się w kraju?

...o **Anicie Gargas** i jej odwołaniu z TVP w odwecie za (e)Misję Specjalną filmu „Towarzysz Generał” o Wojciechu Jaruzelskim. Odwetowcami okazali się przedstawiciele lewicowej części układu SLD-PiS, który trzęsie mediami publicznymi. A nie piszemy o pani Gargas tylko dlatego, żeby w tej rubryce poprawić parytet. – ju

PRZEKROJ

6 | Świat według „Przekroju”
Katarzyna Janowska

8 | Kawa bez cukru Bogdana Rymanowskiego

10 | Krótko

KRAJ I ŚWIAT

12 | Gdzie najłatwiej stracić dziecko? W Norwegii. Ostrowskim odebrano córkę. Przeczytaj, jak do tego doszło

16 | Somalia staje się drugim Afganistanem. Przez USA

20 | Chiny biorą wszystko. Reszta świata się przygląda

22 | Kolekcjonerzy, rzecz o bombowym hobby Polaków

SYLWETKA

26 | Najsztub pyta Miszczaka o telewizję przyszłości

30 | Doktor Judym żyje. Teraz szkoli naszych olimpijczyków

34 | Kłapa Gordona Browna. A chciał tylko zrobić dobre wrażenie

36 | Teczki i Skok w bok Olgi Woźniak

CYWILIZACJA

38 | Biopiraci czyhają na twoje geny

42 | Wszyscy święci świata nauki

45 | Też pytanie!

KULTURA

46 | Teatr: Jeden spektakl, dwie osoby. Szczepkowska vs Lupa

50 | Muzyka: Z czipem do Chopina

52 | Książki: Mocne wejście młodej poetki

53 | Sztuka: Nyczek o głupiej Dorce od świętych obrazków

54 | Film: Zalatany Clooney jak zawsze uwodzicielski

56 | Muzyka: Ten krem nie jest dla wszystkich. Debiut duetu Niwea

60 | Lektura: Janowska rozmawia z Trelińskim

OTWÓRZ OCZY

64 | Alexander McQueen – nie zaprojektuje kolejnej kolekcji

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

49 | Czwarta strona kultury Bartka Chacińskiego

70 | Rozmaitości z krzyżówką, jolką i felietonami

73 | Stopklatka

74 | Dziennik Jerzego Pilcha

8, 70, 72 | Raczkowski

LAST MINUTE

+ Krzysztof Płyta +

Wyspiański o parytetach:
Cóż tam, Panie w polityce?

Do tekstu „Chory biznes na chorych dzieciach” („Przekrój”, nr 5/2010)

KOMENTARZE INTERNAUTÓW

Krytyka krytyki

Czemu to ma służyć? Ten artykuł? Powinien nosić tytuł „W uproszczeniu i w krzywym zwierciadle”. (...) Nie ma leków na pewne schorzenia, te, które są, nie na wszystkich działają z równą skutecznością, podobnie z metodami terapii – nie ma doskonałej, ale trzeba próbować, łączyć, być czujnym i przytomnym! (...) Szkoda, że artykuł mało obiektywny, można było przecież dla przeciwwagi poszukać rodziców zadowolonych... nie ma takich?

– zainteresowana

W sprawie pseudonaukowości

Jestem ojcem 10-letniego dziecka cierpiącego na porażenie mózgowe. Piszę w reakcji na skandaliczny moim zdaniem (funkcjami mózgu zajmowałem się w moim doktoracie na UJ) artykuł „Chory biznes na chorych dzieciach”. Uważam, że brak szerszej konsultacji ze środowiskiem akademickim publikacji, w której padają określenia typu „hieny”, jest raziącym przykładem braku profesjonalizmu autorki (...). Znam osobiście wielu psychologów nie mniej utytułowanych niż Tomasz Witkowski, którzy mają zupełnie odmienne zdanie na temat neurofizjologicznych metod rehabilitacji. Jeśli chodzi o badania naukowe, służę wyciągami z badań japońskich, niemieckich bądź czeskich ośrodków naukowych. (...) Polecam serdecznie książkę dr n. med. Grażyny Banaszek, w której znajdują Państwo cały szereg badań na temat metody Vojty. Ta znakomita neurolog dziecięca otrzymała doktorat z pseudonauki?

– Toledot

Brak rozwiązań systemowych

Jestem lekarzem, zajmuję się dziećmi z MPD w Warszawie i zgadzam się całkowicie z treścią artykułu. Rodzice dzieci często rezygnują z terapii opartej na nowoczesnej wiedzy me-

dycznej na rzecz wątpliwych metod w prywatnych gabinetach. (...) Uważam, że rodziny dzieci niepełnosprawnych mają prawo do normalnego życia i powinny być ośrodki, gdzie dzieci miałyby odpowiednią rehabilitację, a rodzice mogliby pracować i żyć. W Warszawie powstaje przedszkole kierowanego nauczania przy szkole przy ul. Radomskiej. Państwo – zamiast popierać prywatne gabinety – powinno promować rozwiązania systemowe, oparte na współczesnej wiedzy.

– Bożena Wadołowska

Tylko tak dalej

Zgadzam się w całej rozciągłości z treściami, które zawarła Pani w swoim artykule. Uważam ponadto, że w Polsce bardzo dobrze się mają (może za dobrze) metody terapii dzieci – te same, które w innych krajach nie mają prawa bytu. Zgadzam się również z jedną z moich przedmówczyń, że należy wypracować standardy postępowania i systemowe rozwiązania dla niepełnosprawnych dzieci. Cieszę się również, że miała Pani odwagę podjąć ten trudny i drażliwy temat i może – chociażby takie działania, skierują wzrok niektórych środowisk na pilną potrzebę wypracowania zmian.

– Piotr



Odpowiedź autorki

To prawda, nie ma terapii doskonałych. Są jednak te, które zostały zwerifikowane naukowo, poddane próbom klinicznym, i te, które tylko takie udają. Założeniem mojego artykułu nie było umniejszanie wagi rehabilitacji dzieci niepełnosprawnych, ale ukazanie, że wiele popularnych w Polsce metod nie zostało popartych odpowiednimi badaniami. Dotyczy to, niestety, w równym stopniu zarówno chińskich baniek, jak i terapii stosowanych w najpoważniejszych klinikach i refundowanych przez państwo. Doskonale zdają sobie z tego sprawę polskie towarzystwa naukowe, jak też wielu lekarzy i rehabilitantów. I milczą, nie palą się do publicznej dyskusji, do zajęcia stanowiska w kwestiach, od których może zależeć życie i zdrowie dzieci. W przeciwieństwie na przykład do części niemieckich lekarzy, którzy kilka lat temu wyraźnie i głośno zdystansowali się od metody Vojty. Nie tylko dlatego, że podczas rehabilitacji tą metodą zmarło niemowlę. Także dlatego, że uznali, iż nie można ufać terapii, która opiera się na niezwerifikowanej współczesnie wiedzy sprzed kilkudziesięciu lat. Z tych samych powodów naukowcy w wielu krajach: w USA, Australii, Wielkiej Brytanii, Francji,

dystansują się od innych metod uważanych za nieprzebadane lub nieskuteczne. Organizują kongresy, konferencje, wydają publikacje na temat metody Domana-Delacato, terapii Dennisona i SI. To prawda, wyniki ich żmudnych badań i ustaleń są dostępne w Internecie, więc rzeczywiście czasem jest to wiedza internetowa.

W polskim Internecie polskich krytycznych badań na temat terapii wykorzystywanych w leczeniu chorych dzieci jednak nie uświadczymy. Uświadczymy za to mnóstwo stron i publikacji reklamujących „uznane” metody, w większości importowane z Zachodu. Owszem, zdarza się raz na jakiś czas, że jakiś naukowiec z uniwersytetu zauważy, że jego zachodni koledzy po kolejnych badaniach, na podstawie nowych odkryć, zmienili zdanie. Ale to wyjątki. Dopóki więc polscy akademicy nie wypowiedzą się jednoznacznie na temat konieczności stałej weryfikacji „uznanych” metod leczenia, jak też wprowadzenia standardów w rehabilitacji, dopóki nie zaczną – również w swoim przesiąkniętym pseudonauką środowisku – rekomendować tych metod, które są oparte na mocnych dowodach naukowych, dopóty rodzice chorych dzieci będą ufać szarlatanom, a nie dziennikarzom.

Anna Szulc

Nie ludzę się

Jestem mamą 11-letniego chłopca z zespołem Aspergera i orzeczeniem o niepełnosprawności i doskonale wiem, jak wygląda w Polsce życie rodziców dzieci z autyzmem, nie mówiąc o samych dzieciach. Dziękuję szczególnie za to, że chyba po raz pierwszy w mediach pokazano w tak wyraźny sposób, że nasze państwo kompletnie lekceważy dzieci niepełnosprawne. (...) Teraz rozumiem, dlaczego mój syn jest spychany na margines życia społecznego. (...) Nie ludzę się, że coś w najbliższej przyszłości się zmieni, że powstaną jakieś rozwiązania systemowe, które zapewnią mojemu synowi odpowiednią rehabilitację, że w razie karygodnego naruszania praw mojego dziecka znajdzie się w tym państwie chociaż jeden organ z mocą sprawczą, do którego będę mogła zwrócić się o pomoc czy interwencję.

AG.

Jak z Internetu

To, co Pani łącznie z Panem Tomaszem wypisała, nie ma żadnych podstaw naukowych ani klinicznych, a wręcz przeciwnie. Wasza wiedza na temat terapii brzmi jak wyczytana na stronach internetowych.

Anonim

Potwierdzone badaniami

Jestem lekarzem pediatrą, specjalistą rehabilitacji medycznej. (...) Dyskredytuje Pani nie ludzi, którzy nieprawidłowo kwalifikują pacjentów do terapii, ale same terapie, wrzucając do jednego worka leczenie chińskimi baniek, homeopatię, terapię integracji sensorycznej i metodę Vojty. Myślę, że zdaje sobie Pani sprawę, że w ten sposób uderza nie tylko w terapeutów i lekarzy, ale przede wszystkim w rodziców i dzieci niepełnosprawne, z których wiele pracuje wymienionymi przez Panią metodami (bo wbrew temu, co Pani napisała, niektóre z nich, np. metoda Vojty, są potwierdzone badaniami naukowymi). (...)

Maria Niewollik

„Człowiek jest wielki nie przez to, co posiada, lecz przez to, kim jest; nie przez to, co ma, lecz przez to, czym dzieli się z innymi”
Jan Paweł II



fundacja Pramerica



Pomóż nam dokonać zmian!

Przeznacz 1% podatku

Fundacja Pramerica szczególną opieką otacza dzieci i młodzież z domów dziecka. Jesteśmy po to, by dzięki edukacji, pomocy i wsparciu materialnemu zapewnić naszym podopiecznym równe szanse i właściwy start życiowy oraz promować szlachetną ideę wolontariatu.

Jak przekazać 1% podatku dla Fundacji Pramerica

Wystarczy wypełnić standardowy formularz rocznego zeznania podatkowego (PIT), a w nim rubrykę „Wniosek o przekazanie 1% podatku”. Należy wypełnić trzy pola:

- pełna nazwa fundacji: Fundacja Pramerica
- numer wpisu do KRS: 0000335750
- wpisać obliczoną równowartość 1% podatku należnego

Wspomóc naszą fundację można także poprzez stałe, np. comiesięczne wpłaty. Wystarczy złożyć w swoim banku stałe zlecenie przelewu określonej kwoty na rachunek fundacji.

Konto bankowe:

Bank Handlowy S.A. 22 1020 1508 0000 0000 0101 1001





Uśmiech Kapuścińskiego

Kim był autor „Cesarza”? Czego możemy dowiedzieć się z biografii autorstwa jego ucznia?

KATARZYNA JANOWSKA – REDAKTOR NACZELNA

MIEJSCE AKCJI: MUZEUM KOMUNIKACJI W KRAKOWIE. GRUDZIEŃ '97. Nagranie programu z Ryszardem Kapuścińskim w cyklu „Rozmowy na koniec wieku”. Bohater uśmiechnięty, w garniturze, spokojnie czeka na pierwsze pytanie. Ale oświetlaczowi pali się lampa, dźwiękowcowi coś się smaży, pada transformator. Ekipa chaotycznie kręci się na planie. Czas płynie. W pewnym momencie reporterowi uśmiech znika z twarzy. – Zaczynamy albo wychodzę – mówi zdecydowanym głosem. Twarz ma napiętą. Wiemy, że to robi.

W ułamku sekundy zobaczyłam mocnego mężczyznę, który przez pół wieku pchał się w miejsca konfliktów na całym świecie; opisywał, co udało mu się zobaczyć, i szczęśliwie wracał. Wychodził z opresji zdrowotnych i politycznych.

Miejsce akcji: Warszawa. Niedawno minęła trzecia rocznica śmierci Ryszarda Kapuścińskiego. Czytam 600-stronicową biografię reportera autorstwa jego ucznia Artura Domosławskiego.

Zaczyna się od fragmentu o uśmiechu:

„Przed wszystkim rzuca się w oczy uśmiech. Zawsze uśmiech, wszędzie uśmiech. Jakby ta twarz nigdy nie była smutna, zmartwiona, wściekła... Ile razy słyszałam, że z podobnym uśmiechem, wylewnością witał przyjaciela, którego znał od pół wieku, znajomą, którą widywał od czasu do czasu, redaktora, z którym się trzeba było układać, i nieznajomą studentkę, która przychodziła pokazać pracę o jego twórczości... – Uśmiech, o którym pan mówi, był maską, która z upływem lat stała się jego naturą – mówi stara przyjaciółka, a znała go naprawdę dobrze...”

Gdy ktoś ma taki sam uśmiech dla wszystkich, to nie może być sama życzliwość. Musi w tym być coś jeszcze – twierdzi Domosławski i próbuje rozgryźć tajemnicę swojego mistrza.

Tropi miejsca, w których reporter mistyfikuje swoje dzieciństwo. Okazuje się, że nie żył w takiej biedzie, jak lubił wspominać. Ojciec nie uciekł z transportu do Katynia, ale tę wersję, jak wynika z książki, pisarz wymyślił, bo lepiej brzmiała po '89 roku. Autor biografii wyłapuje sytuacje, w których Kapuściński podkoloryzował swoje reportaże. Pisał na przykład, że pod koniec lat 50. w Kongu omal nie rozstrzelał go belgijscy żołnierze. A tymczasem bardziej od niego wówczas objeżdżony po Afryce dziennikarz czeski, świadek wydarzenia, twierdził, że takiego zagrożenia nie było. Opisuje trudne relacje pisarza z córką, pozamażeńskie związki. Idzie za prawdą, tak jak dziennikarz robić powinien, daleką od pomnikowej wersji biografii.

Miejsce akcji: dom Ryszarda Kapuścińskiego. Pół roku po jego śmierci. Rozmawiam z Alicją Kapuścińską. Cieszy się, że Artur Domosławski, ulubiony uczeń jej męża, napisze książkę o recepcji jego twórczości za granicą.

Parę miesięcy temu dowiaduję się, że szykuje się skandal w związku z książką Domosławskiego, bo nie będzie o twórczości Kapuściń-

skiego, ale o nim samym. Wydawnictwo Znak nie zdecydowało się jej wydać, a wdowa czuje się oszukana, bo Domosławski wziął od niej kontakty i błogosławieństwo, które otworzyło mu drzwi do domów przyjaciół Kapuścińskiego, a potem poszedł swoją ścieżką.

Alicja Kapuścińska składa pozew do sądu, w którym domaga się zakazu rozpowszechniania książki. Z komentarzami wstrzymuje się do rozpatrzenia sprawy przez sąd.

Nam powiedziała: „W związku z książką Artura Domosławskiego, o której już jest głośno w mediach, mogę powiedzieć, że dla mnie jest ona czymś ogromnie bolesnym. Narusza dobre imię mojego męża i moje dobra osobiste, a także kult pamięci zmarłej najbliższej mi osoby. To spowodowało moją decyzję o wystąpienie na drogę sądową”.

W pozwie Alicja Kapuścińska powołuje się między innymi na orzecznictwo europejskie, w którym dobra osobiste przedkłada się nad wolność słowa. Wdowa po piarszu czeka na decyzję sądu.

Paweł Szwed, ze Świata Książki, wydawca biografii, mówi że są w niej kontrowersyjne fragmenty, ale dyskusja na ten temat na pewno nie powinna się odbywać w sądzie.

Przeczytałam biografię autorstwa Domosławskiego „Kapuściński non-fiction”, momentami fascynującą, momentami krzyczącą o skróty. Dużo się z niej dowiedziałam o Ryszardzie Kapuścińskim reporterze, człowieku, mężczyźnie. Ale zanim wzięłam ją do ręki, wiedziałam, że pod jej wpływem nie zmienię zdania o jej bohaterze, bo go znałam; bo mogę sama zinterpretować znaczenie jego uśmiechu; bo po nikim nie spodziewam się, że jest kryształowy; bo wiem, że Kapuściński pisał reportaże literackie, w których świat skraplał w opowieści, dlatego fakt, że trawa miała metr, a nie dwa, albo że dro-

ga była prosta, a nie – jak opisywał – wyboista, nie ma według mnie większego znaczenia. Nie miałam też nigdy wątpliwości, że skoro od lat 50. jeździł jako polski dziennikarz po całym świecie, musiał prowadzić grę z władzą. Nie mówić otwarcie „nie”, bo stawiać był paszport, a co za tym idzie – możliwość oglądania świata.

A mimo to udało mu się zachować ów słynny uśmiech, delikatność człowieka, który przeszedłszy przez poszarpany ideologiami wiek XX, nie zaraził się cynizmem.

Pytanie tylko, jakiego Kapuścińskiego zobaczy na podstawie tej biografii ktoś, kto się nigdy z nim nie zetknął, albo ktoś z pokolenia, które nie będzie potrafiło zrozumieć PRL-owskich uwikłań?

Domosławski chciał być weryny prawdzie, która wyłaniała się w trakcie jego pracy. Taki jest obowiązek dziennikarza i tego nie sposób mu odmówić. Odbył dziesiątki rozmów, podróży, sprawdzał fakty, szukał, tropił. Chwilami bywa zbyt emocjonalny, nadinterpretuje sytuacje i wydarzenia. Można by powiedzieć, że u niego trawa też czasem ma dwa metry, ale stara się opinie negatywne równoważyć pozytywnymi. Porusza się na ogół wśród ludzi życzliwych Kapuścińskiemu, którzy dodatkowo otwierają się przed nim, bo wiedzą, że pisarz darzył go przyjaźnią.

I tu pojawiają się pytania: na co biograf może sobie pozwolić? Czy istnieje granica, której nie powinien przekraczać? Czy uczeń, przyjaciel, ale zarazem dziennikarz ma zobowiązania wobec pamięci swego mentora? Czy wszystko jest na sprzedaż, także wątki intymne, które niewiele wnoszą do obrazu bohatera, a ranią jego najbliższych? Czy taka biografia nie powinna się ukazać za życia portretowanego albo przeciwnie – dłuższy czas po jego śmierci?

Na te pytania warto sobie odpowiedzieć.

MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH



W marcowym numerze SUKCESU w prezencie dla Ciebie próbka najnowszego zapachu Dsquared SHE WOOD dla niej



SZUKAJ SUKCESU Z ZAPACHEM

PRZEKROJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Elie
Olga Woźniak (szef), Milena Rachid Chehab, Piotr Stanisławski; stale współpracują: Irena Cieślinska, Piotr Kossobudzki
ADRES REDAKCJI: UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA. TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL. E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNA: Katarzyna Janowska **ZASTĘPCY REDAKTOR NACZELNEJ:** Juliusz Urbanowicz, Marek Zajac **DYREKTOR ARTYSTYCZNY:** Anna Myśluk **SEKRETARZE REDAKCJI:** Magda Gędziorowska, Piotr Witk
SEKRETARIAT: Karolina Lajkowska, tel. 22 525 99 33 **KULTURA:** kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowa (szef), Marcin Sendek (zastępca szefa), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak; stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski **KRAJ:** kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Wierczok (redaktorzy), Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawlicka, Igor Ryciak, Anna Szulc; stale współpracują: Piotr Najsztub, Bogdan Rymanowski **ZAGRANICA:** zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (redaktor), Maciej Jarkowicz, Joanna Woźniczko – Czeczott **CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl
PRACOWNIA GRAFICZNA: Władysław Buchner (wicedyr. art.), Małgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski **FOTOTELEC:** foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Anna Bajorek, Bogdan Kręzel, Marek Szczepański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolik, Marcin Żegarek **PROJEKT GRAFICZNY:** Marek Knap **STRONA INTERNETOWA:** Marcin Cichoński i Bartek Chaciński **KOREKTA:** Dorota Dul, Tatiana Hardej
REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor **ARCHIWUM:** Dominika Bok **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Absolut Meat

WYDAWCA: WYDAWNICTWO PRZEKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA. TEL. 22 525 99 55, FAKS 22 525 99 88
PREZES WYDAWNICTWA: Cezary Hajdardowicz **DYREKTOR WYDAWNICZY:** Barbara Stanisławczyk **PROMOCJA I MARKETING:** promocja@przekroj.pl, Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski
BIURO REKLAMY „PRZEKROJ”: reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Małgorzata Skorupa tel. 22 525 99 16, Elżbieta Smoleń tel. 22 525 99 50, Beata Drogowska tel. 22 525 99 51, Eliza Zyrońska tel. 22 525 99 52, Izabella Cieniszek tel. 22 525 99 15 **DYREKTOR DYSTRYBUCJI:** Elżbieta Maciążek **DRUK:** RR Donnelley **PRENUMERATA:** PRZEZ
WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-696 Warszawa, Deutsche Bank Polska SA oddział w Warszawie nr: 34 1880 0009 0000 0011 0112 4002 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69 **PRZEZ RUCH SA** – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

KAWA BEZ CUKRU

Demony przedwyborczej wojny

W tej grze nie ma miejsca dla świętych, za to na wyrównanie rachunków – jak najbardziej

Bogdan Rymanowski, TVN

PAMIĘTAJĄ PAŃSTWO TĘ SŁYNNĄ ROZMOWĘ ALEKSANDRA Gudzwatego z Józefem Oleksym? Do ich wspólnego obiadu doszło 14 września 2006 roku w rezydencji gazowego magnata. Wtedy to były premier tak dobrze się poczuł i tak sobie pofolgował, że przeprosin nie było później końca.

Kogóż on w tej nagranej po kryjomu rozmowie nie skomplementował? Ileż to jego błyskotliwych uwag z trzygodzinnej pogawędki na dobre zadamowiło się w naszym słowniku? Józef Oleksy był ostry jak brzytwa, nie więc dziwnego, że zranił wielu swoich kolegów.

O Aleksandrze Kwaśniewskim mówił, że Oluś to mały krętać, który nie dość, że nosi drogie zegarki, to jeszcze nie jest w stanie rozliczyć się z majątkiem. O Wojciechu Olejniku wyrażał się per „narcyz”, który chce być liderem europejskiej lewicy, a w żadnym języku słowa nie umie powiedzieć. Jerzego Szmajdzińskiego, obecnego kandydata SLD na prezydenta, nazwał „bucem nadętym”.

Po czterech latach ta sprawa to już niemal prehistoryczny spór zakończony wielkim pojednaniem. Jowialny Józef dokonał publicznej ekspiacji, a Olek, Wojtek i Jurek dobronudnie – choć pewnie też na potrzeby mediów – wszystkie „zbrodnie” mu wybaczyli. Po co tę historię przypominam? Z jednej ważnej przyczyny. Bo choć lata leżą, a życie jest dynamiczne, to są w polityce rzeczy, które się nigdy nie zmieniają.

Zamiast o zaletach kolegów politycy wciąż bardziej wola mówić o ich przywarach. Wystarczy pogadać z nimi nieoficjalnie i bez mikrofonu, aby się przekonać, że nie przebiegają w słowach, a partyjnych towarzyszy traktują często dużo gorzej niż politycznych przeciwników. Potrafią schłostać ich niemiłosiernie, wypominając błędy, dziwaczne upodobania i słabości charakteru.

Dotyka to wszystkich partii bez wyjątku. Teraz najmocniej Platformę Obywatelską. Prawybyry obudziły w niej demony. Dopóki kandydatem był Tusk, wycieczki osobiste były rzadkością, a poziom napięcia umiarkowany. Bardzo dużo się zmieniło z chwilą, gdy do walki o prezydenturę ruszyli Komorowski z Sikorskim.

Dla nich to gra o wszystko. Taka okazja może się przecież nie powtórzyć. Jeszcze starają się być eleganci, jeszcze powstrzymują się z atakiem na przeciwnika, chwalebnie raczej samych siebie. Ale wkrótce może między nimi poważnie zaiskrzyć. To tylko kwestia czasu.

Nie marnują go za to ich zagończycy. Operują w wielkiej konfidencji, tu i tam rozpuszczając informacje na temat konkurenta. W nadziei, że pikantne historie, o których opowiadają, zostaną prześwietlone przez dziennikarzy. W obieg są już anegdota i krytyczne recenzje. Od niektórych aż uszy wiodną.

Komorowski? Proszę bardzo. „Taki z niego konserwatywa jak z koziej d... trąbka”. „Nie radzi sobie jako marszałek, wystarczy spojrzeć na cały ten bajzel na terenie Sejmu. W swej administracji toleruje szemrane postaci”. „Jest takim dziaduniem, którego zaspokoi rola przecinacza

wstęg wyznaczona przez Tuska”. „Z racji na swoje lenistwo nie będzie mu się chciało tworzyć drugiego – przeciwnego wobec premiera – ośrodka władzy”.

Sikorski? Bardzo proszę. „To egotyczny buc, który potrafi być wulgarny”. „On właściwie nie ma poglądów”. „Nie zdziwię się, jeśli następnego dnia po wyborach zapomni o tych, którzy go w kampanii wspierali”. „Świadomie nie buduje zespołu, bo liczy, że Tusk postawi na wolnego strzelca – w obawie przed tworzącym się triumwiratem Komorowski-Schetyna-Palikota”.

Nie są to, broń Boże, konfabulacje. Żeby było zabawniej, tak źle o Komorowskim i Sikorskim wyrażają się... ich zwolennicy! Wydaje się to nieprawdopodobne, ale jest prawdziwe. Politycy nie są naiwni, wiedzą, że w tej dyscyplinie sportu nie ma świętych. Zdają sobie sprawę z ułomności kandydata, którego wspierają. Dlaczego to robią? To proste. W ten sposób wyrównują rachunki z jego rywalem. Dlaczego nigdy nie potwierdzą tego publicznie? Tutaj po odpowiedź najlepiej udać się do Ottona von Bismarcka. Niemiecki kanclerz zwykł mawiać, że „nigdy się tyle nie kłamie jak przed wyborami, w czasie wojny lub po polowaniu”.

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



Dopóki kandydatem PO na prezydenta był Tusk, wzajemne wycieczki osobiste w tej partii były rzadkością. Dużo się zmieniło, gdy do walki ruszyli Komorowski z Sikorskim

PRZE KROJ

WYDARZENIA SYLWE

NAJPOPULARNIEJSZE NA PRZEKROJ.PL



1 KOLEŻEŃSKI UKŁAD Z SEKSEM

AGATA JANKOWSKA

Regularny seks, zero zobowiązań i zakaz mieszania w to uczucie. Kto złamie zasady układu *fuck friends*, wypada z gry. I z łóżka

2 77 RZECZY, DLA KTÓRYCH WARTO ŻYĆ W 2010 ROKU

Myślicie, że 2010 rok będzie taki sam jak poprzednie lata? To macie trochę racji, bo na pewno – jak poprzednie lata – będzie wyjątkowy. Nie wiemy o nim wszystkiego, ale już to, co wiemy, wystarczy, żeby szczerze go wam polecić

3 OSTATNIA DOBA SAMOBYJCY

MILENA RACHID CHEHAB

Zanim skończysz czytać ten tekst, na świecie osiem osób popełni samobójstwo. Co się z nimi działo przez ostatnie 24 godziny?

4 AGENT PRAWIE PROROK

SYLWIA PIECHOWSKA

Kiedyś był zwykłym cherlakiem, potem menedżerem znanej grupy rockowej, później pomógł anulować biednym krajom milionowe długi. Dziś Aaron Cohen tropi tych, którzy wykorzystują niewolników. I pomyśleć, że gdyby nie jeden przypadkowy telefon, byłby zwykłym narkomanem

5 „PARNASSUS” – OPOWIEŚĆ NAPRAWDĘ NIESAMOWITA

OLA SALWA

„Parnassus”: Gdy Terry Gilliam narzeka na współczesny świat, widzowie świetnie się bawią

KRÓTKO

PADA DESZCZ

Wycieli ham z hamburgera

Protesty przeciw islamizacji kanapki

W LOKALACH FRANCUSKIEGO fast foodu Quick pojawiły się hamburgery halal, czyli szykowane według zasad islamskiego prawa. W 8 z 350 punktów – w rejonach, gdzie mieszka wielu muzułmanów – firma zastąpiła bekon wędzonym indykiem. Część polityków i środowiska katolickie protestują, twierdząc, że Quick sprzyja islamizacji kraju. Według nich lokale halal dyskryminują niemuzułmanów, bo nie ma w nich menu z wieprzowiną. Lionnel Lucca, poseł prawicowej partii Unia na rzecz Ruchu Ludowego, wezwał do bojkotu sieciówki. – *syl*

Post bez emisji

Ekowyrzeczenia świadectwem wiary

PODZAS POSTU OGRA- niczcie emisję dwutlenku węgla – wzywają wierzni anglikańscy biskupi. Przekonują, że można spędzić dzień bez iPod'a, zmywarki, kolacji zjeść przy świecach lub rzadziej spuszczać wodę w toalecie – codzienne inne ekowyrzeczenie przez 40 dni. Według biskupa Londynu Richarda Chartresa mieszkańcy najbardziej cierpią z powodu zmiany klimatu, choć najmniej się do niej przyczyniają. Dlatego ci zamożni przez „węglowy post” pomogą biednym, a to spodoba się Bogu. – *syl*

Wystawiła prezydenta

Kochanka sprzedaje listy Kennedy'ego

NA LEGENDARYAUCTIONS.COM 11 odręcznie pisanych przez Johna F. Kennedy'ego listów wystawiła Szwedka Gunilla von Post. Przyszedł prezydent USA poznał kobietę w Paryżu w 1953 roku, miesiąc przed ślubem z Jacqueline Lee Bouvier. Romans trwał dwa lata. W ostatnim liście napisał: „Moja żona i siostra przyjeżdżają dziś. (...) To takie skomplikowane. (...) Patrzę w morze i myślę tylko o Tobie. Kocham, Jack”. Aukcja potrwa jeszcze dwa tygodnie. W chwili zamykania

tego numeru cena listów osiągnęła 42,5 tysiąca dolarów.

– *mac*



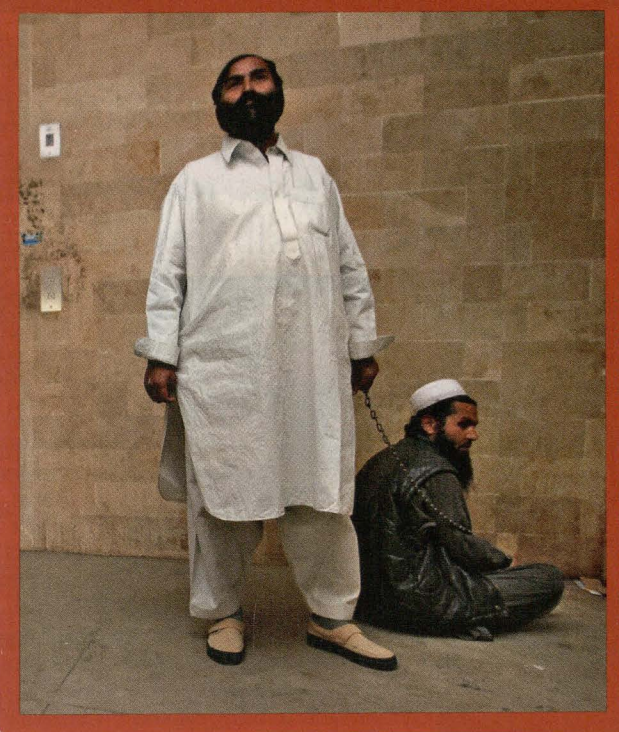
100 000 i rośnie

W Polsce też kupują muzykę w sieci

A JEDNAK MOŻNA – CHOĆ wiele firm zarzeka się, że w Polsce nie uda się sprzedawać muzyki w Internecie (pozdrawiamy Apple), to Polkomtelowi jakoś to wychodzi. Jego Muzodajnia.pl ma już sto tysięcy użytkowników i najwyraźniej świetnie się miewa, bo obejmuje patronatem wydania kolejnych płyt i duże wydarzenia muzyczne w Polsce. Życzymy powodzenia i silnej konkurencji. – *dd*

muzodajnia.pl

Z FRONTU



Instruktor męczennik

Pakistański policjant w cywilu i pakistański talib w kajdanach. Ten drugi to Abu Waqas. Władze w Islamabadzie twierdzą, że wyszkolił 270 nastolatków, które miały dokonywać zamachów samobójczych. To kolejny schwytany w ostatnich dniach ważny talib. Wcześniej Pakistańczycy z Amerykanami zatrzymali najbliższego współpracownika mułły Omara – Abdula Ghaniego Baradara. – *raf*

UCZELNIE KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

Trzymaj żaka daleko od puli

Studentów trzeba pozbawić wpływu na rozdzielanie stypendiów – używa rzecznik praw... studenta

NALEŻY ZLIKWIDOWAĆ STYPENDIA SOCJALNE, a te naukowe przyznawać według z góry ustalonych reguł. Komisje stypendialne nie byłyby wtedy potrzebne – ocenia Robert Pawłowski, rzecznik praw studenta. Rewolucyjne wnioski wyciągnął ze swego raportu, gdy przeanalizował uczelniane regulaminy pomocy materialnej.

Rzecznik działa przy Parlamencie Studentów. O opinię prosimy przewodniczącego tego ciała. Bartłomiej Banaszak jest zaskoczony: – Co? Takie rzeczy mówi rzecznik?

– Nie oszukujmy się – ciągnie Pawłowski. – Na przyznawaniu stypendiów zyskują głównie członkowie komisji.

Zasiadają w nich studenci, z rzadka wykładowcy. Zajmują się rozdzielaniem stypendiów (półtora miliarda złotych w skali całego kraju) oraz dodatków żywieniowych, mieszkaniowych i zapomóg. – Ci, którzy nie zgadzają się z decyzjami komisji, mogą się odwołać do dziekana – tłumaczy Łukasz Bułka, szef Odwoławczej Komisji Stypendialnej Uniwersytetu Warszawskiego. – I wielokrotnie się odwołują – przyznaje.

Członkowie komisji przekonują, że najlepiej znają status finansowy ró-

wieśników. Gdy widzą, że ktoś jeździ dobrym autem i ubiega się o pomoc socjalną, zapala im się ponoć czerwone światło. – Co oni tam widzą. Chyba swoich kolegów przy rozdzielaniu stypendiów – ripostuje rzecznik Pawłowski.

– My na razie nie widzimy konfliktu – zaznacza Bartosz Loba, rzecznik Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, pytany, czy resort pogodzi studentów. – Na pewno jednak z komisji wyrzucać studentów nie chcemy – podkreśla, choć w jednej z rozważanych przez ministerstwo zmian w systemie stypendiów socjalnych pada pomysł, by decydowały o nich gminne ośrodki pomocy społecznej. – Ależ to nic nie da – protestuje Łukasz Bułka. – Często prosimy pomoc społeczną o zbadanie studenta, po czym próbę wyłudzenia dopiero my wykrywamy.

– Występuję przeciwko tym, którzy wykorzystują system do nadużyć – twierdzi 38-letni Pawłowski, który w samorządach studenckich pracował wiele lat, a rzecznikiem – pierwszym zresztą – jest od 2004 roku. Po jednym z jego raportów ministerstwo już raz zmieniło przepisy: zmusiło uczelnie do podpisywania ze studentami umów cywilno-prawnych na nauczanie.

Pieniądze

PO PRZECIEKACH SZYBKA LIKWIDACJA

FIRMY UBEZPIECZENIOWE MUSIAŁY UPROŚCIĆ procedury, by nie zalały ich zgłoszenia spowodowane mrozem lub odwilżą. – Średnio w ciągu roku rejestrujemy około 850 szkód różnego typu dziennie. Tej zimy – półtora tysiąca każdego dnia – mówi Grzegorz Blachowski, rzecznik Ergo Hestia SA. Największy wzrost, bo aż trzykrotny, dotyczy zalań powodowanych pękającymi od mrozu rurami i ciekącymi pod naporem śniegu dachami. – Od początku stycznia przyjęliśmy osiem tysięcy zgłoszeń szkód spowodowanych opadami śniegu, czyli prawie dwa razy tyle, ile w ciągu całego 2009 roku – oblicza Magdalena Olborska z PZU. – Sytuacja prawdopodobnie będzie się pogarszać, bo czas roztopów dopiero przed nami. Ostatnie cieplejsze dni spowodowały lawinowy wzrost tego typu szkód – dodaje Marek Baran z Allianz Polska.

Firmy szukają więc nietypowych rozwiązań. Niemal wszyscy liczący się na rynku ubezpieczyciele wprowadzają szybką ścieżkę wypłaty odszkodowań – bez oględzin rzeczoznawcy, jedynie na podstawie telefonicznych negocjacji z poszkodowanym. – Procedura szybkiej li-



Im szybciej topnieją śnieg i lód, tym więcej ubezpieczyciel traci na zimie

kwidacji dotyczy szkód nieprzekraczających tysiąca złotych – mówi Katarzyna Podolska z Grupy Ubezpieczeniowo-Finansowej „Warta”. Inni ubezpieczyciele nie określają sztywno limitu, ale przyznają, że likwidacja szkód na telefon dotyczy głównie drobnych remontów. – Zachowujemy przy tym możliwość wyrzutowych kontroli, by chronić się przed wyłudzeniami – zastrzega Marek Baran (ubezpieczyciele obliczają ogólnie, że blisko 20 procent wszelkich zgłoszeń to wyłudzenia). Firmy zwiększyły też w ostatnich tygodniach liczbę osób pracujących w telecentrach i wydłużyły czas pracy rzeczoznawców. – *apa*

Uczucia

Ciepła posadka w niehumanicznych warunkach

Urzednicy centrali ONZ są sfrustrowani, bo przeniesiono ich do bardzo smutnego budynku

WSZYSCY JESTEŚMY POTWORNIE przygnębieni i zdemoralizowani tym, że wsadzili nas do budy bez okien i powietrza. To bardzo niehumaniczne – tak przeprowadzkę do tymczasowego kompleksu blaszaków skomentował pewien urzędnik średniego szczebla ONZ. Generalna renowacja słynnej sie-

dzi by organizacji przy Pierwszej Alei w Nowym Jorku będzie kosztować prawie dwa miliardy dolarów i potrwa cztery lata. W tym czasie oficjele, z sekretarzem generalnym Ban Ki-moonem na czele, przeniesli się do „budy bez okien”. Tak naprawdę okna są, ale nie dla wszystkich, stąd oburzenie.

Prezydent Zgromadzenia Generalnego, Libijczyk Ali Abdussalam Treki swe uczucia określił jako „poirytowanie”, bo skoszarowano go w części bezokiennej, do której prowadzi ciemny betonowy korytarz. Ki-moon ma okna i drewnianą podłogę. – Brzydkie schronisko odzwierciedla stan, w jakim znajduje się organizacja – ocenia ambasador Chile przy ONZ Heraldo Muñoz. Urzędnicy tak cierpiący w Bantamano (budynek nazwali od Ban Ki-moona i Guantánamo) zarabiają 100–200 tysięcy dolarów rocznie (25–50 tysięcy złotych miesięcznie), a ONZ płaci im dodatkowo za niezliczoną liczbę przywilejów – od steków i wina po edukację dzieci. – *mac*



Z tego bunkra pracownicy ONZ dbają o cały świat i o siebie

Platforma ma dwóch dobrych kandydatów na kandydatów – Jarosław Gowin, poseł PO, pytany, czy do prezydenckich kandydatur Komorowskiego i Sikorskiego nie warto dodać Olechowskiego

FOT. REUTERS/FORUM, AFP/EAST NEWS, SCANPIX/FORUM, MARCIN BIELECKI/FORUM, ARCHIWUM PRYWATNE, MARCIN KARETTA/FORUM, XINHUA/FOTOLINK

ROZMOWA

Zmiana ptasiej warty

Wróbel wynosi się z miasta. Wygonili go człowiek, sroka i krogulec

W Japonii skończyła się właśnie konferencja, podczas której debatowano, jak ratować wróbla. Czy problem dotyczy też Polski?

– Tak. Idziemy w ślady Londynu i Hamburga, gdzie wróble prawie już nie ma. W Warszawie jest ich teraz prawie 40 procent mniej niż 30 lat temu. Wróbel znika także z innych dużych polskich miast.

Dlaczego znika?

– Wróble tracą miejsca legowe, bo przy remontach elewacji w otworach stropodachów zakładane są kratki. Intensywne koszenie trawników sprawia, że znajdują coraz mniej owadów dla piskląt. Sroka i wrona, które rozmnożyły się w mieście, wyjadają jajka i pisklęta wróbli. W zieleni miejskiej coraz mniej jest krzewów, w których wróble chronią się przed drapieżnikami, szczególnie krogulcem.

Czy wróbel przegra?

– Jeśli mu nie pomożemy, to stanie się rzadkością. Katastrofy ekologiczne to nie spowoduje, ale stracimy sąsiada, który od zawsze ożywiał krajobraz. *not. ana*



Co mówią liczby

6. miejsce

zajęli Polacy w rankingu leniwych narodów. Zestawienie przygotował z okazji olimpiady w Vancouver internetowy dziennik „The Huffington Post”. Autorzy zestawili dane OECD i ONZ dotyczące między innymi liczby spożywanych kalorii, czasu spędzanego przed telewizorem bądź przeznaczanego na sport. Na 24 sklasyfikowane nacje przodują te bogate – pierwsi są Amerykanie, potem Kanadyjczycy, następnie Belgowie.

ZŁODZIEJE DZIECI

W ZESZŁYM ROKU ZABRALI ICH PONAD DWA TYSIĄCE, W TYM CÓRKĘ OSTROWSKICH. SĄ BEZLITOŚNI DLA NIEWYDOLNYCH RODZICÓW. CZASEM TAK BEZLITOŚNI, ŻE AŻ BEZDUSZNI

NORWEGIA TEKST SYLWIA SKORSTAD, ILUSTRACJA TRUST

O tym, że jej dziewięcioletnia Ola nie wróci dziś do domu, Kinga Ostrowska dowiedziała się podczas zakupów. Mąż zadzwonił i oznajmił, że dziecko zostało zabrane przez Barnevernet. Uwierzyła, dopiero gdy sobie przypomniała, że Ola o ten Barnevernet pytała ją kilka dni temu. „To Urząd Ochrony Praw Dziecka, który pomaga dzieciom, jeśli ich rodzice piją albo biorą narkotyki” – odpowiedziała wtedy córce Kinga.

Gnębą i bronią

Pani z urzędu wyjaśnia Ostrowskim, że Ola została zabrana prosto ze szkoły do rodziny zastępczej. Oni sami mają następnego dnia stawić się na przesłuchanie. Mogą wziąć ze sobą adwokata.

Urząd Ochrony Praw Dziecka cieszy się w Norwegii prestiżem. Dla przeciętnego Norwega to instytucja ratująca dzieci przed głupotą rodziców (gdzie przez głupotę rozumie się alkoholizm czy obrzezanie dziewczynki). Dla przeciętnego Polaka osiadłego w Skandynawii to instytucja, która pomaga finansowo, kiedy brakuje pieniędzy na opłacenie dzieciom świetlicy szkolnej. Ale kto miał na pieńku z Barnevernet, ten maluje go w najczarniejszych barwach.

Do niedawna Kinga należała do tych przeciętnych. Po pierwszym telefonie z Barnevernet Ostrowscy byli przekonani, że zaszła pomyłka, więc adwokat nie będzie im potrzebny. Dopiero kiedy przejrzyli artykuły w Internecie, zaczęli rozpaczliwie szukać pomocy prawnika. W sieci działa kilka dobrze zorganizowanych grup rodziców i zwolenników zmiany procedur

Barnevernet. Na każdej stronie dziesiątki historii dzieci, które trafiły do rodzin zastępczych, linki do blogów, forów. Można też dołączyć do liczącej kilkadziesiąt tysięcy osób grupy sygnatariuszy skierowanej do rządu petycji w sprawie zmiany prawa rodzinnego.

Nie ma niewinnych

Barnevernet widzi to mniej więcej tak: dziewczynka (która kilkakrotnie odmawiała udziału w lekcjach pływania, tłumacząc się brakiem stroju) powiedziała koleżance, że tata ją uderzył. Rodzice koleżanki powiadomili szkołę, a ta zaalarmowała Barnevernet. Barnevernet więc wysłał na rozmowę z Olą młodą praktykantkę. „Czy wstydiłaś się przebrać, bo szpeciły ci siniaki?” – zapytała praktykantka. Dziecko potwierdziło i usłyszało, że nie powinno opowiadać rodzicom o tej rozmowie. Kilka dni później mała powtórzyła swoje zeznania. To wystarczyło, by przekazać ją rodzinie zastępczej, a Ostrowskiego oskarżyć o bicie dziecka.

Kinga pytała, czy ktokolwiek widział u Oli siniaki. Nikt nie widział, ale zeznanie dziewczynki to wystarczający dowód. Poprosiła więc o raport z przesłuchania córki. Mimo obietnic do dziś go nie dostała. Urzędniczka powiadomiła Ostrowskich, że do czasu rozpatrzenia sprawy, na co Barnevernet ma sześć tygodni, dziecko zostanie w rodzinie zastępczej. Błaganie, by oddano córkę Kindze, skoro tylko Marcinowi stawią się zarzuty, nie przyniosło skutku. „Pani nie jest wiarygodna, bo trzyma stronę męża” – usłyszeli.

Urząd Ochrony Praw Dziecka działa w Norwegii od 1953 roku. Według ustawy przyjętej przez parlament „stoi na straży prawa dziecka do dorastania w bezpiecznych warunkach oraz

udziela dzieciom i młodzieży pomocy w odpowiednim czasie” (czyli jeszcze zanim dojdzie do sytuacji zagrożenia zdrowia lub życia). Może o wiele więcej niż polski wydział do spraw nieletnich przy sądzie rodzinnym, który wysyła do dzieci kuratorów. Oddziały urzędu znajdują się w każdej norweskiej gminie, zawiadują domami dziecka i kryzysowymi służbami ochrony praw dzieci wkraczającymi do akcji natychmiast po otrzymaniu zgłoszenia o przemoc w rodzinie. W 2008 roku urząd interweniował w przypadku 5100 dzieci, umieszczając co drugie z nich w rodzinie zastępczej.

Jednocześnie Barnevernet prowadzi rocznie około 30 tysięcy postępowań w sprawie różnych form pomocy materialnej dla dziecka i rodziny. Połowa kończy się decyzją pozytywną. W przypadku dzieci wymagających specjalnej opieki (na przykład tych z nadpobudliwością ruchową) urząd może zaopferować odciążenie rodziny poprzez przydzielenie pracownika społecznego lub rodziny zastępczej na dwa weekendy w miesiącu.

Prawo mówi, że odebranie dziecka biologicznej rodzinie może być stosowane jedynie w ostateczności.

Bodil Hepsø, dyrektorka podstawówki w Bjugn, często styka się z Barnevernet. Jeśli pojawia się podejrzenie, że dziecko w rodzinie jest traktowane niewłaściwie, urzędnicy proszą wychowawcę o sporządzenie raportu. Sygnały, na które nauczyciele zwracają szczególną uwagę, to spóźnienia, nieobecności, nieodrobione lekcje, brak kontaktu z rodzicami, agresywne zachowanie. Gdy coś jest nie tak, Barnevernet zaczyna sprawdzać. Nauczyciel nie może ignorować siniaków czy relacji dziecka o tym, że jest bite.

Ostrowskich przesłuchali osobno. Pytali, czy w Polsce biją się dzieci i czy robi się różnice między biciem a dawaniem klapsów

– Ten system ochrony dzieci prawie nie różni się od polskiego – przekonuje Aleksandra F. Eriksen, która pracowała zarówno jako polski kurator do spraw nieletnich i rodziny, jak i terapeuta środowiskowy norweskiego domu młodzieżowego. – Różnica tkwi w mentalności. Norwegowie reagują na przemoc w rodzinie. W Polsce dziecko musi trafić pobić do szpitala, by ktoś zauważył patologię.

99 procent błędów

Fatalną opinię na temat Barnevernet mają nie tylko poszkodowani rodzice. Nordycki Komitet Praw Człowieka (NKPC) co roku zgłasza do Rady Europy i ONZ przypadki „naruszania przez norweskich urzędników praw rodziny do prywatności i wolności”. Według ko-

mitetu imigranci, bezrobotni i rodzice samotnie wychowujący dzieci często padają ofiarą biurokratycznej nadgorliwości, a „niektórzy rodzice zastępczy mają przyjmować wychowanków głównie dlatego, że to się finansowo opłaca”.

Jednym z najbardziej zagorzałych przeciwników urzędu jest wiceprzewodnicząca NKPC, profesor Marianne Haslev Skånland. O jego działalności napisała kilkadziesiąt artykułów. O dzieciach seksualnie wykorzystywanych w rodzinach zastępczych. O dzieciach, które po interwencjach Barnevernet trafiły do szpitali psychiatrycznych. Wreszcie o dzieciach, które na skutek traumy po działaniach urzędu zostały alkoholikami, narkomanami lub przestępcami. Także Europej-

ski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu kilkakrotnie upominał Norwegię za ograniczanie biologicznym rodzicom praw do kontaktu z dziećmi. Ale na Barnevernet nie ma mocnych.

Jeden z polskich dyplomatów, zastrzegając anonimowość, twierdzi, iż urząd ten jest tak potężny i niezależny, że nie musi się przejmować naciskami medialnymi czy politycznymi: – Jestem pewien, że są rodziny, które padły ofiarą tej instytucji. To machina, która ma uprawnienia do daleko posuniętej kontroli i niejedną rodzinę przemielila.

Pięć lat temu profesor Skånland powiedziała w jednym z wywiadów, że Barnevernet popełnia błędy w 99 procentach spraw, a jeśli ma rację, to „tylko przez →



→ przypadek”. „Uwielbiają wszystko, co mogą wykorzystać przeciwko biologicznym rodzicom” – przekonywała. Jej zdaniem wiele dzieci po przeprowadzce do rodzin zastępczych wpada w depresję, a stres, na jaki narażają je urzędnicy, można zakwalifikować do wyrafinowanych psychicznych tortur.

Po tej wypowiedzi Skånland straciła wiarygodność. Norwegowie uznali, że nie potrafi być obiektywna.

Lanie i klapsy

Ostrowskich przesłuchiwali osobno. Pytali, czy w Polsce bije się dzieci i czy robi się różnicę między biciem a dawaniem klapsów.

Dwa dni później zadzwoniła urzędniczka. Za 10 minut jedzie odwiedzić Olę i może jej coś od nich przekazać. Spakowali trochę ubrań, książki, gry i zabawki. Przemycili krótki list („Nie jesteśmy na ciebie źli, Kochamy cię, czekamy na ciebie”). Urzędniczka Barnevernet pozwoliła im na telefoniczne rozmowy z córką, ale po dwóch dniach ograniczyła je do 10 minut. Marcinowi udało się skontaktować z córką przez portal Nasza Klasa. Mogli czasem wymienić parę zdań. Ale córka nie mówiła im o swoim samopoczuciu. – Ukrywała, że miała kłopoty ze snem, rozstrój żołądka i zapalenie pęcherza – wspomina Kinga.

Podczas przesłuchania Ola powiedziała, że chciałaby wrócić do rodziców. Adwokat występujący z ramienia policji rekomendował takie rozwiązanie, ale urząd nie przychylił się do jego wniosku.

– Do dziś nie rozumiemy, dlaczego Barnevernet odmówił, skoro oficjalnie twierdzi, że opinia dziecka, nawet małego, jest istotna w każdym postępowaniu – skarży się Marcin. Na pierwszą rozprawę odwoławczą od decyzji Barnevernet w sądzie okręgowym Ostrowscy szli pewni wygranej. Nie mieli przecież nic do ukrycia, wierzyli, że Ola wróci do domu.



Podczas rozprawy przedstawiciel urzędu zarzucił im, że chcą przekupić dziecko prezentami. Ponoć obiecywali córce przez telefon wycieczkę do ciepłych krajów, gdy wróci do domu. Wyjaśnili, że termin i kierunek zagranicznej podróży wybierali razem z Olą na długo przed wkroczeniem Barnevernet w ich życie.

Przegrali. Do domu wrócili sami.

Wydział konsularny Ambasady RP w Oslo co roku otrzymuje kilkanaście zgłoszeń od polskich rodzin, którym odebrano dzieci. Może jedynie pouczyć rodziców oskarżonych o stosowanie przemocy o przysługujących im prawach do adwokata z urzędu, tłumacza oraz o możliwości odwołania się do norweskiego rzecznika do spraw równości i dyskryminacji.

Polski konsul Marek Pędzich jest zdania, że dla wielu Polaków norweska definicja przemocy jest zbyt szeroka. W czasie spotkań

z urzędnikami Barnevernet konsul zwraca uwagę na różnice w zakresie stopnia przyzwolenia społeczeństwa na pewne działania. – Istnieją przykłady zachowań tolerowanych, dopuszczalnych lub usprawiedliwianych w Polsce, które w Norwegii zwalczane są z całą surowością – mówi Pędzich. – Na przykład podniesienie głosu na dziecko może w tym kraju zostać uznane za przemoc psychiczną.

Analiza miłości

Podczas widzenia z dzieckiem nie wolno płakać, bo urzędnicy mogą to uznać za wywieranie emocjonalnej presji i zakazać spotkań. Urzędnicy chcieliby również rozumieć każde słowo z rozmowy, więc najlepiej, jeśli rodzice będą rozmawiać z dzieckiem po norwesku.

Przed pierwszym spotkaniem z Olą, które odbyło się po trzech tygodniach od rozstania,

Kinga nie mogła spać. – Wszystko wypadło sztucznie – wspomina. – Analizowali każdy nasz gest, każde słowo. Wybrałam temat zbliżających się urodzin Oli, coś neutralnego. Chciała mnie dotknąć, ale w ostatnim momencie cofnęła rękę.

Przez sześć tygodni (maksymalny okres, na który można umieścić dziecko w rodzinie zastępczej bez odebrania praw rodzicom) Barnevernet nie wykonał żadnych czynności sprawdzających. Urzędnicy nie rozmawiali z sąsiadami czy ze znajomymi Ostrowskich, nie przesłuchali koleżanek Oli, nie spotkali się ponownie z pracownikami szkoły. W ostatniej fazie obserwowali tylko zachowanie rodziców podczas przyznanych trzech godzin tygodniowo na widzenia z córką.

Ola wróciła do domu 28 kwietnia 2009 roku. Barnevernet nie znalazła dowodów na to, że rodzice ją bili. 3 lutego tego roku Ostrowscy otrzymali pismo stwierdzające zamknięcie ich sprawy. Teraz rozważają wniesienie pozwu cywilnego przeciwko urzędowi. – Gdy stoję w korku, odwołując Olę do szkoły, czuję, jak pot płynie mi po plecach – opowiada Kinga. – Boję się, że pięciominutowe spóźnienie może być kiedyś wykorzystane przeciwko nam.

Sam wstyd to za mało

Czy wasza rodzina potrzebuje pomocy? – pyta sędzia podczas ostatniej rozprawy (już po powrocie Oli do domu). – Na pewno, zwłaszcza córka – odpowiada Marcin. – Ale nie od Barnevernet, tylko od psychologa.

Ostrowscy skarżą się, że przez trzy miesiące byli pod nadzorem kuratora, który badał ich metody wychowawcze. „Dobrowolna” zgoda na jego wizyty była warunkiem powrotu Oli do domu. Kurator kręcił nosem na to, że dziewczynka codziennie przez kilka minut gra na pianinie, choć zdaje się tego nie lubić. Nie podobał mu się też system kar i nagród. – To była strata czasu – mówi Kinga.

Sami poprosili lekarza rodzinnego o skierowanie do nich psychologa dziecięcego. Odstraszył ich kilkumiesięczny termin oczekiwania, więc skontaktowali się z psychologką z Polski i umawiali na konsultacje telefoniczne. Ola bowiem od czasu powrotu do domu nie chciała w ogóle mówić o sprawie. Psycholożka radziła, by nie zmuszać dziecka do rozmowy: – Zastanówcie się, dlaczego urzędnikom powiedziała, że jest bita.

Więc Kinga i Marcin zaczęli się zastanawiać. Dlaczego nie chciała się przebierać na basenie? Ola jest jedną z najlepszych uczennic w klasie, nie lubi tylko zajęć sportowych. Żeby uniknąć kpin koleżanek, wykręcała się brakiem stroju. Myślała, że powołanie się na wstyd wystar-

czy. W Norwegii każde dziecko wie, że dorośli muszą respektować uczucia małych. Nie wystarczy jednak i stąd wersja o siniakach. To wersja Ostrowskich.

Dziecko to nie własność

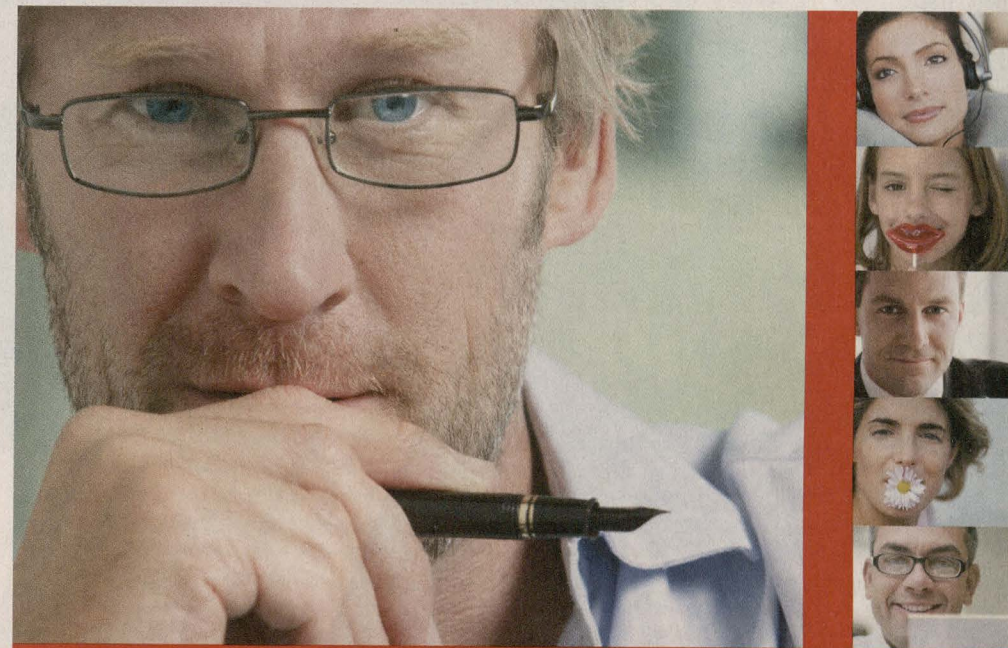
Aleksandra F. Eriksen uważa, że historia Ostrowskich jest tak niesłychana, że aż niewiarygodna. Według niej przypadek córki odebranej rodzicom bez żadnej rozmowy z nimi wywołałby w Norwegii burzę. – Odebranie dziecka bez wstępnej analizy sytuacji może się zdarzyć tylko w przypadkach bezpośredniego zagrożenia jego dobra, na przykład rodzicom, którzy są pijani

– przekonuje Eriksen. – W ciągu kilku lat pracy w Barnevernet nauczyłam się, że obokrajowcy często traktują swoje dzieci jak własność. Nie rozumieją, że osoby spoza rodziny mają prawo ingerować w ich metody wychowawcze.

Bodil Hepsø uważa, że Barnevernet powinno reagować częściej i bardziej stanowczo. – Wielu norweskich rodziców, szczególnie młodych, wykazuje daleko posuniętą bezradność – mówi Hepsø. – Są uczniowie, którzy tygodniami nie odrabiają lekcji. Od rodziców słyszę, że dziecko nie chce, woli pograć na komputerze. Sprawiają wrażenie, jakby się bali własnych dzieci.

A może boją się Barnevernet?

REKLAMA



Eurokonto w Twoim charakterze

W Banku Pekao S.A. znajdziesz konto odpowiednie dla siebie. Jeśli jesteś osobą praktyczną, poszukującą wszechstronnych rozwiązań finansowych, mamy dla Ciebie **Eurokonto Aktywne Plus**.

0 zł

za przelewy przez internet,
za ubezpieczenie za granicą,
za Ubezpieczenie Assistance gwarantujące pomoc fachowców,
za prowadzenie rachunku Dobry Zysk z wysokim oprocentowaniem.

Zajmiemy się formalnościami związanymi z przeniesieniem Twojego konta z innego banku.

Załącz konto już teraz na www.eurokonto.pekao.com.pl lub przyjdź do placówki Banku Pekao S.A. Więcej informacji: 801 365 365 (opłata jak za połączenie lokalne).



BANK PEKAO SA
Member of UniCredit Group

URZĘDNIKY DZIAŁAJĄ JAK TAJNA POLICJA W PAŃSTWIE TOTALITARNYM

MONA LYGRE SAMA ZGŁOSIŁA SIĘ w 2001 roku do Barnevernet z prośbą o pomoc w opiece nad dwoma synami (rok i 10 lat). Z powodu przewlekłych problemów reumatycznych kończących się atakami paraliżu od szyi w dół musiała co pół roku leżeć w szpitalu. Urząd skierował ją na badania psychologiczne, które zakończyły się wydaniem orzeczenia, że Mona ma problemy z oceną skutków swoich działań oraz skłonności maniackalne. Barnevernet zabrał jej synów. W 2002 roku Mona założyła organizację Grupa dla Prawa

Rodziny do Samostanowienia i podjęła walkę o odzyskanie dzieci. Udało jej się to po dwóch latach dzięki raportowi innego psychologa, który stwierdził, że Monie nic nie dolega. – Barnevernet należy zlikwidować – mówi dziś „Przekrojowi” Mona Lygre.

Co według pani szwankuje w systemie Barnevernet? – Jego urzędnikom wydaje się, że zapobiegają tragediom. Moim zdaniem natomiast kreują rzeczywistość. Działają trochę jak tajna policja w państwie totalitarnym – wszędzie węszą aferę.

Problem przemocy w rodzinie jest w statystykach Barnevernet zdecydowanie wyolbrzymiony.

Może i tak, ale przecież istnieje.

– Istnieje, ale Barnevernet tylko pogarsza sytuację. Ten urząd ma swoje własne sądy, co oznacza, że wyroki w sprawie rodziców i dzieci wydają te same osoby, które wcześniej prowadziły dochodzenie. To niedopuszczalne i niedemokratyczne. Należy zlikwidować Barnevernet. Mamy ustawę o ochronie praw dziecka i normalny, sprawny system sądownictwa. To w zupełności wystarczy.

Przyzna pani, iż trudno uwierzyć w to, że w tak rozwiniętym państwie jak Norwegia niesłusznie odbiera się ludziom dzieci.

– Tragedia polega na tym, iż społeczeństwo uważa Barnevernet za pożyteczną instytucję i wierzy, że wszyscy rodzice, którzy stracili swoje dzieci, rzeczywiście je krzywdzili. To tych rodziców stygmatyzuje. Wstyd odbiera im chęć do walki. Mnie osobiście dzięki determinacji udało się zastrzymać moich chłopców. Wielu rodziców nie ma tyle siły i nie stać ich na prawników.

not. mac

Dżihad z piekła rodem

Somalia nie stanie się drugim Afganistanem. Już nim jest.
Z błogosławieństwem Stanów Zjednoczonych

TERRORYZM MACIEJ JARKOWIEC



Koran i karabin.
Szkolenie terrorystów
w Somalii trwa w najlepsze.
Świat na razie umywa ręce

U pał. Bez przerwy. Nie działają policja, szpitale, szkoły. Żadnego wybawienia od głodu, chorób, przemocy. Za kradzież obcinają rękę, za próbę ucieczki – nogę, za zdradę Allaha – głowę. Do domu w każdej sekundzie może wpaść pocisk moździerzowy, rakietka albo bojówka z kalasznikowami.

Rok temu Zachód pobłogosławił zależnego od siebie człowieka z nadzieją, że ten nie dopuści, by piekielne ognie Somalii wypełzły daleko poza jej granice. Ten człowiek – prezydent szejk Sharif Ahmed – zapowiada, że lada dzień rozpocznie rozprawę z rebeliantami. Ale zanosi się, że to rebelianci prędzej obrócą w pył jego pałac, niż on przepędzi ich ze stolicy.

Żywoty równoległe

Komisarz UE do spraw rozwoju i pomocy humanitarnej Karel de Gucht: „Pozycja Al-Kaidy w Somalii jest coraz mocniejsza. Jeśli tego nie powstrzymamy, będziemy mieli drugi Afganistan”.

Były brytyjski minister do spraw Afryki, lord Malloch Brown: „Dziś Somalia stanowi dla Wielkiej Brytanii większe zagrożenie niż Afganistan”.

Sekretarz stanu USA Hillary Clinton: „Somalia staje się rajem dla terrorystów”.

Skąd ten lęk? Porównajmy.

Afganistan. Po wycofaniu się Sowietów w 1989 roku kraj ogarnia wojna domowa między klanami i grupami motywowanymi ideologicznie. W 1996 roku kontrolę przejmują pasztuńscy talibowie („uczniowie”).

Somalia. W 1993 roku wycofują się Amerykanie, wybucha wojna domowa. Wszyscy walczą ze wszystkimi – klanowi książęta, watażkowie, islamiści. W ostatnich latach władzę nad większością terytorium zdobywa radykalna grupa Al-Shabaab (Młodość).

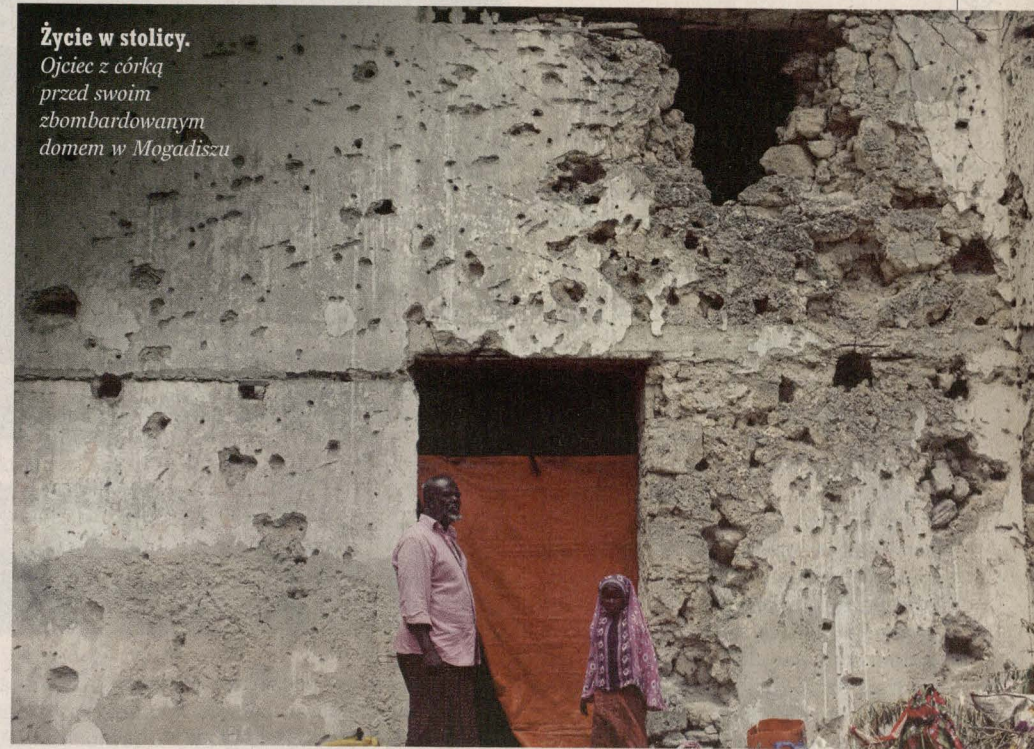
Afganistan. Talibowie wprowadzają po swojemu rozumiany szariat. Zakazane są sport, telewizja, edukacja dla kobiet. Złoczyńcom obcina się kończyny, głowy, kamieniuje się ich.

Somalia. Rozumienie szariatu przez wojowników Al-Shabaab jest w zasadzie identyczne. Takie prawo obowiązuje dziś w południowej i centralnej Somalii oraz w większości dzielnic stolicy – Mogadiszu.

Afganistan. W końcu ostatniej dekady XX wieku napływają tu masowo wojownicy i stratedzy Al-Kaidy. Korzystając z gościnności talibów, budują centrum dowodzenia i szkolenia świętej wojny. 11 września 2001 roku uderzają w USA.

Somalia. W końcu pierwszej dekady XXI wieku napływają tu masowo mudżahedini z Afganistanu i Pakistanu, a także werbowani na Zachodzie młodzi członkowie somalijskiej diaspory. Al-Shabaab z or-

Życie w stolicy.
Ojciec z córką
przed swoim
zbombardowanym
domem w Mogadiszu



Al-Kaida przerzuca siły z Afganistanu i Pakistanu do Afryki. W ostatnim roku skoncentrowała się na Somalii i buduje tam nowy sztab dżihadu

ganizacji o zasięgu i celach lokalnych przepoczwarza się w międzynarodowy konglomerat dżihadystów. Wypowiada wojnę Ameryce i jej sojusznikom.

A oto niektórzy z wodzów Al-Shabaabu. Moktar Ali Zubair, emir: weteran wojny afgańskiej z lat 80. uznawany za jednego z najpotężniejszych dżihadystów świata. Moktar Ali Robow, rzecznik: weteran z Afganistanu, budował pierwsze obozy szkoleniowe na terenie Somalii. Ibrahim Hadzi Jaama, dowódca wojskowy: ze względu na męstwo podczas walk w Afganistanie zyskał pseudonim Al-Afgani.

Rashid Abdi, Somalijczyk, analityk międzynarodowego instytutu International Crisis Group, komentuje w rozmowie z „Przekrojem”: – Somalia nie staje się Afganistanem. Już nim jest. Ba, sytuacja pod wieloma względami jest gorsza. Talibowie w Afganistanie rządzą jedynie w kilku ośrodkach. Koncentrują się na bieżących i lokalnych działaniach wojennych. Wojownicy Al-Shabaabu władają większością terytorium państwa i stolicy. Poza lokalną rozgrywką mają czas i środki, by planować ataki za granicą.

Helikopter w ogniu

Skąd wzięła się dzisiejsza Somalia? Islam zdominował te tereny głównie przez pokojowe kontakty handlowe już we wcze-

snym średniowieczu. Pod koniec XIX wieku z inwazją wylądowali Włosi i wynieśli się dopiero po klęsce w II wojnie światowej. Po krótkim okresie brytyjskiej protekcji kraj uzyskał niepodległość w lipcu 1960 roku. Pierwszy prezydent Adan Abdulle Osman uważany jest za jednego ze sprawniejszych i rozsądniejszych przywódców ówczesnej Afryki. Gdy ustąpił w 1967 roku, rozpętała się typowa afrykańska zawierucha – seria pałacowych przewrotów.

Zwyczajnie wychodzi z nich generał Mohamed Siad Barre, który sprawuje dyktatorskie rządy od wojskowego zamachu stanu w 1969 roku aż do lat 90. Skłócona z sąsiednią Etiopią Somalia szybko staje się jednym z frontów zimnej wojny – Sowietci wspierają Etiopię, a do Somalii przybijają statki wyladowane bronią, żywnością i dolarami z USA. Zbroją się i rosną w siłę klanowi książęta, kraj zaczyna się rozpadać. W 1991 roku Mogadiszu opanowują bojówki, Barre umyka za granicę. Wskutek wojny i suszy wybucha epidemia głodu. Dla ochrony i wsparcia pomocy humanitarnej prezydent George Bush senior w ostatnich miesiącach urzędowania wysłał do Somalii 30 tysięcy amerykańskich żołnierzy. 3 października 1993 roku przy próbie aresztowania jednego z przywódców bojówek rozkradających żywność z międzynarodowej pomocy ginie 18 Amerykanów, w tym komandosi →

→ elitarnej Delta Force. Telewizje na całym świecie pokazują dwa amerykańskie helikoptery zestrzelone w centrum Mogadyszu i amerykańskie trupy wleczone ulicami stolicy przez partyzantów odzianych w klapki. Następca Busha Bill Clinton nie chce drugiego Wietnamu. Dlatego Amerykanie uciekają z Somalii. Jedyny sukces: nagrodzony dwoma Oscarami „Helikopter w ogniu” rekonstruujący walki w Mogadyszu.

Rozbicie dzielnicowe

Podczas rocznicowej ceremonii 43-letni prezydent siedzi na potężnym drewnianym tronie przed swą rezydencją – zbudowaną przez Włochów pałacem zwanym Willa Somalia – i wsłuchuje się w śpiewy chóru, wzrusza przy deklamacjach poetów, uśmiecha na popisach komedianów. Gdy moździerzowy pocisk zmiata z powierzchni ziemi stróżówkę u bram willi, szejkh Ahmed uspokajająco macha ręką i każe artystom kontynuować. Gdy pod bramę zajeżdżają dżipy zbierać rannych, zgromadzeni na ceremonii intonują hymn Somalii przy akompaniamencie czołgowych armat. To żołnierze strzegące rządu pięciotysięcznej misji Unii Afrykańskiej (UA) odpowiadają na ostrzał rebeliantów.

Zainstalowany przez USA i ONZ prezydent przejściowego rządu, szejkh Sharif Ahmed, świętował pod koniec stycznia pierwszy rok władania Somalią. W rzeczywistości Ahmed panuje na około jednej czwartej terytorium Mogadyszu, jego rezydencja jest permanentnie ostrzeliwana, a ministrowie, parlamentarzyści i żołnierze Unii Afrykańskiej co rusz padają ofiarami samobójczych ataków (na początku grudnia w jednym zamachu zginęli minister zdrowia, edukacji i szkolnictwa wyższego). Reszta miasta tak jak całe centrum i południe kraju należy do Al-Shabaabu. Północ – region Puntland

Armia rządowa na swoich włościach. Siły wspierane przez Stany Zjednoczone i Unię Afrykańską prezydenta kontrolują zaledwie jedną czwartą terytorium Mogadyszu



– to kraina piratów podzielona między pomniejszych watazków i mafiosów. – Tak zwany rząd przejściowy nie jest żadnym rządem – mówi nam Peter Pham, dyrektor studiów afrykańskich w związanej z Departamentem Stanu USA niezależnej Narodowej Komisji Amerykańskiej Polityki Zagranicznej (NCAFP). – Nie kontroluje żadnego terytorium, nie ma instytucji, nie zapewnia żadnych usług publicznych. Trwa jedynie dzięki ochronie oddziałów UA, których obecność sprawia, że terroryści... mogą się przedstawiać jako obrońcy suwerenności narodu.

Tylko w ostatnich dniach – po tym jak prezydent zapowiedział wykurzenie Al-Shabaabu ze stolicy i rozpoczęła się regularna wymiana ognia, w Mogadyszu zginęło kilkudziesięciu cywilów, a kilkanaście tysięcy ludzi uciekło na północ. ONZ szacuje,

że przez 19 lat wojny domowej (za jej początek uważa się koniec rządów Siada Barrego) zginęła jedna dziesiąta populacji, milion ludzi uszło z kraju, półtora miliona pozabawiono dachu nad głową. Somalia jest areną największej klęski humanitarnej ostatniego dwudziestolecia. Większość dziewięciomilionowego narodu może przeżyć tylko dzięki wsparciu organizacji pomocowych i Światowego Programu Żywnościowego.

Niewierni – idziemy po was!

To szejkh Ahmed zjednoczył liczne organizacje i bojówki religijnej proveniencji przeciw samowoli, przemocy i podatków wojennych watazków. W 2006 roku wygnał ich z Mogadyszu. Przez kilka miesięcy w stolicy panował spokój i gdy wydawało się, że porządek oparty na względnie łagodnej odmianie szariatatu utrzyma się na większości terytorium, Amerykanie naszczuli na Somalię Etiopczyków. George Bush junior nie chciał tolerować w Afryce islamistycznego królestwa. Z dzisiejszej perspektywy wielu ekspertów uważa tę decyzję za jeden z największych błędów jego polityki zagranicznej. Etiopska inwazja zradynizowała tułtejszych muzułmanów i pchnęła ich w ramiona Al-Kaidy. Amerykanom nie przyniosła absolutnie żadnych korzyści – po trzech latach jankesi posadzili na tronie w Wilii Somalia tego samego człowieka, przeciw któremu... posłali Etiopczyków. Ahmed jako jedyny z muzułmańskich przywódców w ogóle chciał rozmawiać o pokoju. Dziś dla Al-Shabaabu (który współtworzył) jest zdrajcą, a dla USA ostatnią nadzieją (według słów Hillary Clinton).

Ostatnią nadzieją właściwie na coś. Na utrzymanie status quo.

Krzysztof Liedel, dyrektor Centrum Badań nad Terroryzmem Collegium Civi-

wany już Rashid Abdi z International Crisis Group. – A wewnętrzną rywalizację w samej organizacji wygrała frakcja międzynarodowa – napływowi mudżahedini z Afganistanu i Pakistanu oraz przyjezdni radykałowie z somalijskiej diaspory w USA i Europie Zachodniej. Celem wcale nie jest zdobycie Mogadyszu, tylko zwycięstwo światowego dżihadu.

Podczas gdy USA zgodnie z nową doktryną „likwidują terrorystyczny raj” w Afganistanie, nowy raj powstał już w Afryce. W analizie dla renomowanego Brookings Institute Mwangi S. Kimenyi pisze, że Somalia w zasadzie natychmiast potrzebuje legitymizowanego i ochranianego przez szeroką międzynarodową koalicję planu rozbrojenia, stabilizacji i rozwoju. Nieuchronne są kompromisy z co bardziej umiarkowanymi islamistami z południa, watażkami z północy, a może i formalny (bo do faktycznego doszło już dawno) podział państwa.

A jeżeli nic się nie zmieni? Na anglojęzycznej stronie Al-Shabaabu można obejrzeć film, na którym młodzieniec, ładując kałasznikowa, zwraca się prosto do kamery: „Dżihad jest słodki. Mówię wam, Amerykanie, Anglicy, niewierni: idziemy po was”.

SOMALIA WEDŁUG CIA (The World Factbook)

Powierzchnia: 637 657 km²

Populacja: 9 832 017

(stan z roku 1975, według szacunków dziś populacja może być mniejsza o mniej więcej 900 tysięcy)

Umiaralność noworodków: 109,19 zgonów/1000 urodzin (6. miejsce na świecie)

Przewidywalna długość życia: 49,63 roku (211. miejsce na świecie)

Stopa analfabetyzmu: 62,2 procent

Gospodarka: mimo braku efektywnych rządów w Somalii rozwija się

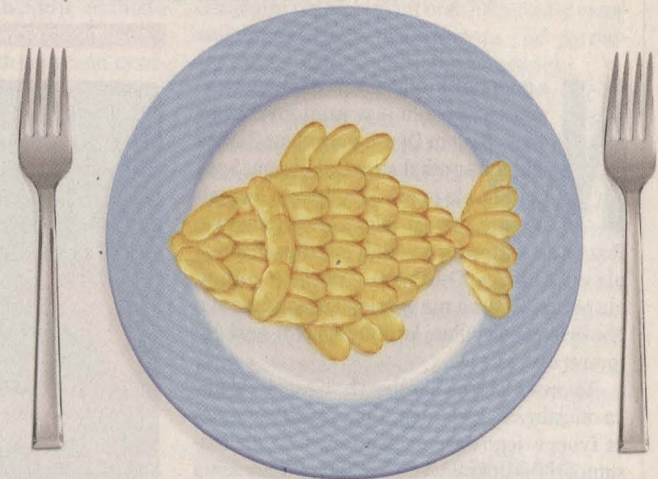
nieformalna gospodarka oparta na hodowli bydła, pośrednictwie transakcji finansowych i telekomunikacji.

Rolnictwo odpowiada za 40 procent PKB. Firmy telekomunikacyjne świadczą usługi bezprzewodowe we wszystkich dużych miastach, stawki za połączenia są najniższe na kontynencie. Targ w Mogadyszu oferuje szeroką gamę dóbr od żywności po najnowocześniejszą elektronikę.

ŹRÓDŁO: WWW.CIA.GOV

FOT. THE NEW YORK TIMES/FOTOLINK (3), AP/BE&W

Ekspert OMEGA-3 Triomar[®] TOTAL suplement diety



WZMOCNIJ ORGANIZM NA WIOSNĘ! ZADBAJ O ZDROWIE I URODĘ!

W naszej diecie brakuje tłustych ryb morskich, głównego źródła kwasów omega-3. Kwasy omega-3 to niezbędne składniki zdrowej diety. Wpływają korzystnie na odporność organizmu. Wzmocnione dodatkiem najważniejszych witamin i minerałów, zadbać kompleksowo o Twoje zdrowie i urodę.



Cena około 28 zł. W aptekach.

Witaminy, minerały i kwasy omega-3

W aptekach dostępne również:

TRIOMAR ODPORNOŚĆ
wzmocnia odporność
organizmu

TRIOMAR SERCE
dba o serce
i układ krążenia



TRIOMAR TOTAL – aby wzmocnić organizm, wspierać jego odporność, funkcje intelektualne i dbać o piękną skórę. Zawiera najważniejsze witaminy, minerały i niezbędne dla zdrowia i urody kwasy omega-3.



WYPRODUKOWANO W NORWEGII



Axellus sp. z o.o. ul. Puławska 17, 02-515 Warszawa, tel. (22) 349 67 00

www.triomar.pl

Imperium kontratakuje

Zachód wciąż nie rozumie, że dla innych cywilizacji nie jest jedynym punktem odniesienia. Dlatego moment, gdy obudzimy się w świecie zdominowanym przez Chiny, zaboli podwójnie

ZDERZENIE CYWILIZACJI MARTA FITA*

Na początek krótka lekcja dyplomatycznego protokołu – w miniony czwartek w Białym Domu prezydent Barack Obama spotkał się z Dalajlamą. Spotkał się, ale przywódca Tybetu formalnie nie przyjął jako głowy państwa. Rozmowa odbyła się w Sali Kartograficznej, nie w Gabinetcie Ovalnym. Trwała 71 minut, ale potem Obama nie wygłosił oświadczenia. Nie było też wspólnej konferencji ani sesji dla fotoreporterów.

Tę protokolarną akrobatykę uzupełniło kilka oficjalnych deklaracji. Tak, Ameryka popiera Tybet w jego dążeniach do zachowania tożsamości i w pokojowych próbach poszerzenia swobód pod rządami Chin – oświadczył Robert Gibbs, rzecznik Białego Domu. Nie, USA nie boją się retorsji ze strony Pekinu, który wizycie Dalajlamy kategorię polityczną się sprzeciwiał. Tak, rząd USA przyjmuje do wiadomości zwierzchnictwo Pekinu nad Lhasą.

A wszystko po to, by udowodnić, że można zjeść ciastko i mieć ciastko. Niby wysoko wznieść sztandar wolności, ale od razu ukończyć irytację Chin. Bo gdy kilka tygodni temu rozeszła się wieść, że Obama przyjmie Dalajlamę, partyjny urzędnik odpowiedzialny w Państwie Środka za kwestie etniczne i religijne Zhu Weiqun zapytał: „No i jak to pomoże USA pokonać kryzys gospodarczy?”

Tak, to był szantaż.

Dyrektor nie jada ryb

Ryszard Kapuściński zaczynał karierę dziennikarza specjalizującego się w sprawach zagranicznych od Chin, ale szybko zrezygnował. Uznał, że „są cywilizacje stanowiące wyzwanie na całe życie studiów i pracy dla każdego, kto chce uczciwie rozróżnić się w sprawach tego państwa” – pisze Edwin Bendyk w książce „Milość, wojna, rewolucja”. Od tamtego czasu niewiele się zmieniło – Państwo Środka to dla ludzi Zachodu świat tajemnic wymagający głębszego namysłu. Tyle że teraz, gdy Chiny awansowały do roli supermocarstwa, na gwałt potrzeba nam kursu błyskawicznego.

Niedawno „Washington Post” przytoczył anegdotę sprawdzoną w kilku wiarygodnych źródłach: wysokiej rangi amerykański polityk przyjmował chińskiego odpowiednika. Gość przybył do biura, które natychmiast skrytykował. Tego samego dnia miał jeszcze przyjść do domu gospodarza na kolację. W menu – ryba. „Dyrektor nie jada ryb. Chce stek – zażąda-



Państwo dla Chińczyka jest jak patriarcha w rodzinie – należy mu się bezwarunkowy szacunek

li Chińczycy. – Mawia, że ryby czynią człowieka słabym”. I podano stek.

Tu jednak w grę wcale nie wchodzi zwykła arogancja, tu chodzi o cywilizacyjną przepaść. Francuski sinolog Jacques Gernet w książce „Inteligencja Chin” konstatuje, że wszystkie pojęcia w naszym słowniku politycznym pochodzą z greki lub łaciny i odsyłają do zachodniego dziedzictwa: „demokracja”, „republika”... Tymczasem w historii Chin „nie znajdziemy procesów znanych z dziejów Zachodu”, jak choćby powstanie mieszczaństwa czy dominacja indywidualizmu.

Nic zatem dziwnego, że od wieków w ocenach państwa za murem panuje pomieszanie z poplątaniem. Wolter na przykład widział

„w Chinach kraj bez Kościoła, rządony przez filozofów”. Monteskiusz utrzymywał z kolei, że rządzone przez cesarza Chiny „są państwem despotycznym, w którym zasadą jest lęk”. Matteo Ricci, który w 1609 roku opisał w pamiętnikach misję jezuitów w Pekinie, twierdził zaś, że cesarz... nie może podejmować samodzielnych decyzji. Utrzymywał, że to tylko na pozór „władza monarchiczna”, ale w gruncie rzeczy „nosi cechy republiki”.

Na ogół zresztą opinie Europejczyków i Amerykanów o Chinach to nie analizy rzeczywistości, ale projekcje ich własnych marzeń i obaw. W latach 60. zachodnich radykałów fascynował chiński duch wspólnoty, dlatego wymachiwali czerwonymi książeczkami

Mao. W latach 80. z kolei konserwatyści „posłużyli się Chinami jako przykładem społeczeństwa wolnego od przestępstw, gdzie każdy ćwiczy cnotę powściągliwości” – przypomina Patricia Buckley Ebrey, autorka „Historii Chin”. Bo na to, jak Zachód rozumie Państwo Środka, wielki wpływ mają dwa czynniki: kto usiłuje zrozumieć i w jakim celu.

Kolos wstaje z kolan

W Waszyngtonie można by założyć kilka klubów sinofobów, na przykład konserwatywny think tank Heritage Foundation stale ostrzega przed militarnym zagrożeniem ze strony Pekinu. Ale już biznesmeni z Nowego Jorku w Chinach widzą tylko przepastny rynek. Prezes Banku Światowego Robert Zoellick i jego główny doradca ekonomiczny Justin Yifu Lin w artykule na łamach „Washington Post” zaproponowali nawet utworzenie chińsko-amerykańskiego G2. Wyszli mianowicie z założenia, że relacje obu potęg i tak w najbliższych dekadach zdominują świat, więc lepiej od razu zmontować oś Waszyngton–Pekin. Tak oto czego innego chcą finansjści, inaczej widzą to politycy, a obrońcy praw człowieka są przeważnie oburzeni.

Zamęt panuje też po drugiej stronie Atlantyku – Unia Europejska do niedawna kokietowała Chiny, szukając antidotum na hegemonię Ameryki. Jeszcze dwa lata temu dyrektor Centre for the European Reform Charles Grant przewidywał, że to Bruksela wraz z Pekinem ustalą nowy globalny ład. Podczas ostatniego szczytu w Davos Grant oświadczył jednak, że europejskie rządy „nie wiedzą, co robić względem Chin, ale wiedzą, że ich dotychczasowa polityka nie działa”.

Jedno nie ulega wątpliwości: wobec Pekinu zaczyna przeważać postawa nieufna. Dyplomacja USA wydawała się dotychczas zbyt miękka, ale niedawna decyzja Obamy o sprzedaży broni dla Tajwanu i spotkanie z Dalajlamą zakończyły tamte umizgi.

Trzeba jednak przypomnieć, że traktowanie Tajwanu i Tybetu przez Zachód jako niezależnych podmiotów jest z perspektywy Państwa Środka ingerencją w jego sprawy wewnętrzne. W tradycji tego narodu dobrem nadrzędnym była troska o zachowanie władzy centralnej i spójności państwa. Gdy Chiny rozrywały siły odśrodkowe, kraj od razu padał ofiarą wojen, których okrucieństwo przeraża wyobraźnię. W 1271 roku Państwo Środka zaatakowali Mongołowie. Przed inwazją ludność Chin liczyła około 120 milionów, według spisu ludności z 1300 roku – o połowę mniej. A to tylko jeden przykład spośród niezliczonych rzezi.

Ostrożność wobec obcych urosła w Chinach do rangi powszechnie akceptowanych priorytetów politycznych, a pamięć tragedii i upokorzeń jest bardzo żywa. Arogancja Chin na scenie międzynarodowej jest też zatem próbą podniesienia się z kolan dumnego niegdyś państwa, które odzyskawszy potęgę gospodarczą, chce też odzyskać szacunek. Martin Jacques, brytyjski dziennikarz, który napisał głośną

książkę „Gdy Chiny będą rządzić światem”, przypomina, że „Chiny były najbogatszą, najbardziej zjednoczoną, najbardziej zaawansowaną technologicznie cywilizacją aż do XVIII wieku”. Europa zdystansowała azjatycką potęgę dopiero po rewolucji przemysłowej i od razu zabrała się do podporządkowania Państwa Środka swoim interesom.

Teraz Pekin bierze rewanż – strofuje szefów innych państw, ignoruje presję Zachodu w kwestii praw człowieka czy ekologii. Jest to zdaniem Jacques’a „pierwsza antyczna cywilizacja”, która na powrót wyłania się z historii i żąda należnej sobie roli.

Chińczycy nie chcą nikogo naśladować, od USA i Europy chcą tylko technologicznego know-how. Bo „z perspektywy Chin historia polityczna Zachodu jest zgola egzotyczna, innymi słowy nie stanowi normy, wedle której należałoby oceniać inne społeczeństwa”, a cóż dopiero państwo na tę modłę budować – twierdzi Jacques Gernet. Sęk w tym, że teraz z Pań-

Cesarz Kang Xi, najdłużej panujący władca Chin



Cywilizacja, najbardziej zaawansowana technologicznie aż do XVIII wieku, na powrót wyłania się z historii

stwem Środka trzeba rozmawiać, biorąc poprawkę na jego narodową mitologię, zgodnie z którą to Chiny są „ziemią pod niebiosami” i centrum świata przestającym inne cywilizacje. Ta asertywność w zderzeniu z poczuciem wyższości Zachodu grozi – jak twierdzi Jacques – „konfliktem osobowości”.

Tyrania nie wytrzyma rozmnażania

I jeszcze jedno złudzenie perspektywy, któremu ulega Zachód: chiński rząd traktuje jak paranoiczną dyktaturę, którą cały niemal naród chętnie by obalił, ale się boi. Kłopot w tym, że postrzeganie władzy w Chinach od zawsze było inne niż w naszej cywilizacji.

Już w klasycznej XVI-wiecznej chińskiej powieści „Kwiaty śliwy w złotym wazonie”

opis władzy, jaką posiadał lokalny cenzor, przywodzi na myśl czasy stalinowskie, ale cenzura zawsze spotykała się w tym kraju ze społeczną akceptacją. Jak pisze Martin Jacques, państwo to dla Chińczyków „ucieleśnienie i strażnik społeczeństwa”. Nie jest ciałem obcym, ale – zgodnie z naukami Konfucjusza – szerzej rozumianą rodziną. Mistrz bowiem wiązał moralność z tradycyjnymi rolami rodzinnymi i społecznymi oraz hierarchią; uznawał porządek państwa, któremu – jak patriarcha – należało się głęboki szacunek.

Oczywiście rząd może stracić bezwarunkowe poparcie, jeśli nastaną głód i chaos – ostrzegali uczniowie Konfucjusza. Monteskiusz trafnie pisał o XVIII-wiecznym cesarstwie: „Kobiety są tam tak płodne”, że „lud w Chinach mnoży się nieustannie”. Trzeba zatem „niestrudzonej pracy, aby wydobyć z ziemi konieczną ilość pożywienia: wymaga to ogromnej baczności ze strony rządu”, ponieważ „najokrutniejsza tyrania nie wytrzyma tam rozmnażania”. I właśnie tego komunistyczne władze boją się bardziej niż Internetu czy globalizacji.

Pan Losu stawia na subtelność

„Powiedzione jest, że ten, kto zna wroga i zna samego siebie, nie będzie zagrożony w stu bitwach” – głosi Sun-Zi w „Sztuce wojennej” z VI wieku przed naszą erą. Nic zatem zaskakującego, że i dziś tak prężnie działa chiński cyberwywiad, o czym głośno było ostatnio w związku z protestami firmy Google. Sun-Zi pisał też: „oświeceni władcy i roztropni generałowie”, jeżeli posłużą się inteligentnymi szpiegami, posiadają wielkie zdobycze. Nie chodzi jednak koniecznie o parcie do wojny. Gernet nieustannie podkreśla, że kultura chińska, zwłaszcza od czasów konfucjańskich, „przekładała dyplomację nad wojnę, ugodę nad konflikt”. „Subtelność! Subtelność! Duchowość! – wywala Sun-Zi. – Tak oto można być Panem Losu wroga”.

Dlatego Chiny, choć często aroganckie, starają się jednocześnie grać na drugim fortepianie i prowadzą wyrafinowaną dyplomację kulturową. Pekin otwiera na przykład instytuty Konfucjusza na wzór takich placówek jak British Council czy instytuty Goethego. Istnieją już w 88 krajach, a od 2004 roku przeszło przez nie ponad 500 tysięcy studentów. Można w nich poznawać kulturę Państwa Środka, uczyć się chińskiego, a wszystko wedle konfucjańskich zasad pokoju i harmonii. Intrigujące, że do finansowania nauki języka w instytutach (sponsorowanych przez Pekin) dokłada się czasem... Pentagon w ramach programu „National Security Language Initiative”.

Trudno już tu dociec, kto, czym kosztem i na czyj temat zbiera informacje. Zresztą i tak Zachód wciąż patrzy na Chiny przez pryzmat własnego wzorca państwa, którego Chińczycy nie mają zamiaru powielać.

* Autorka jest dziennikarką Polskiej Agencji Prasowej

WOLNOĆ, TOMKU, W SWOIM DOMKU

ZA ŚCIANĄ

TEKST MARIA KALINICZ, ILUSTRACJE MAREK RACZKOWSKI



TEGO, CO ZARAZ PRZECZYTASZ, NIE MA W RAPORTACH O STANIE POSIADANIA POLAKÓW. TO NIE SIELSKIE ROZWAŻANIA O TYM, KTO MA W DOMU TELEWIZOR PLAZMOWY, LAPTOP CZY ZMYWARKĘ. **SKUPIMY SIĘ NA BOMBACH, DUSICIELACH, TRUPACH I NARKOTYKACH**

Stałam w przedpokoju, gdy usłyszałam huk – Stanisława Pieniaszek jest zaskakująco spokojna jak na kogoś, komu zważyło się do ogrodu pół własnego domu i jeszcze kawałek budynku sąsiada. Huk był taki, jakby wybuchła cała ulica, przy której mieszkają Pieniaszkowie. A mieszkają w Bydgoszczy przy Kąkolowej. Wybuch ich ogłuszył, więc nie słyszeli już, jak wypadają szyby i gruz wali się na ich 13-letnią wnuczkę Julcię, która akurat siedziała na piętrze. Z połamanymi kośćmi czaszki i krwią zalewającą uszy dziewczynka – o dziwo – sama zeszła do karetki. W szoku nie takie rzeczy człowiek robi. Na przykład wielu sąsiadów wybiegło na ulicę bez płaszczy, butów. A wiało chłodem jak diabli, bo był to listopad zeszłego roku.

Stali, gapili się i debatowali: „Spadła bomba czy samolot?”. Trzy domy w ruinie. A siła rażenia taka, że wyniosła betonowe bryły na dachy budynków o wiele ulic dalej. W pobliskim bloku podmuch zrolował tapety ze ścian. Szczęście w nie-szczęście oprócz Julki eksplozja raniła jeszcze tylko pięć osób, zginęła jedna. To Dariusz Rz., 38-letni bezrobotny. Jego dom podskoczył i zapadł się jako pierwszy. Dlaczego? Co miał w swoim domu, że wybuchło i narobiło aż tyle szkód?

Rusznica pod łóżkiem

Ruiny przy Kąkolowej rutynowo badali pirotechnicy. W zeszłym roku w Polsce dokonano 45 przestępstw z wykorzystaniem materiałów wybuchowych. W zasadzie mogłoby ich być dużo więcej, jeśli się zważy, ile osób produkuje bomby. W lutym do szpitala trafił 22-latek z Żor – miał poszarpane palce, zmasakrowaną żuchwę, wybite zęby. Mieszał siarkę, saletrę, chlorek potasu, magnez, perhydrol. Każdego składnika miał po kilogramie. Wszystko trzeba było wynieść, ewakuować sąsiadów. Wcześniej wpadł konstruktor bomb z Prudnika. Ma 20 lat, a za sobą już wiele detonacji. Odpałał swe produkty na odludziu, więc sąsiadom z bloku nawet do głowy nie przyszło, że mają bom-

bowego chłopaka za ścianą. – Najniebezpieczniejsze substancje leżały w pięciolitrowych pojemnikach pod jego łóżkiem – mówi nadkomisarz Maciej Milewski z Komendy Wojewódzkiej Policji w Opolu.

Łóżko to częsta kryjówka. Czasami też przypadkowy wybór. W domu w Kaczkach pod Ostrołęką nikt nie wpadł na pomysł, żeby naprawić wersalkę. Gdy urwały się drewniane nogi łóżka, zamiast nich jako podpórkę wstawiono dwie bomby z czasów II wojny światowej. Oczywiście kiedy policja zapytała, skąd się wzięły, nikt nie mógł sobie przypomnieć.

O swoich znaleziskach nic też już nie powie 19-latek z Przeroshi pod Suwałkami. Zginął rażony niewybuchem. Po jego śmierci saperzy w domowych zakamarkach znaleźli ponad dwa tysiące pocisków oraz granatów ręcznych i moździerzowych.

Z kolei 37-letni kolekcjoner z podkarpackiej wioski, zanim wpadł w ręce policji, upychał pociski w piekarniku i kaflowym piecu. Czasem dawał je dzieciom do zabawy. Swoim hobby zaraził sąsiada – u niego po kątach leżało 36 bomb lotniczych, dwa pociski przeciwlotnicze i jeden artyleryjski.

We wsiach pod Lublinem i Lubaczowem grupa hobbystów zamieniła się w gang

kurator Rybczak. Później doszły nowsze modele i samodiały.

A to naprawdę nie są wyżyny polskiej pomysłowości. Polak nie w ciemie bity, potrafi zmontować w domu rakietę ziemia-powietrze albo maszynę do produkcji amunicji. W ręce policji wpadają nie tylko zatwardziali przestępcy. Wpadnie też a to właściciel galerii, a to instruktor strzelectwa. A to chłop, który założył, że może kiedyś mu się przyda moździerz, granat lub wyrzutnia pocisków przeciwpancernych, więc zbiera broń, krążąc po poligonach.

Wpadają wzorowi uczniowie, którzy na lekcjach chemii zbierają szóstki, a po szkole w domu upychają po szufladach i tapczanach czarny proch, pentryt albo TATP, czyli nadtlenek triacetonu, niebezpieczną substancję, którą terroryści wykorzystują jako materiał wybuchowy. Przeciennie co roku policja wyciąga z domowych schowków i laboratoriów ponad trzy tony materiałów wybuchowych. Tak więc gdy na Kąkolowej w Bydgoszczy w pył obróciło się tyle domostw, wielu było ciekawych, co aż tak mocno wałnęło? Co też ten Dariusz Rz. trzymał w swoim domu? Wszystkich zdziwiło na przykład, że trzymał pieniądze.



handlarzy bronią. I nie była to banda młokosów. – Najstarsi mają ponad 70 i 80 lat, nie można wykluczyć, że zebraną broń odprzedawali grupom przestępczym – mówi prokurator Jaromir Rybczak z Wydziału do spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Apelacyjnej w Rzeszowie. Ma 21 podejrzanych, a do zamknięcia sprawy daleko. Minie z pięć miesięcy, zanim akt oskarżenia trafi do sądu – tyle jest roboty z hurtową ilością broni i amunicji, którą dotąd udało się wygrzebać z domowych skrytek. W jednym tylko miejscu leżało 14 tysięcy sztuk. – Zaczęło się od kolekcjonerskiego zbierania pozostałości po I i II wojnie światowej – wyjaśnia pro-

– To zagadkowa sprawa – mówi „Przekroju” jeden ze strażaków, który pracował przy odgruzowywaniu bydgoskiej Kąkolowej. Jak na bezrobotnego Dariusz Rz. miał dużo pieniędzy. Leżały w piwnicy zwinięte w rulony. Ile? Wystarczająco dużo, by zapłacić po brzegi torbę do zabezpieczania dowodów. Sąsiedzi mówią o kilkudziesięciu tysiącach złotych, prokuratorzy milczą. Przekazali gotówkę siostrze Rz., bo prawdopodobnie latami mężczyzna zbierał to, czym wspomagała go rodzina.

Taki już los pieniędzy, że często opuszczają dom dopiero wtedy, gdy dojdzie do tragedii albo przestępstwa. My, Polacy, po prostu nie lubimy przechowywać —



→ gotówki w banku. Doktor Maciej Dryl, prezes ISFiA (Izba Zarządzających Funduszami i Aktywami), podliczył, że w domowych skrytkach może się znajdować nawet 70–80 miliardów złotych. I nic nie daje tłumaczenie, że trzymanie pieniędzy w domu jest nieopłacalne. My wiemy lepiej, że nie zaszkodzi im pobyt w zamrażalniku czy doniczce. W Internecie roi się od idiotycznych porad, jak bezpiecznie schować pieniądze, by nikt ich nie znalazł. Oprócz zamrażalnika czy doniczki wskazuje się też: puszki, zabawki, wydrążone książki, ramy obrazów. A zresztą – kto się napadów nie boi, niech dalej ma pieniądze przy sobie. Przecież *pecunia non olet*. Inaczej niż narkotyki.

Góra po żyrandol

Narkotyków też jest sporo w naszych domach, ale kłopot w tym, że wyszkolone psy od razu wyczuwają ich zapach. Poza tym Polacy – szczególnie detaliści – na ogół są kiepskimi konspiratorami. – Poszukiwania nie zajmują dużo czasu, to zwykle standardowe kryjówki – wyjaśnia inspektor Andrzej Gaska, rzecznik śląskich policjantów. Pytany o szczegóły nabiera wody w usta. Za nic nie zdradzi miejsc, które są pewniakami. Trzeba samemu przekopać się przez dziesiątki policyjnych raportów. Wynika z nich, że detaliści swoje konopie uprawiają w doniczkach, szafach, skrzyniach, namiocie rozstawionym w pokoju. Co innego hurtownicy – mocno kombinują, jak poupychać kilka kilogramów marihuany, amfetaminy czy haszyszu, żeby od razu nie rzucały się w oczy. Trochę wsadzić pod zlew? Wybrać szafkę kuchenną? Lodówkę? Spluczkę w łazience? Jeżeli trafi ci się taki sąsiad, to liczyć się z tym, że twój dom jest pod obserwacją i pewnego dnia wpadną policjanci. Razem z drzwiami. Nie na kawę i plotki, bo jeśli ktoś ma narkotyki, to czasami ma też broń.

Spece od przestępczości narkotykowej – co trzeba im oddać – mają sporo sukcesów. Rocznie ściągają z rynku kilkadziesiąt tysięcy sztuk LSD, ecstazy, ponad 450 kilogramów marihuany, 350 kilogramów amfetaminy, po bli-

sko 100 kilogramów haszyszu i heroiny. Ile z tego znaleziono w domach i blokowych kłitkach? – Trudno oszacować, część przejmujemy w drodze, zanim trafi do celu. Część w laboratoriach, także przydomowych. Ale nie jest rzadkością, że w małym mieszkaniu w bloku stoi stół, a na stole waga. No i się dzieli – mówi młodszy aspirant Agnieszka Hamelusz z Wydziału Prasowego Komendy Głównej Policji.

Jeśli dzięki tej policyjnej aktywności zwolni się budynek wcześniej zajmowany przez dilerów czy producenta narkotyków, nie tęsknią za zamieszkaniem w nim. W USA właśnie walczą ten problem. Takie domy – jak się okazało – bywają toksyczne. Wymagają kosztownego czyszczenia. Zwłaszcza gdy mieszkali w nich dilerzy silnego narkotyku w ścianach czy meblach, żeby chorowały dzieci, zdychały psy. W Polsce jednak na razie nie zawiązują się komitety protestujące przeciw trzymaniu narkotyków w mieszkaniach. Za to co chwila mamy protesty przeciwko zbieraczom śmieci.



Nie jest łatwo przejść obojętnie obok takiego sąsiada. Rekordziści potrafią upchnąć w swoim małym dwupokojowym mieszkaniu nawet 20 ton odpadów. I to się czuje. – Nazywamy to zespołem zbieractwa, który zwykle dotyka osoby starsze. Im wszystko może się jeszcze przydać, więc składają, upychają, odkładają – tłumaczy psychiatrę Tomasz Jaroszewski.

Zbieracze mają swoje preferencje. Jedni znoszą ubrania, lalki, gazety czy resztki jedzenia i układają to w kartony. Te jeden na drugim ustawiają wzdłuż ścian aż do sufitu. Gdy zaczyna brakować miejsca, ubijają, dopychają, aż w końcu zostają tylko wąskie korytarzyki, którymi można dojść do drzwi, by ze śmietnika przynieść kolejne rzeczy: podarte rajstopy, przeterminowany serek, zjeżdżałe masło. Są też tacy jak pan Jan z kamienicy w śródmieściu Drezdenka w Lubuskiem, którzy nie zajmują się budową korytarzy, tylko usypują górkę. Jak leci: wózki dziecięce, telewizory, jedzenie, ulotki, książki. Co wieczór wdrapują się na szczyt i zasypiają. Z czasem gubią się w tym, co już zebrali. Pan Jan z pewnością zapominał, że kiedyś przyniósł do domu książkę pod tytułem „Jak wyczyścić prawie wszystko. Porządek od A do Z”. Ale jak ją znaleźć w stercie reklamówek, kabli, wiader? To udało się dopiero w maju ubiegłego roku, gdy po interwencji sąsiadów pod dom podjechała śmieciarka i ludzie z przedsiębiorstwa gospodarki komunalnej zaczęli wynosić wszystkie jego skarby. Krzysztof Korsak, dziennikarz „Gazety Lubuskiej”, który obserwował te porządki, gdy zobaczył cudem odnaleziony poradnik o porządkach, zrobił mu zdjęcie. – Ale smród był nieznosny – wspomina. Jeszcze większy niż góra, którą pan Jan usypał aż pod żyrandol. – Uprzątała ją pięciu ludzi, kursowali od rana do wieczora. Niestety – przeczuwa Krzysztof Korsak – niedługo akcję trzeba będzie powtórzyć. Pan Jan bowiem ani na chwilę nie zarzucił zbieractwa. Zbieracze nie odpuszczają. – Nie ma na nich sposobu. Terapie zawodzą – mówi Tomasz Jaroszewski. W swojej psychiatrycznej praktyce spotkał kilka takich przypadków i w żadnym nie było spektakularnego sukcesu. Jedyna rada – co jakiś czas sprzątać. Choć interwencje w stan posiadania nie cieszą zbieraczy. Nie są to też miłe chwile dla służb miejskich. – Człowiek wchodzi i chce się co-

fać, ma odruchy wymiotne – opowiada Zdzisław Pikula, dyrektor Zarządu Budynków Komunalnych w Prudniku. Był już w wielu śmierdzących mieszkaniach, ale nie stał się dzięki temu bardziej odporny.

Roman Stalmierski, który kiedyś jeździł w bydgoskim pogotowiu, pamięta taką akcję: kamienica w centrum miasta, wąski korytarz z ubitych ubrań i gazet, smród słodko-kwaśno-

gnilny. Rozkładały się i śmieci pod ścianami, i ich właściciel, który zmarł, zanim ktokolwiek zdążył posprzątać w domu.

Ze zbieraczami jest też taki problem, że nawet jak ktoś ma odporność i odwagę do nich zajrzeć, to nie może. Po prostu drzwi są zalane odpadami. Wtedy zostaje okno. Przerabiali to już w Wejherowie i Gdyni. W Opolu, zanim udało się oczyścić mieszkanie, wybuchł pożar. W Bydgoszczy doszło do pogryzienia przez szczury. W Stalowej Woli po uchyleniu okna karaluchy zajęły frontową ścianę bloku. – Ja swoim ludziom mówię: trudno, nie ma co czekać. Załóżcie maski i do roboty! – tłumaczy dyrektor Pikula z Prudnika. To chyba w ogóle pierwsze miasto w Polsce, które postanowiło systemowo walczyć z zamianianiem mieszkań w śmietniki. Wiedzą, że mają 150 bardzo uciążliwych lokatorów, w tym 10 notorycznych zbieraczy, więc interweniuje, zanim będzie za późno. To oczywiście kosztuje – rocznie na samo czyszczenie mieszkań wydają tu 40 tysięcy złotych. Jeszcze więcej na remonty. – Trudno – wzdycha Zdzisław Pikula. – Nie można nic nie robić, bo dojdzie do epidemii. Z zaśmieconych pokoi rozchodzi się przecież nie tylko smród, ale też dobrze odżywione szczury, karaluchy, owocówki, muchy plujki... Mam pisać dalej?

Larwa się kotłuje

A czy wiesz, co może rozejść się po okolicy, gdy twoim sąsiadem nie jest śmieciarz, lecz na przykład hodowca? Mają skorpiony, jadowite pająki, pytony, dusicie, krokodyle. Ile legalne? Nie wiadomo. Właściciele tych stworzeń powinni rejestrować każdy nabytek w starostwie, ale czy robi to połowa, czy tylko jedna czwarta? Nikt tego nie kontroluje. Nagażowane w tej sprawie Ministerstwo Środowiska udziela gładkiej odpowiedzi, że zbiorcze dane dotyczące przynależności gatunkowej i liczby zwierząt hodowanych przez osoby prywatne nie są gromadzone. A problem nie jest wielkości małego żółwia. Ludzie mają naprawdę groźne pomysły: 11 żmij, w planie zakup krokodyla (przypadek z Płocka); pyton, ptaszyniki, żaby, szarańcza (piąte piętro wieżowca we Wrocławiu); lew (Głogów Małopolski). – Wczoraj, jak na mnie ruszył, to pomyślałem, że mnie przewróci. Waży już 65 kilogramów. Same mięśnie! – mówi „Przekroju” właściciel Iwa Leszek Bielenda z Głogowa.

Jeszcze kilka miesięcy temu jego mały Simba pakował się na kanapę. Wkrótce jednak lew skończy rok, a potrzeby rosną: coraz więcej mięsa i miejsca. „Nie można tak krwiożerczej bestii trzymać w domu. Lew może być w zoo lub cyrku” – usłyszał Bielenda od sąsiadów i urzędników. Żeby więc się odczepili, miesiąc temu zarejestrował cyrk.

Są jednak ludzie, którzy pozbywają się egzotycznych ciężarów lub po prostu nie dbają o to, co się z nimi dzieje. W Obornikach wykamieniał panika, bo komuś zapadł się ptaszyn. W Bydgoszczy na osiedlu nie wiadomo,

skąd wziął się rzadki albinotyczny boa dusiciel. W Krakowie wąż koralowy wpadł komuś do kuchni. W Szczecinie pyton przemieszczał się z balkonu na balkon, a w Gorzowie owinał się wokół choinki wyrzuconej na śmietnik.

I nie ma co straszyć, ale warto uprzedzić: kto ma w sąsiedztwie krokodyla, dusiciela albo ptaszynika, ma też w pobliżu ich pokarm. W takiego na przykład *Boa constrictor* gładko wchodzi żywe myszy, szczury, chomiki, świnki morskie. To zwierzęta karmowe i trzeba je ściągnąć pupilowi do domu. Ewentualnie samemu wychodować. Nawet właściciele jadowitych pajaków mają robotę z pokarmem: trzeba organizować wylęg świerszczy, zadbać o muszki owocówki. Przydają się też larwy mącznika młynarka, karaczany, drewnojady. – To wszystko kotłuje się i trawi za ścianą mego mieszkania? – zapytasz przerażony. No cóż, jeśli masz sąsiada, który lubi zwierzęta, to owszem.

Nie wiem, czy to pocieszenie, ale bywa jeszcze gorsze sąsiedztwo. Na przykład martwych ludzi. I to od dawna martwych.

Kochanek upycha ciało w kuchennej wnęcie i stawia murek. Dopóki nie przyjdą fachowcy z georadarem, sąsiedzi nic nie czują



Tą sprawą musieli zająć się policjanci z polskiego Archiwum X, ale może zainteresuje ona producentów filmowych. Jest Kraków, maj, miłość, zdrada i śmierć. Słowem: żona knuje z kochankiem, mąż ginie. I jak pozbyć się zwłok? Kochanek upycha niechciane ciało w kuchennej wnęcie i stawia murek. Dopóki nie przyjdą ściągnięci przez rodzinę męża fachowcy z georadarem, sąsiedzi nic nie czują. Z kolei w Płocku w zmyślnym kuchennym sarkofagu nieżywy mąż Zofii L. przeleżał trzy lata. W Grybowie syn, który zabił matkę, podzielił jej ciało. Część ugotował, część spalił, część zamurował pod schodami. To trzy głośne wyjaśnione sprawy z ostatniej dekady. Ile jest niewyjaśnionych?

Oczywiście łatwiej jest odnaleźć ciało, jeśli nie jest zamurowane. Ale i to potrafi zająć trochę czasu. Weźmy ostatnie przypadki. Komunizmystyczny klocek z mieszkaniem do wynajęcia na bydgoskim osiedlu Brdyujście. Starsze małżeństwo mieszka na piętrze. Prawdopodobnie się kłóca, on chwytą za nóż. Pewne jest,

że kobieta ginie od ran zadanych tym narzędziem. I że martwa bardzo długo leży w łóżku. Mąż jedynie przykrył ją kołdrą i poduszka. Prawdopodobnie co noc kładł się obok. Sąsiedzi dopiero teraz – kiedy sprawa się wydała – zaczynają kojarzyć fakty. Po pierwsze, kilka tygodni wcześniej ustały awantury. Jak nożem uciął. Po drugie, ona przestała się pokazywać. Po trzecie, on zaczął mniej kupować w sklepie. Tak, teraz to sąsiadom pasuje. Ale wcześniej, kto by podejrzewał, że za ścianą leży trup?

W Gliwicach na przykład 42-latek zwoził wszystkich przez półtora roku. Ułożył martwą matkę na wersalce i przykrył kocem. Drzwi do pokoju zamknął, uszczelniał pianką. Odbierał za matkę emeryturę. Sąsiedzi dopytywały, co z Krysią, ale spryciarz umiał je zbyć. Mówił, że wyjechała do rodziny, to znów że na leczenie. – Jedna sąsiadka nie dawała za wygraną, zawiadomiła dzielnicowego. Ale i dzielnicowy był oszukiwany – wspomina sprawę komisarz Marek Słomski z komendy w Gliwicach. – W końcu sprawą zajęli się wywiadowcy.

Gdy odkryli zwłoki pani Krysi, nawet nie byli w ciężkim szoku. Po pierwsze, trochę jednak ich się spodziewali. Po drugie, zwłoki były już ładnie zmumifikowane. Komisarz Słomski nie pamięta, żeby w tym rejonie komuś udało się wcześniej aż tak długo przechować trupa w domu. Raz w powiecie była podobna historia – też nieboszczyk i też emerytura nie szła na zmarnowanie. Wtedy to jednak trwało „zaledwie” siedem miesięcy.

A co do ciała Dariusza Rz. z Kąkolowej w Bydgoszczy – strażacy wydobyli je z ruin po niespełna trzech godzinach. Sąsiedzi byli zrozpaczeni, że taki fajny chłopak, a nie żyje. – Szkoda Darka – mówi „Przekroju” Piotr Bellon, jego najbliższy kolega. – Był porządny, taki pedant. Wciąż by sprzątał. Fajny sąsiad.

Nie gromadził śmieci, nie miał groźnych zwierząt ani materiałów wybuchowych. Po śledztwie okazało się, że w przypływie myśli samobójczej postanowił odkręcić gaz i rozpalic w domu ognisko.



Rozmowa odbyła się
 17 lutego 2010 w Warszawie

EWANGELIA WEDŁUG PILOTA

Czas już na zdanie: „I tak właśnie, drogie dzieci, wyginęły Miszczaki”?

– Świat mediów elektronicznych trochę zmierza w tym kierunku. Ale tylko trochę. Mogę jeszcze liczyć na leniwców.

Czyli?

– Wierzę, że leniwi będą ciągle chcieli mieć przewodnika, łaskę niewidomego, psa przewodnika, który ich przeprowadzi przez ten teleświat.

Jeśli zachowają potrzebę drogi i celu. Problem polega na tym, że media współczesne i świat handlo-usług mówią: poza tobą celu nie ma, bądź taki, jaki chcesz, wolny... Czyli kup nasz produkt!

– Jednak generalnie to wszystko służy gigantycznej wolności użytkownika, widza, słuchacza, czytelnika. Tylko on dostaje tak ogromną ofertę, że jej nie przerobi. I dlatego będzie chciał mieć przewodnika, który mu powie, co można w tym momencie zrobić i na co warto spojrzeć. Poza tym w tym tsunami ofert jest wiele oszustw. Nie da się wszystkiego pomierzyć, sprawdzić, bo ciągle badania są mechaniczne...

Oszukują w jakim sensie?

– Teraz w Stanach jest przeprowadzane badanie, w którym grupa fokusowa jest pytana na wieczorem: „Co naprawdę zapamiętałeś z telewizji?”

Ale przecież telewizje nie są od tego, żeby coś pamiętać, i dlatego mówię, że „era Miszczaków się skończyła”.

– Nie, Miszczaki zostają i mają zostawać. I to badanie jest dla mnie gigantyczną nadzieją, że jeśli wkładam ogromny potencjał w nasz program rozrywkowy, a on kosztuje w okolicach miliona złotych za odcinek, potem mnóstwo starań, konferencje prasowe, cała komunikacja z rynkiem, to w takich badaniach ten program będzie królował! W naszej ofercie na wiosnę teraz są dwa nowe pol-

Czas umierać i... urodzić się na nowo.

A zmartwychwstanieś tylko z pilotem w rękę

– tak nowy świat widzi **Edward Miszczak**,

dyrektor programowy TVN

skie seriale i my już tańczymy po rynku, pokazując, że halo, halo – oto „Klub szalonych dziewic” i „Usta, usta”!

Czyli tańczycie na rurze...

– Wydajemy bardzo dużo pieniędzy, żeby powiadomić naszego widza, że jest u nas coś nowego i fajnego. Pomagam teraz moim kolegom z Onetu, którzy uruchomili VoD Onet. I po starcie okazało się, że w ciągu 48 godzin pół miliona ludzi w to weszło. Nasze dwa seriale, które tam się pojawiły, obejrzało ponad 200 tysięcy osób, a to dopiero startuje! Cała filozofia, którą teraz budujemy, dojścia do kontentu telewizyjnego użytkowników rynkowych poprzez VoD, czyli generalnie mówiąc: widzę coś na ekranie, to...

**Nie chcę rozmawiać z działem PR stacji TVN, tylko z Edwardem Miszczakiem. Nie masz wrażenia, że pracujemy w coraz po-
 wierzchniejszym, głupszym świecie?**

– Kompletnie nie. Tylko się zmieniamy, przynajmniej ja się zmieniam, razem ze światem. I w tym nowym świecie za chwilę największe pieniądze będzie kosztowała wiedza obecna w każdym domu. Telemetria może pomierzyć ekran telewizora, ale obyczaj, nawyk, to, jak są użytkowane domowe centra rozrywki, na razie jest nieznane. A VoD to nie jest dział marketingu, tylko przyszłość. Pamiętasz taką sytuację, że najpierw mamy telewizor w salonie, potem dwa, bo pojawił się w kuchni...

Potem trzeci w pokoju dzieci...

– A teraz jest filozofia „nie mamy telewizora w sypialni”. Pojawiła się moda na niepo-

siadanie telewizora, ale czy to znaczy, że ludzie, którzy nie mają telewizora, nie oglądają kontentu telewizyjnego? Oglądają, tylko według nowej filozofii trzech ekranów: dużego telewizyjnego, średniego komputerowego i małego telefonu komórkowego. A VoD co mi daje? Idę do toalety i nie rozkładam „Polityki” ani „Przekroju”, tylko biorę sobie na kolana kompa.

Czym powodujesz mój niepohamowany wybuch śmiechu, bo żeby ma-

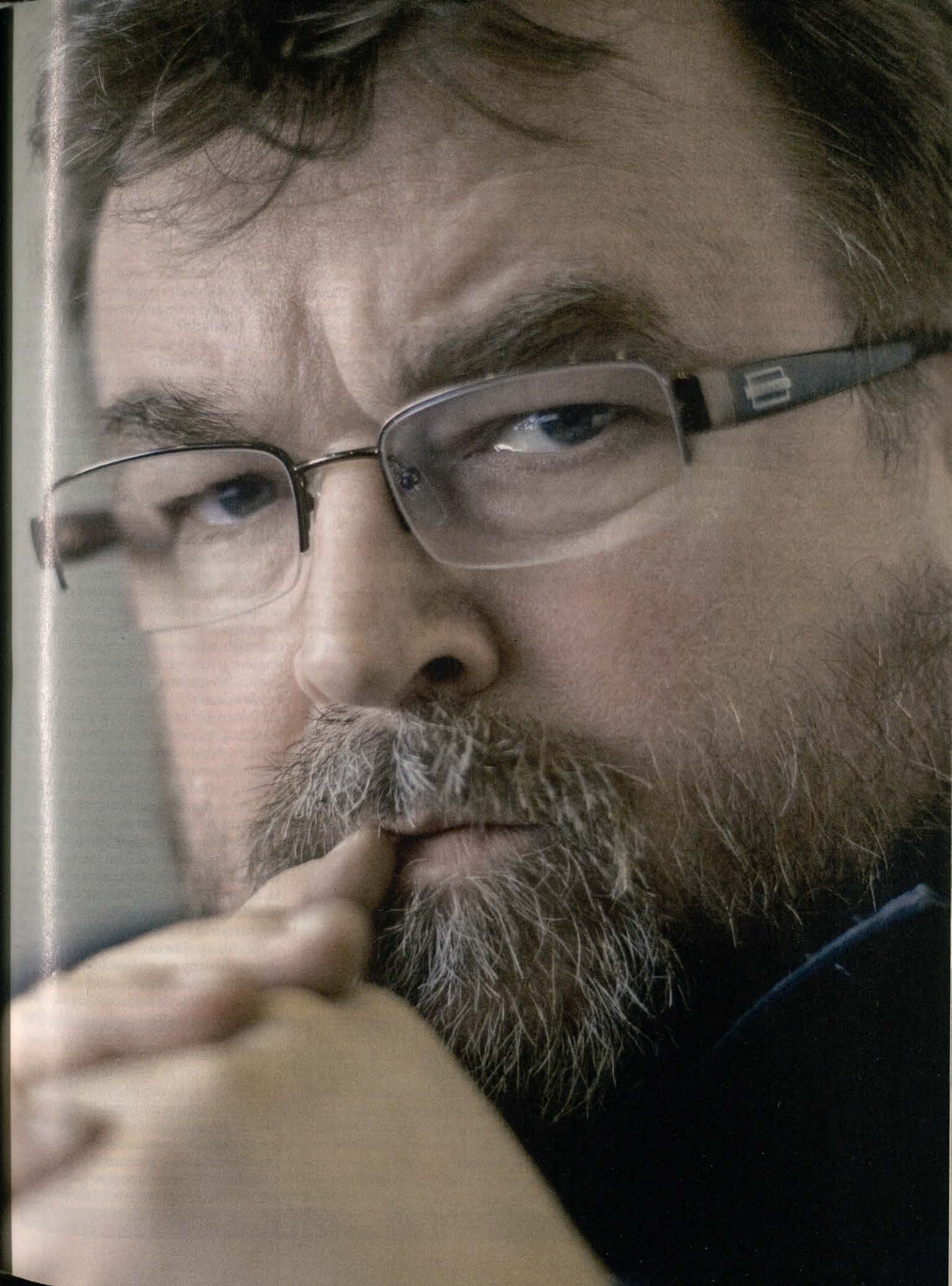
szerować do toalety z komputerem?

I co to ma wspólnego z rozwojem?

– Ma, bo dawniej musiałem ustawić deskę do prasowania przed telewizorem, jeśli chciałem sobie oglądać i prasować. Teraz na desce lub obok stawiam kompa.

Budzenie w ludziach wolności, kultywowanie tej wolności nie polega na udostępnianiu im w różnych dziwnych miejscach kontentu telewizyjnego.

– Mówię o swoim podwórku. A na nim damy ogromną wolność wyboru swojemu widzowi. Dawniej musiał czekać na newsy o 19, a teraz ma newsy przez całą dobę. A jeśli nie chce ich na okrągło oglądać, bo uważa to za stratę czasu, włącza sobie komputer i spokojnie przegląda je hurtowo, bo mamy cały magazyn newsów z danego dnia. Potrzebuje obejrzeć swój ukochany serial amerykański albo premierowe odcinki naszych nowych seriali? Dajmy mu szansę na życie w legalnej strefie w domu! Przez całe lata słyszeliśmy, jeśli jest „zły dotyk” dziecka, „zły





→ dotyk” żony, pojawia się policja i musimy zrozumieć, że jeśli będzie „zły dotyk” komputera, to też będzie policja. Wierzę, że do ludzi dotrze świadomość, że jeśli mogą zapłacić dwa złote za kolejny odcinek, to lepiej nie ściągać go nielegalnie.

Ty mówisz o legalnych rurach, które im zamontujesz w domu w różnych miejscach i o różnej grubości, a ja pytam, co będzie leciało z tych rur? Czy czasem nie tworzymy wspólnie, ty i ja, świata rozrywki, który nazywamy światem wolności, a korzyści z niego są głównie handlowe?

– Czuję w tym pytaniu to staromodne pytanie o misję... Podglądamy trochę w naszej firmie rynek angielski. Tam komercyjny Sky utworzył cztery kanały wysokiej kultury, wszystkie są w abonamencie. To uczy człowieka legalnego podejścia do kontentu, do produktu, że idziesz do sklepu i płacisz. Że chcę zapłacić za program telewizyjny, ale on ma być wysokiej jakości i tak posgregowany, żeby nie dostał tego, czego nie chcę, bo nie chcę zanieczyszczać swojego komputera. Wiedząc o tym, wkurza mnie, że „misja jest to, co robią telewizje publiczne”, najbardziej krytykowane, najbardziej nienawidzone wszędzie na świecie. Abonament w Polsce nie ma oznaczenia, nadal nie masz za ten abonament żadnego wpływu na to, co oglądasz! A w Sky zapłacę ten abonament i dostanę ten projekt do swojego komputera. I widocznie tych chętnych, którzy tego chcą, musi być dużo w tej Wielkiej Brytanii, skoro są już cztery kanały poświęcone wysokiej kulturze i sztuce. A to znaczy, że to jest do zrobienia. Tak będzie w przyszłości także w Polsce, ale nie w wyniku tego obłędnego mielenia słowa „misja”. Jest w Krakowie festiwal teatralny, na który trudno się dostać, wszystkie sale wypełnione po brzegi, polskie teatry walczą o palmę pierwszeństwa. Sfilmowanie tego, włożenie do specjalnego kanału, zrobienie 20 wywiadów przy okazji to jest przyszłość! Dziś nie ma możliwości komercyjnego sfinansowania tego przedsięwzięcia, ale skoro widzowie są, to w przyszłości to sfinansują!

Poznałem Miszczaka na początku lat 90. w budynkach plebanii w Zakopanem, kiedy współtworzył Radio RMF. Napalonego na wolność w eterze, na wolność słowa. Po prawie 20 latach uważasz, że dobrą drogą poszliśmy, drogą, na której wolność ma głównie wymiar handlowy?

– Tamta wolność się zrealizowała w radiu, bo ono nie było przez polityków tak skrzętnie pilnowane politycznie. Udało się budowanie nowych mediów, fundamentu nowej informacji i czystego przekazu. Szybko pojawiła się możliwość wyboru kanału, muzyki i informacji. W podobnym tempie nie rozwijały się telewizje, bo świat polityki z hipokryzją uznał, że „musi chronić” telewizję publiczną, a w domyśle posady w niej do rozdania swoim.

I dlatego pierwszą koncesję prywatną dostała wtedy najsłabsza oferta. I te hamulce działają do dzisiaj. Dopiero teraz cyfryzacja przyniesie prawdziwą demokrację użytkownikom mediów elektronicznych, prawdziwy wybór. Ale te 20 lat nie było stracone! Dzisiaj np. nie mamy kłopotu z pracą jako mniejszość w Wielkiej Brytanii, bo pracujemy lepiej, jesteśmy bardziej wydajni – jestem dumny z zachowania Polaków. Pękły bariery językowe w kraju, gdzie cały czas dominował rosyjski, a angielski był dla wybranych! I takie media jak nasze miały na to ogromny wpływ. 11 edycji „Tańca z gwiazdami” sprawiło, że Polacy tańczą dzisiaj na skalę światową, że nie boją się swojej fizyczności, że nie wstydzą się tego, jak wyglądają, że są w stanie wyjść na parkiet, za tańczyć i robią to obłędnie, że się zmieniają...

A nie komentują sukienki, nie wyśmiewają się z uczestników?

– Nie tylko, powstały setki szkół tańca, też po to, by zrzucić kilogramy, inaczej wyglądać.

Co dalej z „Teraz My”? Decyzję podejmujemy w czerwcu. To jest rok wyborczy!

EDWARD
MISZCZAK

Podejście do fizyczności się zmieniło. Ubieramy się lepiej, pamiętam czasy sweterkowe, a dziś Polska jest już w garniturach! Zmieniają się media, ty pochodzisz z „printu” i wiesz, że będą miały bardzo ciężko na rynku te tytuły, które nie dorobiły się swego właściwego obrazu w necie. Dzisiaj medium opartemu tylko na jednym wydrukowanym raz w tygodniu tytule ciężko będzie żyć. Bo nie ma już rynku prasy drukowanej, rynku mediów elektronicznych, jest rynek medialny. Dzisiaj portale internetowe, które jeszcze dwa lata temu były pełne tekstu, mają go coraz mniej. Coraz więcej jest wideo, zdjęć, obrazków...

Co odbiera nieco rozumu twojemu netowi.

– Ale nauczymy się go przywracać. I według innych standardów! Czy ortografia będzie nam potrzebna za parę lat? Już dzisiaj poprawia nas słownik komputerowy. Coraz więcej słów ze względu na brak czasu skracamy do symboli, to są prawdziwe zmiany.

To może być niebezpieczne. Wiadomo, że większość stanowią głupszy, mądrzejsi należą do mniejszości. Jeśli więc wszystkie treści prezentowane publicznie są zależnymi od ich sprzedawalności, to silne rzeczy głupsze treści będą się sprzedawały masowo i one wyprą mądrzejsze.

– To nieprawda, mam lepsze mniemanie o swoich widzach, twoich czytelnikach.

Wiara w leniwcę?

– Dlaczego zakładasz, że człowiek chce skorzystać z czegoś coraz gorszego, a nie z biegiem czasu lepszego? Kai Diekmann, naczelny „Bildu”, pokazywał nam kiedyś badania, z któ-

rych wynikało, że od „Bildu” lekturę prasy zaczynały wszyscy profesorowie na uniwersytetach i politechnikach w całych Niemczech.

Bo to jest dla nich jak pójście do zoo.

– Czy do cyrku. I czy oni się tym chwalą, czy czytają tylko „Bildu”? Nie, czytają także duże tygodniki opinii, bo ludzie nauczyli się konsumować media. Wiedzą, że są przystawki, pierwsze danie, drugie i desery.

Po co jest dzisiaj telewizja? Czy tylko, żeby sprzedać?

– Ma pomóc człowiekowi znaleźć się w tym wirtualnym świecie na jego sposób.

Ale po co on ma się znajdować w tym wirtualnym świecie?

– Bo chce.

To mu nie zaszkodzi?

– Może czasem szkodzimy, ale biorę gazetę do ręki i też muszę umyć ręce.

Nie mówię, że tylko telewizja...

– Dostarczamy mu do domu na ekran telewizora różnorodny świat. Jeśli nie chce z niego korzystać, może wyłączyć, ma pilota.

Czy jednak my wszyscy razem nie odrywamy go od samego siebie, tłumacząc, że to dla jego dobra? Próbowaliśmy mu zastąpić jego potencjalne życie?

– Nie. Dlaczego on chce słuchać muzyki? Bo go wprawia w lepszy nastrój. Dlaczego chce obejrzeć film? Bo na przykład chce z powodów eskapistycznych wyłączyć ten zewnętrzny świat i wprowadzić się w świat wirtualny. Ale telewizja, w której ja pracuję, dostarcza mu też czegoś niesamowitego – możliwości sfotografowania własnego ja.

W jaki sposób?

– W ważnych kwestiach politycznych i innych może odnieść swoje poglądy do poglądów innych ludzi. Bo pozna je na naszych antenach. To jest istotne w TVN, ta telewizja jest budowana pod tym kątem. I na dodatek będzie mu to sprawiło estetyczną przyjemność, bo na tym nie oszczędzamy. Słyszemy z obrazu zbudowanego według najlepszych reguł.

Może to już przeszłość? Bo czy znakiem tego, że jakieś czasy się kończą, nie jest to, że Rymanowski i „Teraz my” mają przejść do TVN24, a w TVN mają być filmy, rozrywka i seriale?

– Nie. Mamy zjawisko fragmentacji rynku. Jest on dzielony na ogromną liczbę strumieni. TVN staje się bardziej rozrywkową telewizją, TVN Style kobietą, TVN Turbo dla rynku męskiego, a TVN24 dla ludzi kochających publicystkę i kochających słowo.

Czy to nie jest znak czasów?

– Nie wiem, czy to jest znak czasów! Decyzję o tym, co będzie z tymi dwoma programami, podejmujemy w czerwcu! To jest rok wyborczy! Jak zobaczymy, że ten produkt jest teraz dla naszej widowni najistotniejszy, bo ciągle robimy badania na temat tego, czego ona poszukuje. Jeśli przebiegające przez kraj tabuny wyborcze będą na tyle atrakcyjne, to zastawimy programy publicystyczne! Zobacz, co się dzieje z publicystką w Polsce. Tomasz

Lis ma takie świetne efekty, bo przed nim jedzie czołg „M jak miłość”. Obraz kontrolny też by miał po tym czołgu oglądalność!

Bądź sprawiedliwy.

– Świetny program, ja bym go w publicznym kanale informacyjnym z radością oglądał i codziennie, tak jak Monikę Olejnik w TVN24, bo ten facet ma coś do powiedzenia. Monikę oglądają dzisiaj ludzie, którzy spijają słowa z jej ust, słuchają każdego jej słowa, a kiedy była w „dużym” TVN, usłyszałem od starszej pani, że „o 23 jakaś blondynka tam występuje”, bo była cała masa widzów nieaktywnej, która ogląda telewizor tylko dlatego, że jest włączony.

Potrafisz sobie wyobrazić, po co będzie telewizja za 10 lat?

– Po pierwsze, wierzę, że nie będzie szaleńców, którzy będą kontrolowali treści. Człowiek będzie panem swojego monitora. Jaki on będzie – czy malutki, czy większy – licze na ogromną interaktywność. Ta interaktywność stanie się częścią życia społecznego.

A jeśli będzie zabierała prawdziwe życie?

– Ale też dzięki niej będzie można stać się np. szlachetnym człowiekiem. Zobacz, jak ogromne pieniądze gromadzi nasza fundacja. Pieniądze społeczne, od widzów dla widzów. Mielimy ogromną dyskusję nad wysokością ceny za SMS i wygrał głos, że to będzie złotówka. Miałem okazję w jednym z prywatnych domów podglądać rewelacyjną scenę, intymną: przed telewizorem dzieci, ojciec z telefonem komórkowym, czasy kryzysu, na ekranie wzruszająca opowieść, która robi wrażenie na ojcu i on wysyła SMS za złotówkę. Wraca podziękowanie wydrukowane na ekranie malutkiego telewizora: „Bardzo ci dziękujemy, że wzięłeś udział w akcji charytatywnej. Z tych pieniędzy będą wsparte dzieci chore na mukowiscydozę”. Dzieci patrzą z szacunkiem na ojca, a on wysyła drugi SMS za złotówkę. To ogromna akcja edukacyjna.

Czy to nie jest smutne?

– Nie jest.

Że człowiek realizuje swoje człowieczeństwo i współczucie przez SMS?

– To tylko narzędzie. Na dodatek bardzo czyste i czyste. Te pieniądze idą w bardzo dobre ręce, na wsparcie czegoś fantastycznego.

Telewizja za 10 lat?

– Licząc na lenistwo, będę wierzył, że dalej będę miał pracę, bo ludzie będą potrzebowali

małego pilota, przewodnika. I ty, i ja chodzimy na zakupy. Poszedłeś kiedyś na nie pod wpływem komunikatu: „idź kupić”? Nie.

– Wiesz, co ci pasuje, wiesz, co dobrze na tobie leży... Ale możesz też włączyć program telewizyjny, gdzie normalnie wyglądający ludzie pokazują, co jest brzydkie, a co jest ładne. Czyli za 10 lat telewizja będzie pełniła gigantyczną funkcję edukacyjną, prawdziwie edukacyjną. Już dziś programy poradnikowe są niesamowite. Furorę zrobiła „Supernia”! Bo się okazało, że w tym świecie pogoni za wszystkim zapomnieliśmy, jak wychowywać własne dzieci, zapomnieliśmy poświęcić im we właściwym momencie czas. Był taki program „Big Brother”, miał największą oglądalność w kategorii najwięcej zarabiających i najwyżej wykształconych widzów, dlatego że ten program dawał im story rozbijające ich samotność. Często pogubieni w swoich wielkich mieszkaniach, z dużymi kontami, z samochodami mieli pusto w domu i nagłe mogli zerknąć przez to okienko i zobaczyć jakiś świat. Ale w tym programie była też niesamowita historia edukacyjna. Jeden z uczestników programu, mężczyzna, wiarogodny, wszedł do łazienki z torbą kosmetyków! To był jeden z bardziej edukujących mężczyzn momentów w polskiej telewizji! On pokazywał im to, czego oni nigdy się nie dowiedzieli, bo mama się spóźniła z taką informacją, bo ojciec się wstydził powiedzieć,



bo koledy z podwórka nie mieli takiej torby z kosmetykami.

Nie boisz się, że za 10 lat telewizja będzie bardziej służyła oszałamianiu, żeby widzowie przeżyli życie bez komplikacji dla rządzących, dla handlowców...

– Absolutnie nie! Kiedy budowaliśmy RMF, marzyliśmy o tym, że radio będzie totalne, że wydarzenie jest tam, a ja będę słyszał o nim gdzie indziej. Udało się. A dzisiaj zasada, że w radiu słyszę, wchodzę do domu i widzę, już się stała faktem. Technologia da też ogromne możliwości mądrego uczestnictwa – że mam kłopot z dostaniem się na premierę, nie jestem w kręgu zapraszanych gości, to w przyszłej telewizji będę miał tę premierę na ekranie swojego telewizora, kompa, telefonu. Stać mnie będzie na wybranie świata, w którym będę się poruszał. Być może będą potrzebne medialne konfesjonały, rurociągi między poszczególnymi społecznościami. Być może, żeby zobaczyć, jak żyją „ci na Pradze”, będziesz musiał włączyć jakiś inny program telewizyjny, żeby na nich popatrzeć, bo może te społeczności z różnych rynków będą potrzebowały zerknięcia do siebie i będą mogły to dzięki telewizji zrobić! Ten świat się za wiele nie zmieni, on ciągle będzie atrakcyjny dla indywidualnego człowieka, tylko do tej pory ja jako widz, słuchacz byłem czasem pogardzany, traktowano mnie jak masę i nie miałem innego wyboru. A teraz mam i w przyszłości jeszcze bardziej będę miał wybór.

Jeśli nie będę oszołomiony nadmiarem.

– Wierzę, że nie. Będzie 800 kanałów, ale cztery dobre, więc poszukiwane. Ty straszysz spleceniem, oszołomieniem, a my na dzisiaj mamy kłopot tylko z wyborem, my ciągle nie mamy jeszcze pełnego! Na razie ruszyło tsunami i trzeba je tylko uporządkować! My to nazywamy w TVN wojną świata analogowego z cyfrowym. Książka jest może jeszcze analogowa, dotykasz papieru, ale jej produkcja już jest cyfrowa. To są zjawiska pędzące błyskawicznie! Świat, nasze obyczaje są jeszcze analogowe. Są domy w Polsce, w których są tylko cztery kanały telewizyjne, ale to jest już tylko jedna trzecia domów. Dwie trzecie ma już kompletnie inny świat, dostępność do wersji językowych, tematycznych, formatów, jakie chcą! Zresztą za moment nie będzie problemu komunikacyjnego, Internet stał się najbardziej demokratycznym...

Śmietnikiem w historii. I widzę problem paraliżującego nadmiaru: informacji, pseudoinformacji, emocji, histerii, pseudopsychologii handlowej. Ten nadmiar zabiera ludziom ich życie.

– Zobacz, jaką ogromną karierę robi teraz Facebook, dostawca dobrych nowin. Podajesz tylko kryteria, co ci interesuje, i ten inny świat do ciebie nie dociera. Ktoś, montując tę całą strategię, przewidział, że jeśli podasz parę słów kluczy, to zostanie ci zbudowana przestrzeń, w której będziesz się czuł komfortowo. I nie będziesz jej nazywał śmietnikiem! □

Edward Miszczak ma 55 lat. Dyrektor programowy TVN. O tym, co pojawia się na antenie tej telewizji, decyduje od 12 lat. Do jesieni 2009 roku był też wiceprezesem stacji. Jego pierwszym programem w TVN była „Cela”, w której rozmawiał z polskimi więźniami odsiadującymi wyroki w zagranicznych więzieniach. Zanim w 1997 roku trafił do TVN, przez 7 lat pracował w RMF FM – przeszedł tam drogę od przygotowującego serwis informacyjny po dyrektora anteny i wiceprezesa radia. Jego autorską audycją były wtedy rozmowy z pasażerami nocnych pociągów. Zaczynał w Radiu Kraków, gdzie popularność przyniosły mu reportaże o Katyniu i Sybirakach. Za całą swoją pracę w mediach otrzymał w 2007 roku Superwiktora. W 2009 roku został nagrodzony tytułem Człowieka Mediów w konkursie Media Trendy. Urodził się w Jaśle, w Krakowie studiował historię. Żonaty, ma dwóch synów.

– apa



Serafin Janik
nigdy nie był
biathlonistą, ale
to on wytrenował
mistrza świata
Tomasza Sikorę

POSZUKIWACZE ZŁOTA BARTEK DOBROCH

TRENERZY PIERWSZEGO KONTAKTU

DOKTOR JUDYM ŻYJE. RZUCIŁ MEDYCYNĘ, ŻEBY WYSZKOLIĆ KOWALCZYK, MAŁYSZA I SIKORĘ. SZCZĘŚLIE KILKU NASZYCH OLIMPIJCZYKÓW W VANCOUVER

SZĘŚCIOLATEK SIADA NA MOSTKU SIEDEM-nastometrowej skoczni w Wiśle-Centrum. Ma buty o dwa numery za duże, bo mniejszych w klubie nie było. Skok obserwuje jego wuj – świeżo upieczony trener Jan Szturc. Przy lądowaniu narty się rozjeżdżają. Chłopak leży na śniegu w samych kopycach, jak po wiślańsku nazywa się welniane skarpetki. Ale jest uparty: wstaje, zakłada buty i dźwiga narty na górę. Tamten moment, w 1983 roku, przesądził, że Szturc wziął Adama Małysza pod trenerską opiekę. Chłopca znał od najmłodszych lat. – Pamiętam, gdy jako może czterolatnie dziecko budował obok domu skocznię – opowiada Szturc.

Pięć lat później naukę w szkole zawodowej w Rybnickiej Fabryce Maszyn zaczyna Tomasz Sikora. Nauczycielem WF jest tam Serafin Janik, założyciel sekcji biathlonu w zakładowym klubie Ryfama. – Dopiero

u mnie Tomek miał styczność z karabinem, choć w podstawówce trenował biegi narciarskie – wspomina Janik. – Od razu się wyróżniał. Miał spokojną rękę i bardzo dobrą wytrzymałość.

W 1995 roku Stanisław Mrowca, doświadczony trener klubu Maraton Mszana Dolna, przyjeżdża na międzyszkolne zawody w biegach przełajowych. Jeśli tam ktoś osiągnie dobry wynik, jest niemal pewne, że będzie też dobrze biegał na nartach. – W klubie pracowałem 20 lat. Już kończyłem pracę, a tu pojawił się taki fenomen – mówi Mrowca, odkrywca i pierwszy trener Justyny Kowalczyk. – To były mistrzostwa dawnego województwa nowosądeckiego – dodaje Janusz Kałużny, nauczyciel WF, który opiekował się Kowalczyk w podstawówce. – Chodziła do szóstej klasy, ale zgłosiłem ją do grupy ósmoklasistek. Chciałem zobaczyć, jak wypadnie

na tle starszych dziewcząt. Justyna je zdeklasowała.

Mrowca: – Jak zawodniczka wygrywa na 1500 metrów z przewagą 100, to znaczy, że objawił się nowy talent.

Próba limanowska

12-letnia Justyna pochodzi z Kasiny Wielkiej, chodzi tam do klasy z poszerzonym WF. To pozostałość po tak zwanej próbie limanowskiej. W latach 70. władze uznały, że powiat limanowski stanowi doskonały teren do uprawiania sportów zimowych – niektóre szkoły, między innymi w Kasinie, Porębie Wielkiej czy Kamienicy, dostały wtedy narty, a nauczyciele przeszli kursy trenerskie. To był właściwie ostatni raz, gdy państwo próbowało uruchomić szerszy program nastawiony na wyłuskanie i szkolenie przyszłych narciarskich czempionów. Reszta pozostała w rękach judymów.



Trener łyżwiarek Marek Pandyr: „To ja, a nie rodzice, spędzam z zawodniczkami najwięcej czasu”

sam może dążyć do celu, ale w pierwszych latach szkoleniowiec musi go zarazić sportem, ukierunkować – tłumaczy Krzysztof Sobański, który w Szkole Mistrzostwa Sportowego w Zakopanem trenował Kamila Stocha. Dziś pod tym samym dachem uczy kolejne pokolenie skoczków. Tych, którzy olimpijską szansę dostaną być może za cztery lata w Soczi.

Tyle że na drodze do celu piętrzą się same przeszkody. Psychika, która nie zawsze nadąga za rozwojem fizycznym. Nauczyciele, dla których sport to tylko zawada w nauce. Obiekty sportowe, które są zbyt daleko. Pieniądze, których zawsze brakuje.

Także rodzice, którzy mają inną wizję przyszłości dziecka. Z ambicji sportowych Justyny i trenera Mrowca początkowo niezadowolona była jej mama, nauczycielka w szkole w Kasinie. Janina Kowalczyk chciała, żeby córka została adwokatem. Albo lekarzem. Postawiła warunek – Justyna pójdzie do szkoły sportowej w Zakopanem, jeżeli zdobędzie mistrzostwo Polski młodzików. – Zapytała: „Co będzie Justyna z tego mieć, że zostanie nawet mistrzynią Polski?” – mówi Mrowca. – Odpowiedziałem: „Nic. Może satysfakcję. Ale jak będzie mistrzynią świata, mistrzynią olimpijską...” →

mniejsza, najlepiej serwowala. Także z koszykówką nieźle sobie radziła. Zawsze miała w sobie upór.

To właśnie upór sprawił, że 13-letnia Paulina, która od najmłodszych lat trenowała pod okiem ojca na nartach, ostatecznie wybrała snowboard. Władysława Ligockiego z początku deska przerażała. – Widziałem, jak długo ci snowboardzisci siedzą na śniegu, i martwiłem się o moje dziecko – opowiadał tuż przed wylotem na igrzyska do Vancouver. – Dopiero potem zorientowałem się, że w tych nowych materiałach izolacja jest bardzo dobra...

Ojciec na wielu etatach

Znaleźć igłę w stogu siana, czyli sportowy talent w tłumie amatorów, to dopiero uwertura. Kolejne zadanie dla doktora Judy: cennego talentu nie zmarnować, ale dać mu się rozwinąć. – Dojrzały zawodnik



Krzysztof Sobański dla Kamila Stocha był jak ojciec



Wufista Janusz Kałużny zdobył dla szkół 200 par nart

Stanisław Mrowca: „Gdyby nie Kowalczyk, to nawet by pan nie wiedział, kim jestem”

→ Już do gimnazjum (w nowym systemie oświatowym) przy zakopiańskiej SMS trafił Kamil Stoch. Jego dotychczasowy klub LKS Żab po prostu upadł. – Błyskawicznie robił postępy – wspomina trener Sobański. – Ale przyszedł też moment rozbitcia. Miał 16 lat, siostry studiowały, a on uprawiał sport i zaliczył gorszy sezon. Zastanawiał się, czy nie zrezygnować. Jest bardzo ambitny, a to wbrew pozorom czasem przeszkadza. – Trzeba umieć nawiązać kontakt w chwilach kryzysowych – podkreśla Szturc. – Trener wie, jak do sportowca podejść i zmotywować do pracy, która nie zawsze przynosi pożądane efekty – dodaje i kwituje: – Pierwszy trener jest dla zawodnika jak ojciec.

– Znam psychikę zawodnika od dziecka, od samego początku. Zostałem trenerem, bo byłem troskliwym ojcem – potwierdza Ligocki.

Doktor Judym musi też rozładowywać konflikty w szkole czy klubie. Ktoś kogoś nie lubi, nie chce z nim trenować. Wiadomo – burzliwy okres dojrzewania. – Justyna i Kamil mieli problemy ze starszymi koleżankami i kolegami – przyznaje Sobański. – Spotykają się różne dzieci, z różnych stron kraju. Jeżeli ktoś się wybija, często nie jest tolerowany.

– To nasza polska specjalność, że dobry trener powinien mieć predyspozycję do wszystkiego – śmieje się Mrowca. – Musi być kierowcą rajdowym, gdy wozi wychowanków na treningi i zawody. A także menedżerem, smarowaczem, nauczycielem, pedagogiem i Bóg wie kim jeszcze.

Profesor Szymon Krasicki z Katedry Teorii i Metodyki Sportów Zimowych w krakowskiej AWF wspomina pracę założyciela klubu LKS Żab Franciszka Marduły: – Gdy chciał, żeby dziecko pojechało na letni obóz, a miało w tym czasie grabić siano, szedł to robić za niego.

– To ja, a nie rodzice, przebywam z zawodnikami najdłużej. Muszę czasem rozwiązywać problemy rodzinne, osobiste, nawet finansowe, bo dzieciom trzeba pożyczyc pieniądze – mówi Marek Pandyr, trener trzech olimpijskich łyżwiarek. Do Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Zakopanem stara się ściągać najzdolniejsze dzieci z całego kraju, zwłaszcza z regionów, w których nie ma torów lodowych. Obecne olimpijki Luiza Złotowska i Katarzyna Woźniak mieszkały pod Warszawą



Jan Szturc wspomina, jak czteroletni Adam Małysz zbudował obok domu skocznię

wą i na dojazd na Stegny traciły po kilka godzin. Trenowały tylko trzy razy w tygodniu. – Jak były wyjazdy na zawody, to robiły się zaległości w szkole. I zamiast o treningu od razu myślały o tym, jak się poprawić w nauce – mówi Pandyr. W SMS zawsze może wziąć zawodnika na dodatkowy trening, wystarczy wstawić w dzienniku zieloną kreskę.

Pandyr współpracuje z lokalnymi trenerami zawodników, których listę obowiązków dopełnia często usilne przekonywanie rodziców, by posłali dziecko do szkoły sportowej. Pandyr też odbywa takie trudne rozmowy. Tłumaczy, że dziecko jest zdolne, dobrze jeździ na łyżwach. W odpowiedzi słyszy: – Wie pan co, on na pianino chodzi, nie ma kiedy. – W Małopolsce czy na Śląsku i tak mamy szczęście, bo tu są szkoły sportowe. Na Podlasiu, jak się nawet wielki talent urodzi, to nie ma szans – dodaje Stanisław Mrowca.

Matki z łopatami

Mrowca pracował jako dyrektor Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego w Mszanie, a potem w Nowym Targu. Z Justyną Kowalczyk i innymi trenował – jak sam mówi – przy okazji. – Ale to zajmowało więcej czasu niż pełny etat – zaznacza. – Jedyną moją nagrodą było, że jeżdżąc na zawody, zwiedziłem pół świata.

Tuż przed igrzyskami w Vancouver prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Piotr Nurowski zapowiedział, że za każdy medal z puli należnej sztabowi szkoleniowemu co najmniej kilka-kilkanaście tysięcy złotych trafi do pierwszego trenera



Władysław Ligocki jako trener szlifuje snowboardowy talent córki, ale na początku bał się, że Paulina przemarznie na śniegu

medalisty. Mrowca nie kryje zadowolenia: – Bo jest wielu takich gości, którzy mają nosa do szukania sportowych talentów. Ale przez całe życie pracują za darmo i nawet nie ma kto im powiedzieć „dziękuję”.

Zapowiada też, że ewentualną nagrodą podzieli się ze wszystkimi innymi judymami, którzy dbali o sportowy rozwój Justyny. I dodaje, że znalazł już kandydatkę na kolejną mistrzynię. Urszula Łętocha ma 15 lat i wyniki badań wydolnościowych podobne jak Kowalczyk: – Nam się akurat udało namierzyć Justynę, teraz namierzamy inne. Czujemy się spadkobiercami jej sukcesów i chcemy je wykorzystać do rozwoju narciarstwa, zwłaszcza w Małopolsce.

Janusz Kałużny wraz z prezesem Powiatowego Szkolnego Związku Sportowego w Limanowej walczy o reaktywację próby limanowskiej. Pierwszym krokiem by-

ło załatwienie 200 par nart biegowych dla uczniowskich klubów sportowych. – Ale nie można tego robić na wariackich papierach. Powinno się jednocześnie szkolić młodych instruktorów i budować trasy, także turystyczne – radzi.

Trzeba też remontować istniejące obiekty. Na przykład skocznnię w Wiśle-Łabajowie nadal przecina droga powiatowa. Szturc: – Wiele dzieci zniechęciło się po upadkach na starym igelicie, z którego wystają druty. Ładowanie jest bardzo niebezpieczne, jedzie się jak po taflę lodu. Nowy igelit fiński czy włoski jest dużo bardziej podobny do śniegu.

Sobański: – Na fali małyżomanii dzięki grupie zapaleńców powstał tylko jeden nowy ośrodek z trzema małymi skoczniami w Zagórzu na Podkarpaciu. Budowę obiektów trzeba na czymś oprzeć: albo

na szkole, albo na gminie. Nie można liczyć wyłącznie na pasjonatów.

Ligocki: – W innych krajach, jak chce się należeć do klubu, trzeba płacić solidną składkę. U nas nic nie trzeba płacić, bo by nie było chętnych. Dlatego obiekty musimy przygotowywać samemu. Są w klubie matki, które potrafią razem z nami machać łopatami. Bo jeżeli będziemy się tylko patrzeć i narzekać, nic nie osiągniemy.

Mrowca: – Żeby stworzyć mocną kadrę olimpijską, trzeba pracy od podstaw. O sponsorach w takim wieku nie ma co marzyć. Ich interesuje sport, który pokazuje się w telewizji. Jak się pisze w prasie, to troszeczkę. Pan się ze mną spotyka, bo chodzi o Kowalczyk. Gdyby nie ona, to nawet by pan nie wiedział, kim jestem.

Współpraca: Michał Kowalski

FOT. MICHAŁ KOWALSKI/BABEL IMAGES (7)

TY

OFF Plus camera

przedstawia

Bierzcie i Kręćcie!

Zbierz ekipę i nakręć fabułę

Sfilmuj wyznanie miłosne za pomocą komórki

Zrób krótki film lub relację z wydarzenia

Do wygrania 3 000 \$ w każdym z konkursów, nowe komórki oraz zaproszenie na Festiwal OFF PLUS CAMERA oraz Warsztaty Filmowe CINEMAX do Krakowa.

Więcej na www.offpluscamera.com/konkursy

allegro

Plus

tytuł

PRZYWÓDCY RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

Księgowy i bestia

Jak zrobić złe wrażenie na wyborcach? Pójść w ślady szefa brytyjskiego rządu: umówić się na wywiad z hieną dziennikarską i wypaść tak fatalnie, że aż zęby bołą. Politycy, czytajcie, bo warto uczyć się na cudzych błędach

Co strzeliło do głowy Gordonowi Brownowi, wiedzą zapewne tylko on sam, jego żona Sarah i dziennikarz telewizyjny Piers Morgan, czyli nieliczna grupa wtajemniczonych. Ten pierwszy za namową tej drugiej zgodził się wziąć udział w wyjątkowym programie tego trzeciego. Ten trzeci to były redaktor naczelny bulwarówki „Daily Mail” (co nie wróży dobrze), program to godzinna rozmowa pod tytułem „Opowieści z życia wzięte” (wróży jeszcze gorzej), a wyjątkowość miała polegać na pokazaniu czegoś, czego brytyjski wyborca jeszcze nie widział – ludzkiej twarzy premiera. Figuratywnie rzecz ujmując, w tym układzie aż roilo się od czerwonych lampek; trzeba było wyłączyć instynkt samozachowawczy, żeby do niego przystąpić.

Obnażony na własne życzenie

Ten wywiad będzie największym wyzwaniem w pana karierze – zaczął Morgan, gdy obaj zasiedli przed kamerami. Miał rację. Następnego dnia gazety obwieściły, że „Szkot obnażył wszystko”. Wprawdzie chodziło im o fana rugby, który w emitowanym na żywo programie BBC zrzucił z siebie kilt (niestety, nie możemy napisać, że NICZEGO pod nim nie miał), ale tytuł ten pasował równie dobrze do Gordona Browna.

Co takiego zrobił szef brytyjskiego rządu? Zagrał na najniższych emocjach. Chciał kupić wyborców łzami i rodzinnymi tragediami. Człowiek, który zawsze bronił prywatności swoich najbliższych, postanowił tym razem wykorzystać ich do osiągnięcia politycznej korzyści. Widzowie usłyszeli więc historię o Jennifer, córce, która zmarła w 2002 roku, tydzień po przyjęciu na świat, i o Jamesie Fraserze, synu, który wymaga stałej opieki, bo jest chory na mukowiscydozę.

Sama informacja nie była niczym nowym. Nowy był sposób jej podania. Urzędujący premier, który jest wręcz

Gordon Brown uznał, że przed wyborami musi zmienić swój wizerunek. Oto premier tuż przed zmianą



montypythonowską karykaturą księgowego, nagle przeistacza się w epatującego emocjami swojaka. A to wszystko tuż przed wyborami, w których jemu i jego Partii Pracy grozi nawet nie porażka, ale katastrofa. To musiało wzbudzić podejrzenia. I wzbudziło. W Wielkiej Brytanii cała prasa – od „Guardiana” z lewej strony po „Daily Telegraph” z prawej – waliła w Browna jak w bęben. Nie zjednał sobie sympatii mediów. A w tym kraju to media decydują, kto wygra.

Pragnienie wywiadu

Gordon Brown skończył właśnie 59 lat. Urodził się w Giffnock w Szkocji, a dzieciństwo spędził z braćmi Johnem i Andrew w Kirkcaldy. Jego ojciec John Ebenezer – duchowny Kościoła Szkocji – posłał go do szkoły z przyspieszonym programem nauczania. Gordon wspominał to jako koszmar, choć dzięki niemu już jako 16-latek mógł studiować na uniwersytecie w Edynburgu.

Po ukończeniu studiów w 1972 roku Brown zaczął wykładać politykę w jednej ze szkół wyższych w Glasgow. 11 lat później sam został politykiem; udało mu się dostać do Izby Gmin z ramienia Partii Pracy. Dzięki temu był najdłużej urzędującym ministrem finansów – najpierw (do 1997 roku) w gabinecie cieni, a potem (w latach 1997–2007) w gabinecie Tony’ego Blaira.

Podobno obaj sobie to zaplanowali w londyńskiej restauracji Granita jeszcze w 1994 roku – Blair rzadzi, Brown mu pomaga. Układ się zmienił trzy lata temu: Blair i laburzyści tak stoczyli się w sondażach, że potrzeba było radykalnych zmian. Na Downing Street wprowadził się więc Gordon Brown. Przez chwilę było dobrze: laburzyści przegrali w sondażach torysów, a Brown stał się bardziej popularnym politykiem niż jego największy rywal, szef Partii Konserwatywnej David Cameron.

Szczęście trwało jednak krótko. Brytyjscy żołnierze zaczęli masowo ginąć w Afganistanie. Wzrosło bezrobocie. Przyszedł światowy kryzys. Laburzyści z kretesem przegrali wybory do Parlamentu Europejskiego i lokalne (w tych ostatnich dali się nawet pokonać Liberalnym Demokratom, trzeciej sile w Izbie Gmin). Brown został najmniej lubianym premierem w historii Zjednoczonego Królestwa.

Wywiad z Morganem był mu potrzebny jak powietrze.

Współczucie czy szacunek

Brown ma życie prywatne. Grywał w rugby. Jeden z meczów okupił poważną kontuzję. Ktoś kopnął go w głowę

i odkleiła mu się siatkówka w lewym oku. Lekarze byli bezradni. Gdyby nie seria eksperymentalnych operacji, straciłby wzrok również w drugim oku.

W młodości spotykał się z dziennikarką Sheeną McDonald i księżniczką Margaretą, najstarszą córką króla Rumunii Michała (wówczas na wygnaniu). Ożenił się jednak dopiero w 2000 roku – z nieznaną wtedy nikomu Sarah Macaulay.

Piers Morgan przyszedł na wywiad wyposażony w tę wiedzę – zapewne po lekturze noty w Wikipedii. Czyli nieprzygotowany. Nie pytał o to, czy Partia Pracy po 13 latach u władzy nadaje się jeszcze do rządzenia. Nie pytał, czy ministrowie Browna rzeczywiście mają z nim utrudniony kontakt. Czy premier rzuca talerzami na posiedzeniach. Wreszcie nie pytał, skąd się biorą oskarżenia o to, że Brown otacza się koleśkami.

Pytał o karierę studencką, o kontuzję oka, o restaurację Granita (Brown oczywiście zaprzeczył, że uzgodnił wtedy z Blairem podział ról), o zaręczyny z Sarah (czy ukłękł,

przed mediami. To była aluzja do Cameron, któremu miał za złe, że wykorzystuje swoją rodzinę, żeby się wypromować. Teraz musi jednak uważać, bo lider Konserwatystów wypada w mediach o wiele lepiej od Browna. A też stracił dziecko. Nie mał dokładnie rok temu zmarł mu siedmioletni syn cierpiący na porażenie mózgowe i epilepsję.

Steve Richards, publicysta „The Independent”, jest jednym z nielicznych, którzy jeszcze wierzą w Browna. – Ludzie uważają, że ten wywiad był niepotrzebny, bo wyborcy już wyrobili sobie zdanie na jego temat i go nie zmienią – mówi. – Ale opinia publiczna często się zmienia. W odniesieniu do premiera zmieniała się przecież tyle razy.

Richards przypomina: między wszystkimi sukcesami politycznymi Browna (od debiutu w roli ministra finansów w gabinecie cieni po zastąpienie Blaira) tkwią równie spektakularne porażki.

W 2007 roku, gdy ogłaszał, że zostanie premierem, zastrzegł, iż nigdy nie zależa-

„Po co pan tu przyszedł?”
– zapytał Morgan.
„Myślę, że chodzi o to, by poznali mnie ludzie”
– odpowiedział Brown



2006 rok. Gordon i Sarah z synkiem Jamesem Fraserem Brownem

czy patrzył jej w oczy, co powiedział). I o tragedie rodzinne.

Morgan zapytał: „Po co pan tu przyszedł?”. Brown odpowiedział: „Myślę, że chodzi o to, by poznali mnie ludzie”. I przyznał, że w młodości miał czasem bałagan w pokoju.

Janet Daley, amerykańska publicystka, która od 1965 roku mieszka w Wielkiej Brytanii: – Z sondażu po wywiadzie wyszło, że ludzie mają dla niego wprawdzie więcej współczucia, ale mniej szacunku. Wcale mnie to nie dziwi. W sytuacji gdy ktoś oplakuje śmierć najbliższej osoby, współczucie jest naturalne. Ale nie przekłada się na szacunek, jeśli oplakiwanie odbywa się ze względu na korzyści polityczne.

„Moje dzieci to ludzie, nie rekwizyty” – odpowiedział w 2008 roku Gordon Brown na pytanie, dlaczego tak je chroni

ło mu na oglądalności. Rok później – już jako szef rządu – zapewniał, że nie interesuje go gwiazdorstwo. Dziś jednak przeprosza się z populizmem. Wprawdzie nie umie się wyluzować w studiu telewizyjnym, ale zaczyna tego bardzo chcieć. W premierze budzi się bestia.

Kilka dni po wywiadzie w Wielkiej Brytanii ukazał się sondaż, z którego wynika, że jedna trzecia studentów nie ma pojęcia, kto jest liderem laburzystów. Na domiar złego niejaka Siobhan Freegard, założycielka portalu NetMums, choć pochwałała Browna za uczciwość i zabawność, przyznała, że mamy nie oglądały leż premiera, bo są przekonane, że wszyscy politycy są tacy sami.

Doprawdy, chyba tylko Gordon Brown potrafiłby w tej sytuacji zdobyć się na optymizm.

REKLAMA

2010 **ethno jazz festival** WROCLAW prezentuje:

9.03.10

KROKE
nowa płyta: Out of Sight

14.03.10

Richard Bona
„afrykański Sting” ponownie we Wrocławiu

20.03.10

SALIF KEITA
złoty głos Afryki,
światowa gwiazda world music

29.05.10

MARIZA
największa portugalska
gwiazda fado

www.ethnojazz.pl

WROCLAW
europejska
stolica kultury
2016

PRZEKROJ

KADRY DECYDUJĄ O WSZYSTKIM (JÓZEF STALIN)

TECZKI

PHENIAN RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

Begonia i agonia

W Korei Północnej odbyły się uroczystości z okazji urodzin jej lidera. To wiemy na pewno. Reszta to domysły

JEŻELI Z OKAZJI URODZIN KIM DZONG ILA północnokoreański reżim jest w stanie ściągnąć tłumy na wystawę kimjongilii, to już mamy surrealizm. Bo kimjongilia (radzieccy botanicy wymyśliliby pewnie józefstalinie) to zwykła begonia. Jeżeli poszerzanie granic nauki powierza się ekipie artystów łyżwiarzy, którzy zaklinają rzeczywistość za pomocą kreślonych na lodzie esów-floresów (chodzi o spektakl „Poszerzmy granice nauki i spotkajmy się na czele”), to robi się surrealistycznie do kwadratu.

A przecież to dopiero początek. Mieszkańcy Korei Północnej żyli swojemu przywódcy dużo zdrowia – choć przecież już od sierpnia 2008 roku niektóre dobrze poinformowane źródła w Japonii i Korei Po-

Kimjongilia. Bylina bulwiasta, do 35 centymetrów wysokości. Kwitnie dłużej niż inne begonie

łudniowej twierdzą, że Kim Dzung Il nie żyje, a przed kamerami pojawia się tylko jego atrapa. Jeszcze inne źródła – zapewne poinformowane jeszcze lepiej – donoszą z kolei, że od sierpnia 2008 roku północnokoreański lider jest w ciężkim stanie po wylewie, a przed kamerami pojawia się tylko jego atrapa.

Kolejne źródła przekonują, że Kim wprawdzie żyje i funkcjonuje, ale ma wiele niedowładów po wylewie i siada mu psychika, więc czasem płacze na widok ochroniarzy. Żeby przekonać opinię publiczną, że z liderem rzeczywiście jest coś nie tak, pokazują jego twarz, która – nie ma zmiłuj – jak na zdrową jest zbyt mocno niesymetryczna.

Brak źródeł, które twierdziłyby, że ta niesymetria należy przecież do atrapy Kim Dzung ILA. Być może sam wódz ma się świetnie, tylko jego sobowtórem ciągle coś dolega.

Nieznane są również losy Kim Dzung Una – najmłodszego syna przywódcy. Różne źródła od roku twierdzą, że to on będzie następnym liderem państwa. Jednak zanim udało się znaleźć dowody na jego istnienie (do tej pory jedyną poszlaką jest świadectwo osobistego kucharza Kim Dzung ILA), źródła w Seulu doniosły o tajemniczym, znaczącym i zupełnie niespodziewanym awansie Kim Kyong Hui – siostry przywódcy. Reżim zmienia płęć?

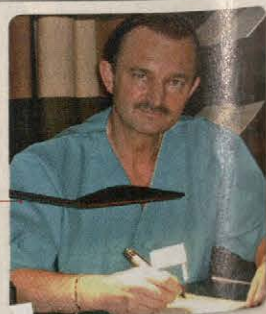
On czy nie on? Jeśli to sobowtór, to w fajnej kurtce

Dobry Szeląg

Najpopularniejszym lekarzem w Szwecji jest Polak

ROK TEMU BYŁ SZÓSTY, W TYM nie dał już żadnych szans ponad 33 tysiącom lekarzy. Doktor Adam Szelaż, ginekolog specjalizujący się też w ginekologii onkologicznej, wygrał ranking najpopularniejszych lekarzy w Szwecji przygotowany przez serwis Doktorsguiden.se. W relacjach o wygranej miejscowe media żartobliwie sugerowały, że popularność Polaka bierze się między innymi stąd, że dla pacjentek jest w stanie zrezygnować nawet z przerwy na kawę, która dla

Szwedów jest niemal świętością. Internauci nagrodzili doktora raczej za fachowość. On sam mówi, że popularność zawdzięcza również temu, iż w jego specjalności, jak w rzadko której, ważny jest niemal rodzinny kontakt z pacjentką. – Patolog na takiej liście raczej nie mógłby się znaleźć – żartuje lekarz. Doktor Szelaż na początku lat 80. ukończył Akademię Medycyny w Łodzi. Kilka lat później wraz z żoną wyemigrował do Szwecji. Początkowo mieszkali w Lund,



teraz pracują w Malmö. Adam Szelaż tygodniowo przyjmuje około 120 pacjentek. Do kraju, konkretnie do Milanówka, chce wrócić, ale na emeryturze. Na razie stał się bohaterem mediów w Szwecji. A kolejka jego pacjentek nadal się wydłuża.

– mil

Odkrycie

CEMENT JAK Z KSIĘŻYCA

KSIĘŻYCOWY PYŁ, KTÓRY odtworzyli krakowscy naukowcy Mirosław Rzychniak i Stanisław Bednarek, na pierwszy rzut oka przypomina... cement. Ale jest znacznie od niego cenniejszy. Naukowcom z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie jego wyprodukowanie zajęło ponad rok. – Nie było łatwo – twierdzi doktor Rzychniak. – Na Księżycu przecież nie byliśmy. Za wzór posłużył im analog księżycowy wytworzony w USA na podstawie substancji przywiezionej z jedynej satelity Ziemi. Jego skład naukowcy zwa-



Naukowcy wyprodukowali już 400 kilogramów pyłu. Potrzebują jeszcze kilku ton sztucznego Księżyca

anu trzymają jednak w tajemnicy. Polacy ją rozgryźli. Ich pył składa się z kompozycji rodzimych kruszyw znalezionych między innymi w kopalni odkrywkowej. Jak go uzyskali? Przesiewając zebrany materiał, aby otrzymać jak najmniejsze ziarno. Tak jak ich koledzy ze Stanów

w sekrecie utrzymują proporcje i nazwę materiałów użytych do produkcji pyłu. Zostanie on wykorzystany do przetestowania penetrometru (przyrządu do badania konsystencji ciał stałych), który ma polecieć z misją na Księżyc.

– ana

PLANETARIUM KAROLINA PASTERNAK

Co ma Hopkins do van Gogha

Przed kilkunastu laty grał Picassa, teraz sam chwycił za pędzle i sztalugi

NAJPIERW NAPISAŁ SCENARIUSZ I WYREżyserował film „Slipstream” (w 2007 roku), przed rokiem jego kompozycję „The Masque of Time” wykonała Orkiestra Symfoniczna Dallas, a teraz znany głównie z genialnych ról filmowych (między innymi w „Milczeniu owiej” czy „Picasso – twórca i niszczyciel”) Anthony Hopkins dzieli się ze światem talentem malarskim. Wystawia jego 50 prac

trafiła właśnie do galerii The Dome w Edynburgu. Dla fanów aktora jest tym ciekawsza, że w obrazach kryją się wątki autobiograficzne. Hopkins przełożył na płótno emocje z alkoholowego okresu. – Byłem dzikim chłopakiem. W typie van Gogha – mówił w wywiadzie dla „Guardiana”. Twórca furia kosztowała go mniej niż Holendra, który – jak wiadomo – odciął sobie ucho. – Ja straciłem na wadze – mówi Hopkins. – Schudłem 25 kilogramów.

Brad Pitt – aktor i architekt. Jego dzieło to apartamentowiec w Nowym Orleanie

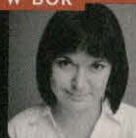


Madonna – na scenie świetna, za kamerą fatalna. Dowód: debiut reżyserski „Mądrość i seks”

NIEZNANE O ZNANYCH, CZYLI SKOK W BOK

WRAK CZŁOWIEKA

O TYM, JAK ZUPEŁNIE WSPÓŁCZESNE BADANIA GENETYCZNE ODSŁANIAJĄ Tajemnice FARAONÓW



Olga Woźniak

Szał na mumie ogarnął cały zachodni świat. W latach 20. XX wieku w Egipcie co rusz odkrywano groby faraonów. Europejskie eleganci zabijały się o egiptozującą biżuterię i stroje. Krzykiem mody międzywojnia był wystrój wnętrz à la Egipt. Wystawione w 1924 roku na widok publiczny popiersie królowej Nefretete uznano za wizerunek najpiękniejszej kobiety wszech czasów.

Mądre głowy próbowały rozgryźć zagadkę faraona Tutanchamona, którego grób 4 listopada 1922 roku odkrył brytyjski archeolog Howard Carter. Władca, który żył za ledwie 19 lat (z czego 9 rządził Egiptem), stał się jednym z najlepiej współcześnie rozpoznawalnych bohaterów starożytności. Choć nie wiedzieliśmy o nim wiele. Dlaczego umarł młodo? Czy padł ofiarą spisku (na jego politycy badacze znaleźli ranę, która mogła być – jak powiedziałaby zupełnie niestarożytny oficer dochodzeniówki – zadana tęnym narzędziem). Kto był jego ojcem? Co łączyło go z piękną Nefretetą?

I oto dostaliśmy odpowiedzi na te pytania. A wszystko dzięki osiągnięciom nowej dziedziny nauki – egiptologii molekularnej. Czym się ona zajmuje? Najkrócej mówiąc – grzebaniem w starożytnym DNA. Najnowsze badania objęły 16 mumii. Udało się rozwiązać wiele mitów otaczających Tutanchamona.

Po pierwsze, nie został zamordowany. Tę hipotezę wykluczyła tomografia komputerowa, która ustaliła, że dziura w głowie była związana z procedurą mumifikacji. To badanie wykryło też, że faraon miał złamaną nogę.

Podręcznik w grobowcu wizerunkom – nie przedstawiał się jako okaz zdrowia. Chorował na zapalenie kości wywołane dziedziczną chorobą Kohlera (jałową martwicą kości). „Krańczenie krwi było niedostateczne w tkance kostnej, a to osłabiało i niszczyło szkielet. W połączeniu z malarią spowodowało to zgon Tutanchamona” – czytamy w najnowszym numerze „Journal of the American Medical Association”. I już wiadomo, do czego służyły Tutanchamonowi z życia znalezione w jego grobowcu laska i leki.

Wszystkich, którzy chcieliby postrzegać faraona jako wcielenie męskości, pocieszy też na pewno, że testy wykluczyły pomysł, jakoby młody faraon cierpiał na ginekomastię, czyli powiększenie gruczołów piersiowych u mężczyzny. Budzące spekulacje malunki i rzeźby, które przedstawiały go ze sporym biustem, musiały być zatem inwencją artystów. No i jeszcze jedno – dzięki badaniom DNA udało się ustalić prawdopodobne drzewo genealogiczne władcy. Jego ojcem był faraon i reformator religijny Echnaton (Amenhotep IV), a matką – rodzona ciotka (ten chów wsobny może wyjaśniać kłopoty ze zdrowiem Tutanchamona, który dodatkowo cierpiał z powodu rozszczepu podniebienia). Nefretete była więc jego macochą.

Zadne badania molekularne nie stwierdzą niestety, czy był szczęśliwy. Czy piękna macocha była dla niego miła, czy zła. Jedyne, czego możemy być teraz pewni, to to, że krótkie życie egipskiego władcy było naprawdę bolesne. Nie do pozazdrosczenia.

→
W tym tygodniu:
ZASTANAWIAMY SIĘ, CZY LUDZKIE
CIAŁO MOŻNA OPATENTOWAĆ, A POTEM
ODDAJEMY NABOŻNĄ CZĘŚĆ RESZTKOM
PO WYBITNYCH NAUKOWCACH

Patent na życie

Człowieku, ty sobie spokojnie czytasz „Przekrój”,
a w tym czasie ktoś patentuje twoje geny!
Rusz się, protestuj, uciekaj... Za późno.
Padłeś łupem biopiratów

BIOPRAWO TEKST PIOTR KOSSOBUDZKI, ILUSTRACJA JOANNA FRANKOWSKA

NA PIERWSZY RZUT OKA BIOPIRACI WYGLĄDAJĄ na cywilizowanych. Żadnych szabli czy prze-pasek na oku. Jeśli ich bazą jest nowoczesne laboratorium, noszą białe fartuchy. Albo dro-gie garnitury, gdy planują łupieżcze wyprawy z prawniczych kancelarii lub przesowskich gabinetów. Jednak zdaniem wielu są znacz-nie groźniejsi niż piraci morscy – nawet ci współcześni, porywający tankowce i ich załogi. Bo próbują zawłaszczyć nie pojedynczy statek z garstką załogi, ale wszystkich ludzi. Ba, na-wet całą przyrodę! Niemożliwe? A jednak! – zapytajcie indonezyjskiej minister zdrowia.

Siti Fadilah Supari powróciła na pierwsze strony gazet na fali epi-demii świńskiej grypy. Powróciła w wielkim stylu: atakiem na Świa-tową Organizację Zdrowia (WHO), ONZ i Stany Zjednoczone. Pani mi-nister oskarżyła USA, że wykorzy-stują próbki wirusów grypy zbiera-ne na całym świecie do produkcji bronii biologicznej, a organizacje międzyna-rodowe w tym pomagają. Można by przyjąć, że pani minister puściły nerwy – Indonezja została najciężej na świecie dotknięta choro-bą, a Supari z urzędu odpowiadała za opano-wanie sytuacji (i nie szło jej najlepiej). Ale nie był to wcale pojedynczy wyskok. Indonezyjka niemal od objęcia ministerstwa w 2004 roku prowadziła batalię związaną z grypą. Znana jest jednak nie tyle z troski o zdrowie obywateli, ile z walki o... prawo własności do wirusów występujących w Indonezji. I o ile zarzut wo-bec Stanów może budzić zdumienie, o tyle nad jej wcześniejszymi działaniami warto się za-stanowić. W 2007 roku zaatakowała austra-

lijską firmę CSL, która chciała przetestować na Wyspach eksperymentalną szczepionkę przeciw tamtejszym szczepom grypy. Szczep-ionka powstała na bazie indonezyjskiego wi-rusa i była oczywiście opatentowana. Supari się wściekła, zażądała dla swego kraju udziału w zyskach ze sprzedaży szczepionki lub dar-mowych szczepień dla mieszkańców Indone-zji. Firma wydała oświadczenie, że uwagi i obawy minister są jak najbardziej uzasadnione, ale CSL działa zgodnie z obowiązującym prawem i nie jest w sta-nie pomóc w rozwiązaniu proble-mu. Supari zwróciła się więc do WHO, która zbiera próbki szczepów wirusa z całego świata. Bada je i na tej podstawie przygotowuje rekomendacje dla producentów szczepionek. In-donezyjska minister uznała, że to nie fair. Kraje rozwijające się tracą bowiem na tym rozwią-zaniu: wysyłają próbki za dar-mo, a potem muszą kupować opatentowane szczepionki wyprodukowane w najbogatszych krajach świata, a zawierające fragmenty swo-jego wirusa! Supari uznała, że to biopiractwo, i odmówiła wysyłania do WHO próbek szcze-pów grypy z Indonezji. W kraju zyskała uzna-nie obywateli jako obrończyni praw naro-du. Ale za granicą posypały się na nią gromy, że naraża Indonezję i świat na pandemię.

mo, a potem muszą kupować opatentowane szczepionki wyprodukowane w najbogatszych krajach świata, a zawierające fragmenty swo-jego wirusa! Supari uznała, że to biopiractwo, i odmówiła wysyłania do WHO próbek szcze-pów grypy z Indonezji. W kraju zyskała uzna-nie obywateli jako obrończyni praw naro-du. Ale za granicą posypały się na nią gromy, że naraża Indonezję i świat na pandemię.

Licencja na hodowanie

Co tam jednak prawo do własności wirusa. Jak byście się czuli, gdyby ktoś opatentował wasze krwinki? W 1984 roku amerykański urząd pa-tenantowy wydał patent numer 4 438 032. Chro-

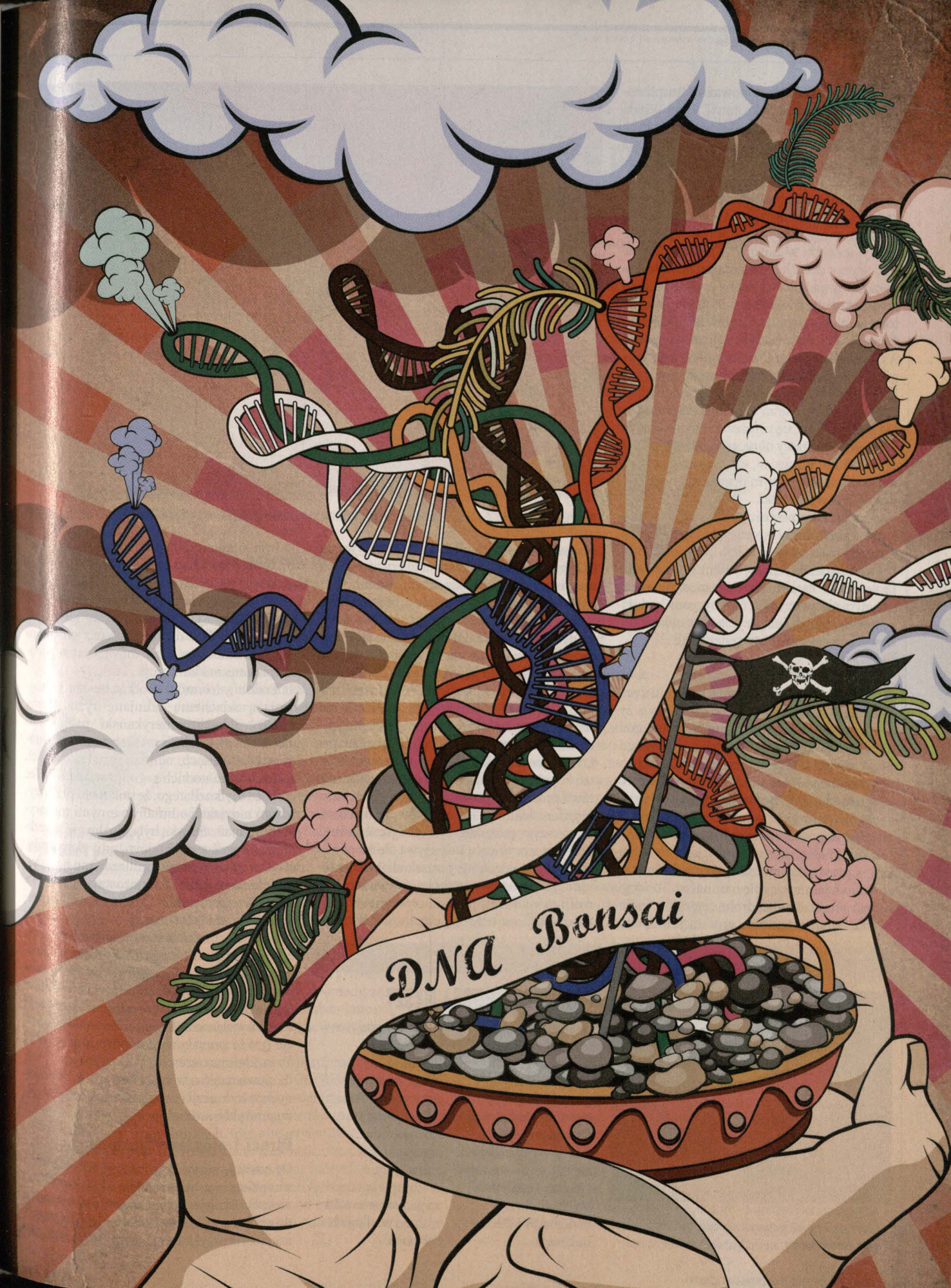
nił on prawa dwojga naukowców oraz Uni-versity of California do wyhodowanych przez nich w laboratorium komórek pewnego no-wotworu. Te komórki mnożą się w nieskoń-czość, co pozwala nie tylko na prowadzenie na nich badań, ale także na wykorzystanie ich do testowania nowych leków i do produkcji ludzkich białek. Sęk w tym, że linię tych komó-rek wyhodowano z komórek... niejakiego Joh-na Moore'a. Ale pobranych bez jego wiedzy.

U Moore'a w 1976 roku zdiagnozowano białaczkę. Przez kilka lat regularnie odwiedzał zatem lekarza w centrum medycznym Uni-versity of California. W trakcie leczenia pacjen-towi usunięto śledzionę, na co wyraził zgodę i co zahamowało rozwój choroby. Jednak z tej śledziony wyizolowano komórki nowotworo-we, z których następnie otrzymano hodowlę komórek laboratoryjnych. A te opatentowa-no i sprzedawano z duuuzym zyskiem. Moore dowiedział się o tym i pozwał lekarzy oraz uniwersytet do sądu. Domagał się uznania, że wyhodowane komórki są jego własnością i że ma prawo do zysku z ich wykorzystywa-nia oraz sprzedaży. Sąd jednak nie przychylił się do jego wniosku; w 1990 roku stosunkiem głosów 4:3 uznał, że żadne pieniądze mu się nie należą. Zaskoczeni? Bo ja trochę. Ale uza-sadnienie trzyma się kupy.

Moore nie był wynalazcą dyskusyjnej linii komórkowej, nie ma więc prawa do patentu. A jako pacjent nie jest właścicielem usuniętego podczas operacji narządu. Lekarze mieli jed-nak obowiązek poinformować go, że mają fi-nansowy lub zawodowy interes w badaniu jego komórek. A ponieważ tego nie dopełnili, Moore może ich ściagać przed sądem – tyle że nie z mo-cy prawa patentowego. To chyba pierwszy ka-zus dotyczący patentów na ludzkie komórki czy geny, z jakim przyszło się zmierzyć prawnikom i etykom. Został rozstrzygnięty, ale pytania po-zostały. Jakiej zgody szukać i u kogo, gdy tkan-ki mają być wykorzystywane do badań nauko-wych, a dopiero po latach pojawi się szansa ko-mercjalizacji wyników? Kto ma wyrażać zgo-dę w przypadku chęci opatentowania genu lub mutacji wspólnych dla wielu ludzi? Czy to rola przepisów prawa patentowego?



John Moore twierdzi, że **został okradziony**. Dziś nie ma śledziony ani pieniędzy

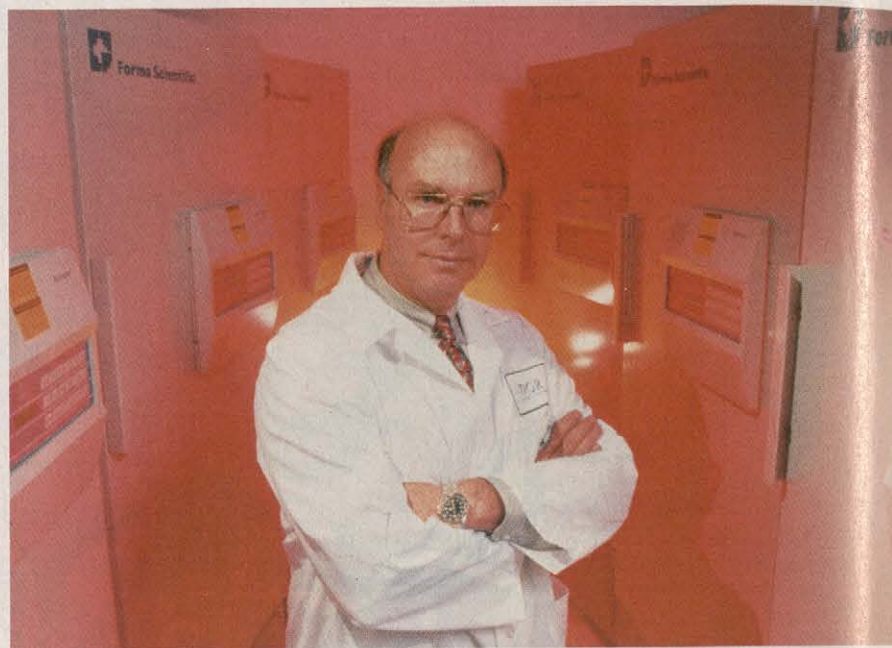


→ – Mam co do tego poważne wątpliwości – odpowiada „Przekroju” Rafał Witek, partner w kancelarii rzeczników patentowych WTS. – Problem jest widoczny zwłaszcza w Europie, gdzie twórcy prawa zapędzili się w ślepią uliczkę nadmiernych regulacji – uważa Witek specjalizujący się w patentach z dziedziny nauk biomedycznych. – W Stanach nie próbują wszystkiego regulować przepisami, tymczasem w Europie wpisano do prawa, że przy decyzji o przyznaniu wynalazkowi ochrony patentowej trzeba uwzględnić jego aspekty etyczne. Nie jest to proste, bo biotechnologia i współczesne nauki medyczne wciąż się rozwijają i stawiają nowe wyzwania. A prawo musi podążać za rozwojem technologii – przepisy trzeba wciąż doprecyzowywać lub wręcz tworzyć nowe. Komisja odwoławcza przy Europejskim Urzędzie Patentowym raz po raz zbiera się w rozszerzonym składzie i rozpatruje sprawy dotyczące oceny etycznej wynalazków. Robiąc to, wyznacza nowe standardy, bo w istniejącym prawie ma tylko bardzo ogólne wskazówki.

Problem jest poważny, bo nauka i technologia – powtórzy – rozwijają się lawinowo. A urzędy patentowe na całym świecie udzieliły (i nadal udzielają) tysięcy patentów na obiekty biologiczne. Patentowane są zmodyfikowane genetycznie zwierzęta i rośliny, geny kodujące ludzkie białka (na przykład hormony), hodowle komórkowe, testy genetyczne...

Sztuczne życie i ryż

Jakby wyzwać z istniejącymi formami życia było mało, dochodzą jeszcze problemy z życiem syntetycznym. Niespełna trzy lata temu słynny (a kontrowersyjny) amerykański genetyk, doktor Craig Venter, wystąpił o ochronę patentową dla sztucznej bakterii. To efekt jego badań nad najmniejszym możliwym zestawem genów, który umożliwi komórce życie. Venter postanowił opatentować zarówno taki minimalny zestaw genów, jak i nieistniejący w przyrodzie mikroorganizm, który może samodzielnie żyć i się namnażać. To mógłby być początek wielu drobnoustrojów robionych na zamówienie do produkcji biopaliw,



Pan w piekielnym świetle to doktor Craig Venter, właściciel patentu na pierwszą sztuczną bakterię

oczyszczania środowiska czy wychwytywania CO₂ z atmosfery. Fantastyka to czy nie – jeszcze nie wiadomo. Ale już zabezpieczono.

Jest jeszcze inna kategoria biopatentów, której najbliższe do klasycznego piractwa. Przykład: amerykański patent z marca 1995 roku na wykorzystanie kurkumy jako specyfiku przyspieszającego gojenie się ran. Właścicielem zostali dwaj naukowcy z centrum medycznego University of Mississippi. Albo seria patentów amerykańskich i europejskich na użycie drzewa zwanego miodlą indyjską (znane go też jako neem). W Indiach to drzewo święte i kopalnia zastosowań. Wyciągów, ekstraktów i proszków z miodli używa się jako antybiotyku, składnika kosmetyków, środka owadobójczego, przeciwwgrzybicznego, a nawet... antykonceptyjnego. I to używa się od ponad 2000 lat, co jednak nie przeszkodziło kilku firmom podawać się za odkrywców właściwości rośliny i sposobów jej wykorzystania. W efekcie dostały one ochronę patentową. Potrzeb-

na była kilkuletnia batalia sądowa rządu Indii, by doprowadzić do uchylecia większości z tych patentów. Zresztą aby dowiedzieć, że doszło do próby pirackiego przejęcia wiedzy pokoleń hindusów, przetłumaczono kilkadziesiąt fragmentów... dawnych pism z sanskrytu i języków urdu oraz hindi mówiących o zastosowaniu neem i kurkumy.

Podobny los mógł spotkać basmati – najdroższą szlachetną odmianę ryżu. Firma RiceTec dostała amerykański patent numer 5 663 404, w którym zastrzega sobie prawa w 20 zakresach: odmian ryżu basmati, ich ziaren oraz metod ich segregowania. RiceTec zrobiło to tylko dlatego, że dokonało przekrzyżowań indyjskiej odmiany z innymi rosnącymi w Stanach. Stawką była możliwość uszczelnienia czegoś z dochodów Indii eksportujących co roku blisko pół miliarda ton basmati. Po interwencji RiceTec pozostawiono prawa tylko do trzech odmian, które nie rosną na terenie Indii ani Pakistanu.

Podobne praktyki stosuje się wobec tradycyjnej wiedzy rdzennych ludów Ameryki Południowej, Azji czy Afryki. Firmy i indywidualni inwestorzy próbują strategii „znaleźć obiecujące metody lecznicze lub rolnicze – opatentować jako własne odkrycie – sprzedawać licencje (także prawdziwym autorom pomysłu)”. To ewidentne oszustwo. Ale czy to samo można powiedzieć o wirusach grypy wyizolowanych w Indonezji i wykorzystanych za granicą do produkcji szczepionek?

Piraci i pionierzy postępu

Oczywiście soczysty i trafiający do wyobraźni epitet „biopiractwo” jest stosowany dużo szerzej. Istnieje grupa organizacji pozarządowych, które tropią i obalają patenty, naruszające na przykład prawa rdzennych społec-

ności. Terminem tym posługują się też zazwyczaj działacze praw człowieka, ekolodzy czy niezależni naukowcy. Piętnują w ten sposób badaczy i firmy, które patentują geny, procesy biologiczne i różne organizmy. – To nieetyczne – tłumaczą protestujący. – Nie zgadzamy się na patentowanie życia! Jak część przyrody, zwierzę lub roślina mogą stać się własnością jednej firmy? Kto dał pojedynczemu człowiekowi prawo do ubiegania się o patent na jakiegokolwiek geny i ograniczania innym dostępu do składników przyrody?

Niby prawda, ale z drugiej strony jak ma zabezpieczyć swoją własność intelektualną genetyk, który przez lata pracuje nad przeciwnościami zwalczającymi raka? A która firma zainwestuje w badania nad nową biotechnologią, jeśli nie będzie mogła zapewnić sobie prawa do zysków z licencji? – Jeśli dziś nie da się na coś uzyskać ochrony, to ten fakt zamyka drogę badaniom – podkreśla Rafał Witek. – Nikt ich nie będzie finansował. Tak było z ludzkimi embrionalnymi komórkami macierzystymi. Jednoznaczne stwierdzenie, że takich rozwiązań nie da się w Europie patentować jako nieetycznych, sprawiło, że mało kto nad nimi pracuje. Bo nikt nie będzie tego w stanie sprzedać. A patent to zachęta: jeśli ktoś inwestuje w badania, to ma potem 20 lat ochrony własności, żeby poniesione nakłady odzyskać – tłumaczy rzecznik patentowy. Dlatego patentować w obszarze biotechnologii i medycyny można, o ile spełni się pewne kryteria (patrz ramka obok).



Sposób na nowy organizm i patent: weź kawałek bakterii, zmień nieco i włóż do innej

mi w przypadku patentowania sekwencji wirusa wywołującego SARS – zakaźne zapalenie dróg oddechowych. Znajomość genów wirusa i możliwość ich wykorzystywania ma kluczowe znaczenie między innymi dla prac nad szczepionką. Dlatego w 2003 roku o patent ścigało się kilka zespołów z Kanady, ze Stanów i z Hongkongu, wśród nich British Columbia Cancer Agency, która chciała opatentować tę sekwencję prewencyjnie. Sprawa wciąż czeka na rozstrzygnięcie.

W ciągu ostatnich kilku lat zaczął się też tworzyć ruch genetyki open source. Ta inicjatywa, nazwana BIOS (Biological Open Source), analogicznie do darmowego oprogramowania ma tworzyć alternatywne, wolne od opłat i patentów techniki badań w naukach przyrodniczych. Ideę stworzył w 2005 roku australijski instytut CAMBIA, chcąc zapewnić narzędzia badawcze wszystkim naukowcom, także tym, których nie stać na wykupywanie praw do opatentowanych technologii. Może to właśnie jest metoda, by niezależnie od świata patentów dać życie naukowcom, a przytrzeć nosa prawdziwym biopiratom?

KONTROWERSJE

Geny patentowane

Opisanie kawałka DNA, który koduje na przykład kolor oczu, nie będzie wynalazkiem. Co więc można zaklepać na własność w urzędzie?

MÓWIENIE O „PATENTOWANIU ŻYCIA” to demagogia, bo życia nikt nie patentuje – irytuje się Rafał Witek z kancelarii rzeczników patentowych WTS. – Patentuje się częściki, które mogą rozwiązać określone problemy techniczne.

Na tej samej zasadzie moglibyśmy powiedzieć, że nie wolno się godzić na ochronę patentową na przykład taksołu. Bo to lek z kory cisu, czyli pochodzenia naturalnego. I czym to się różni od genu ludzkiego? W obu przypadkach ustalono strukturę oraz funkcję i w obu powinna być możliwość ochrony patentowej. Należy być konsekwentnym.



Rafał Witek, rzecznik patentowy specjalizujący się w biotechnologii

NIE DOSTANIEMY TEŻ PATENTU na biologiczne metody otrzymywania nowych odmian i ras zwierząt, na przykład przez ich krzyżowanie. Jest wreszcie cała (i dość nieoczywista) kategoria powodów uniemożliwiających otrzymanie patentu na wynalazki, „których wykonywanie byłoby sprzeczne z porządkiem publicznym lub dobrymi obyczajami”. W związku z tym za wynalazek nie uważa się też ciała ludzkiego oraz zwykłego odkrycia jednego z jego elementów, włącznie z sekwencją ge-

nów. Nie opatentujemy metody klonowania człowieka, modyfikacji genetycznej komórek zarodkowych czy wykorzystania zarodków ludzkich do celów przemysłowych lub handlowych. Nie będzie także możliwe zastrzeżenie metody modyfikacji zwierząt, która przysporzy im cierpień nieuzasadnionych istotnymi korzyściami medycznymi dla ludzi lub innych zwierząt.

TO SKĄD W OGÓLE DYSKUSJA o problemie patentowania genów? Skąd zarzuty zawłaszczania zwierząt, roślin i ludzi? Bo prawo dopuszcza uzyskiwanie patentów na materiał biologiczny wyizolowany ze swojego środowiska lub otrzymany metodami technicznymi. Tak samo można dostać patent na materiał wyizolowany z organizmu człowieka – na przykład wyodrębniony gen namnożony w komórkach bakterii czy drożdży. Trzeba wykazać doświadczalnie jego funkcję i wskazać wynikające z niej techniczne zastosowanie. Bez tego nie ma możliwości opatentowania sekwencji DNA.



Mysz zmieniona genetycznie tak, by zapadała na nowotwory, może być złotym interesem

PRAWO DO CHOREJ MYSZY

ONKOMYSZY BYŁY jednymi z pierwszych zwierząt modyfikowanych genetycznie, które chciano opatentować. Gryzoń stworzony na Harvardzie łatwo zapada na nowotwory i jest doskonałym obiektem do ich badania. W USA onkomysz

opatentowano bez problemu. W Kanadzie nie, bo mysz nie jest wynalazkiem. Opatentowano tylko metodę tworzenia onkomyszy. W Europie zgodę na patent zwierzęka wydano po długich debatach.

Relikwie nauki

We fromborskiej katedrze odbyła się adoracja odnalezionych szczątków Mikołaja Kopernika. Trudno oprzeć się wrażeniu, że zaczyna to przypominać rodzaj religijnego kultu

PAMIĄTKI IRENA CIEŚLIŃSKA

Nauka i religia. Często przeciwstawiane sobie, a jednak wiele je łączy. Hierarchiczna struktura. Czerpanie z tradycji. Prawdy, które nierzadko musimy przyjmować na wiarę (weźmy choćby taką zasadę nieoznaczoności Heisenberga...). Obie mają swoich heretyków i swoje ewangelie. Męczennicy? Całkiem spory wybór. Do tego rytuały, szacunek dla wielkich mężów, którzy wznosili kolejne piętra gmachu współczesnej wiedzy, a w końcu relikwie, czyli czcigodne resztki.

Włos Kopernika

W ostatni piątek w toruńskiej katedrze Świętych Janów panował spory tłok. W rocznicę 537. urodzin Mikołaja Kopernika wystawiono tu sarko-

fag ze szczątkami astronoma. Tłum ludzi chciał oddać mu cześć. 22 maja we Fromborku ma się odbyć ponowny pochówek kości uczonego. Warto zarezerwować czas w kalendarzu pielgrzymek, by osobiście doświadczyć kontaktu z polską (OK, nie będziemy się tu wdawać w spory o obywatelstwo uczonego) naukową relikwią. Zwłaszcza że historia odkrycia szczątków Kopernika mogłaby trafić na łamy powieści Dana Browna. Grobu astronoma szukano od lat. Pochowano go bez rozgłosu jako skromnego kanonika, nie zachowały się żadne wzmianki o dokładnym miejscu pochówku. Ze śledztwa w archiwach olsztyńskiego historyka doktora Jerzego Sikorskiego wynikało, że należy szukać pod jednym z bocznych ołtarzy katedry fromborskiej, przy oł-

Włos, który ponad 500 lat temu spadł z głowy Kopernika, posłużył teraz do ustalenia tożsamości jego kości

tarzu Świętego Krzyża – tym, którym Kopernik opiekował się za życia jako kanonik. Archeolodzy znaleźli tam 16 grobów. W dwóch trumnach leżały kości starców, co zawęziło krąg poszukiwań, bo wiadomo, że wielki mąż dożył 70 lat. Ale wciąż nie było pewności.

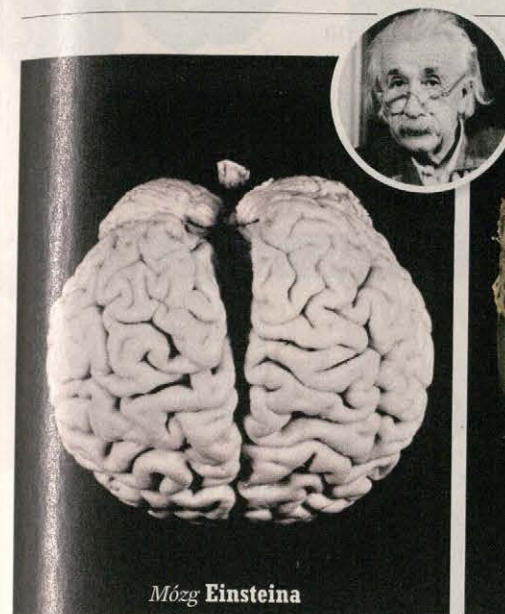
Nie udało się znaleźć żyjących współczesnie krewnych astronoma, by porównać DNA. Tajemnica nie zostałaby rozwikłana, gdyby nie Goran Henriksson, profesor astronomii w Uppsali. W zbiorach tamtejszej biblioteki znajduje się księga Johanna Stofflera, która niegdyś przez 25 lat należała do Kopernika. Profesor Henriksson wymyślił, żeby właśnie między stronami tej książki, którą astronom zapewne często kartkował, szukać jakichś materialnych śladów po nim, choćby kawałka włosa. I znalazł! Podobno już przy pierwszym otwarciu książki w przypadkowym miejscu. Włos z księgi Kopernika zawierał takie samo DNA jak kości znalezione we Fromborku.

Mózg geniusza

Ludzka słabość do szczątków naukowców nie jest typowo polską specjalnością. Te nekrofilne ciagoty starał się uprzedzić sam Albert Einstein, pisząc zdecydowanym tonem: „Moje ciało ma zostać spalone, żeby ludzie nie czcili moich kości”. Udało się? Prawie. Uczony zmarł z powodu pęknięcia tętniaka aorty brzusznej 18 kwietnia 1955 roku. Jego kości (i resztę ciała) spalono. Jednak mózg został wyjęty, zmierzony i zakonserwowany przez Thomasa Harveya, patologa pracującego w szpitalu Uniwersytetu Princeton. Po czym ten cenny organ... zniknął na blisko ćwierć wieku. Dopiero w 1978 roku redaktor naczelny magazynu „New Jersey Monthly” z Princeton zainteresował się tym, co się stało z mózgiem, w którym narodziły się najważniejsze idee fizyki XX wieku. Jeden z dziennikarzy – Steven Levy – ruszył na poszukiwania. Trop prowadził do osoby, która widziała mózg po raz ostatni, czyli patologa Harveya. Levy znalazł go w Wichita w stanie Kansas. Jak wspomina dziennikarz, początkowo Harvey nie chciał nic powiedzieć, ale stałe nagabywany sięgnął do szafy i... wyjął tekturowe pudło, w którym były słoje z formaliną. W jednym pływał mózdek oraz kilka naczyń krwionośnych. W drugim – kawałki kory mózgowej. Okazało się, że patolog nie mógł rozstać się z mózgiem uczonego od chwili, kiedy ten znalazł się w jego rękach. Trzymał go zawsze w pobliżu, zabierał we wszystkie podróże.

Kiedy sprawa stała się głośna, do Harveya zgłosiło się wielu specjalistów, prosząc o umożliwienie zbadania mózgu. Najczęściej odmawiał. Odrzucał też propozycje muzeów, milionerów, którzy chcieli zapłacić fortunę za tę relikwie, a także rabinów chcących pochować ostatnie szczątki Einsteina, by jego dusza spoczęła w spokoju.

W latach 90. zeszłego wieku wyszło na jaw, że oprócz mózgu po śmierci została wypożyczona jeszcze jedna część ciała Einsteina. Je-



Mózg Einsteina



Palec Galileusza



Jedno z domniemyanych drzew Newtona

go okulista Henry Abrams podczas sekcji zwłok za pomocą „nożyczek i szczypec” własnoręcznie wyciął oczy i potem przez dziesięć lat przechowywał je w depozycie bankowym. – Właściwie nigdy nie zastanawiałem się po co – wspominał. Podobno opowiadał, że „oczy Einsteina były anielskie”, a kiedy się w nie patrzy, to „jakby wnikało się w największe piękno i tajemnicę tego świata”. Syn lekarza twierdził, że jedynym motywem, którym kierował się ojciec, było pragnienie oddania części geniuszowi...

Co pokazuje środkowy palec Galileusza?

Einstein to prawdziwy wielki naukowy prorok. W jego pismach można znaleźć niejedno autodaś („Gdybym musiał znaleźć w sobie coś, co miałoby aspekt religijny, to byłaby to bezgraniczna fascynacja strukturą świata, jaką ukazuje nam nauka”). Kogo zatem umieścilibyście obok niego na ołtarzu nauki? Mam kandydata, pasuje idealnie – nie dość, że wspaniały umysł, pionier współczesnej wiedzy, to do tego męczennik. Oto Galileusz. Relikwie są? Jak najbardziej.

We florenckim Museo di Storia della Scienza w kielichu na alabastrowej stopie przechowywany jest środkowy palec prawej ręki uczonego. Wysuszony, lecz nieżle zakonserwowany – wskazuje gdzieś w górę. Jak głosi napis na kielichu, „wytyczał szlaki na nieboskłon i wskazywał śmiertelnym ciałom niebieskie, przedtem niewidziane”. Trzeba zaznaczyć, że jest to palec autentyczny – w przeciwieństwie do palca Ducha Świętego wytyczającego drogę wierze, a który niegdyś za opłatą pokazywano w pewnym franciszkańskim klasztorze.

Zbiór relikwii związanych z Galileuszem ostatnio znacznie się powiększył. Pod koniec listopada pracownicy florenckiego muzeum poinformowali, że odnalazł się ząb i dwa inne palce, które blisko sto lat temu zaginęły

w tajemniczych okolicznościach wraz z wazą, w której się znajdowały. Zwrócił je muzeum anonimowy kolekcjoner, a ekspertyzy wykazały, że członki uczonego są prawdziwe. Rozparcelowano je i zakonserwowano blisko sto lat po jego śmierci, kiedy Kościół wreszcie zgodził się, by ciało Galileusza – prześladowanego za życia przez inkwizycję – spoczęło w poświęconej ziemi. Podczas przenosin fragmenty zachowano dla potomnych.

Drzewo Newtona

Jednak relikwie nie muszą być wcale biologiczną resztką świętego. A pieluszki Jezusa? Fragmenty ramy okna, w którym archanioł miał zwiastować Maryi, siano ze żłóbka czy drzazgi z krzyża? Nauka nie pozostaje gorzszą. Ma spory zapas i takich artefaktów, które z braku laku świetnie posłużą jej wiernym. Co więcej, tym naukowym szczątkom nieobca

Oczy Einsteina były anielskie. Ukazywały największe piękno i tajemnicę tego świata – twierdził okulista uczonego

jest jedna ze znanych cech ich religijnych odpowiedników – podatność na cudowne rozmnożenie. W chrześcijańskim świecie rekordzistą był święty Jerzy, którego kompletne szczątki znajdują się w 30 kościołach, równie popularny był święty Julian (doliczono się jego 20 ciał i 26 głów). Z relikwii dokonane w 1949 roku we włoskich kościołach wynikało, że wierni oddają cześć 18 ręką świętego Jakuba, 11 dłońmi świętej Teresy, 6 piersiom świętej Agaty, 20 szczękom i 60 palcom świętego Jana Chrzyciela. Ba, nawet nasz święty Wojciech uległ podwojeniu – jego ciało znajduje się zarówno w Gnieźnie, jak i w Pradze.

Podobna historia dotyczy słynnej jabłoni Isaaca Newtona. Jeśli kiedykolwiek odwiedzić Cambridge w Wielkiej Brytanii i popłynąć rzeką Cam, która biegnie na tyłach uniwersyteckich college'ów, możliwe, że wasz przewodnik pokaże wam jedną z rosnących tam jabłoni i powie, że właśnie z niej na głowę Newtona spadło jabłko, które zainspirowało go do odkrycia prawa grawitacji.

Czy będzie to ta sama jabłoń, pod którą Newton siedział przed 300 laty? W ogóle nie jest pewne, czy taka jabłoń istniała. Prawdopodobnie po raz pierwszy anegdota o jabłku i grawitacji pojawiła się w biograficznej książce „Życie Newtona”, którą w 1752 roku wydał William Stukley, brytyjski archeolog, mason i dżentelmen, a także przyjaciel Newtona. Opisuje on, że kiedyś po obiedzie wybrał się z Newtonem na spacer do ogrodu, gdzie pili herbatę, siedząc w cieniu jabłoni. Wielki uczynek miał wyznać Stukleyowi, że w podobnych okolicznościach zaczął się zastanawiać, dlaczego jabłko zawsze spada prosto w dół, a nie leci w górę lub gdzieś w bok. I wtedy też miała mu przyjść do głowy idea grawitacji.

Jabłoń w przypowieści o Newtonie przypomina więc drabinę z drzewa, która przysniła się świętemu Jakubowi. Ale szczeble z drabiny Jakubowej sprzedawały się świetnie, nic więc nie stoi na przeszkodzie, by drzewko z eksperymentu myślowego sir Isaaca znalazło ucielesnienie w uczelnianych ogrodach.

Pytanie, czy ci naukowcy będą mogli od owych drzewek oczekiwać cudów. To chyba kłopot, bo naukowe relikwie działają raczej marnie. Przynajmniej moje. Od lat trzymam między długopisami na biurku zgrabny fragment plecionki z nadprzewodnika – pamiątkę po pielgrzymce do CERN-u. Niestety, nie dopomógł mi (mimo pokładanych w nim nadziei) w naukowej karierze. Chociaż... już naszym z symbolem serotoniny nazywanej hormonem szczęścia nieodmiennie poprawia mi samopoczucie...

KORZYSTAJ

JAK SZYBKO
I ŁATWO
STAĆ SIĘ
KUCHARZEM
CELEBRYTĄ

Wielka czapa kucharza od dawna jest passé. Teraz przynależność do rodziny miłośników kulinarów zaznacza się bardziej subtelnie. Na przykład biżuterią Any Garcii – wisiorkiem z otwartą lodówką czy pierścieniem z kapustą.

Zostań Nigellą

Programy Roberta Makłowicza, Nigelli Lawson czy Gordona Ramsaya oglądasz z wypiekami na twarzy? Telewizja TVN organizuje właśnie casting, w którym szuka polskich następców Nigelli. – Kulinarą osobowość można znaleźć nie tylko wśród profesjonalnych szefów kuchni, ale też w domowym zaciszu – przekonuje Marta Hopfer z TVN. Żeby jednak zabłysnąć, musisz się przygotować. Przede wszystkim nie zaszkodzi umieć gotować. Nauka przyjdzie ci łatwiej, jeśli zaopatrzysz się w tablet z cyfrową książką kucharską, w której oprócz tysięcy przepisów znajdziesz mnóstwo filmików instruktażowych; możesz też doładowywać własne (francuska wersja: QOOQ, 349 euro, angielska: Media Chef, około 300 dolarów).

Anthony Bourdain, słynny szef kuchni (o jego książce piszemy niżej), dzieli się sztuczkami ułatwiającymi przygotowanie wykwintnych dań. Bezcenna jest na przykład metalowa obręcz lub ucięta kilokucyntymetrowa rurka PCV. Dzięki niej można formować piętrowe kompozycje jedzenia. Do obręczy wystarczy nałożyć na przykład purée z ziemniaków, a po zdjęciu jej udekorować całość warzywami. Zdjęcia takich kompozycji ilustrują potem książki kucharskie. Jeśli opanujesz tę sztukę, za kilka lat być może wydasz własną.



Zanim zaczniesz eksperymenty z kuchnią molekularną wykorzystującą wiedzę chemiczną, fizyczną i kulinarną (choćby do zrobienia pianki z krewetek), zacznij od precyzji w proporcjach. Pomoże ci łyżka-waga (233 złote, CzerwonaMaszyna.pl).



Butelka z miękkiego plastiku kosztuje tylko kilka złotych, a w kuchni jest bezcenna. Używaj jej do dekoracji potraw, szczególnie dorysowując wykalczką.

Tester do makaronu

Profesjonalny kucharz powinien unikać gadżeciarstwa, ale niektórym nowinkom nie można się oprzeć. Zamiast sprawdzać, czy makaron jest *al dente*, za pomocą akrobacji z łyżką i widelcem, warto wyposażyć się w stalowy tester za 59 złotych.



Ile razy zrezygnowałeś

z kupna ananasa na myśl o horrorze z obieraniem go? Teraz miąższ wystarczy wykręcić specjalnym narzędziem niemieckiej firmy Gefu. Do kupienia w sklepie FrankHerbert.pl za 106 złotych.

Legendarny piąty smak

,czyli umami, Zachód oficjalnie uznał dopiero w 2000 roku. Dosłownie oznacza „wyborną esencję”, znawcy opisują go jako „mięsny” lub „bulionowy”, a sceptycy śmieją się, że to zwykła kostka rosołowa. Tubka umami kosztuje 3 funty, dostaniesz ją w brytyjskich e-sklepach Selfridges i Waitrose.



Walizka z narzędziami

GRZECHEM POCZĄTKUJĄCYCH kucharzy jest kupno wielkiego zestawu „noży uniwersalnych”. Profesjonaliści przekonują, że lepiej kupić porządny nóż szefa kuchni. Inne akcesoria, jak ręczna krawalnica do warzyw – to gadżet dla teoretyków efekciarzy.

Czego
NAPRAWDE
POTRZEBUJESZ



CYWILIZACJA



TEŻ
PYTANIE!

Zaskakujących pytań ciąg dalszy!

Czekamy na więcej! Jeśli coś ciągle cię nurtuje, pisz na adres nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy jedną nagrodę

URSULA DĄBROWSKA

1. DLACZEGO NIE MA KOCICH MINIATUR – TAKICH, JAKIE SĄ U PSÓW?

Rzeczywiście kocie miniatury są rzadko spotykane. Do tej pory koty wydawały się wystarczająco małe. Jeśli ktoś chciał mieć mniejsze zwierze, wybierał chomika albo świnkę morską. Właściwie dopiero kilkanaście lat temu era miniaturyzacji zawitała również do kociń hodowców, na razie tylko amerykańskich. Za oceanem dostępne są już miniaturowe persy i koty himalajskie, a to zapewne dopiero początek. W wersji najmniejszej, zwanej filiżankową (*tea cup*), dorosłe zwierzęta ważą od jednego do półtora kilograma. To cztery razy mniej, niż ważą zwykłe koty tych ras. Niestety, cena jest odwrotnie proporcjonalna do wielkości. To co najmniej tysiąc dolarów plus koszt przesyłki ze Stanów Zjednoczonych.



2. DLACZEGO LUDZIE NIE MAJĄ GĘSIEJ SKÓRKI NA TWARZY?

Gęsia skórka, fachowo zwana reakcją pilomotoryczną, to nieświadoma odpowiedź organizmu na strach lub zimno. Wywołuje ją impuls układu nerwowego, który powoduje skurcz małych mięśni przy cebulkach. U zwierząt pozwala to postawić futro na sztorc, by odstraszyć przeciwnika lub zwiększyć warstwę izolującą ciało od zimna. U ludzi nie pełni już właściwie żadnej funkcji. Na twarzy pojawia się niezmiernie rzadko, bo większość z nas nie ma tu mięśni przy cebulkach włosów. Niektórzy dziedziczą jednak tę cechę po rodzicach. Na szczęście nawet u nich gęsia skórka na obliczu pojawia się rzadziej niż na reszcie ciała. Na twarzy zdecydowanie dominują inne mięśnie – mimiczne.

3. DLACZEGO UGRZYNIENIE GZA BOLI, A KOMARA NIE?

Zarówno giez, zwany też końską muchą, jak i komar nie gryzą bez powodu ani w akcie agresji. Po prostu odżywiają się krwią – zwykle zwierzęcą, czasem ludzką. Sposób, w jaki to robią, bardzo się różni. Komar ma specjalną rurkę (aparat gębowy kłująco-ssący), którą wkuwa się w skórę ofiary, włącza ślinę ze związkami przeciwkrzepliwymi i ssie krew. Natomiast gzy są mniej wyrafinowane – rozcinają lub nawet rozrywają skórę i zlizują to, co w zranionym miejscu wypływa z tkanki. W dodatku ich aparat gębowy jest przystosowany do grubej i twardej skóry bydła. Dlatego ludziom zadają zupełnie niepotrzebnie dużą ranę.

4. CO POWODUJE, ŻE WŁOSY ŁONOWE NIE SĄ PROSTE?

To, czy na głowie mamy włosy kręcone, czy proste, zależy od genów, które odziedziczyliśmy po rodzicach. To one decydują o kształcie cebulki. Jeśli te ostatnie są zakrzywione, to rosną z nich kręcone włosy. Resztę ciała pokrywają zwykłe krótkie, proste włosy wyrastające z mniejszych i prostych cebulek. We wczesnym dzieciństwie także w kroczu ludzie mają delikatne włoski. Ich cebulki zmieniają się jednak w okresie dojrzewania pod wpływem działania hormonów, między innymi zakrzywiają się. Z nich wyrastają włosy grubsze, mocniejsze i zakręcone.



Nasze nagrody – książki

J. Brockman „W co wierzymy, choć nie potrafimy tego dowiedzieć”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądzą wszyscy (ale nie ja)” – wydawnictwo Smak Słowa; A. Gawande „Komplikacje” – wydawnictwo Znak

5. JAKI KOLOR MA KAMELEON, GDY WPADNIE DO PRZEJRZYSTEJ WODY?

Odpowiedź rozczaruje wszystkich, którzy wierzą, że kameleony przybierają kolor tła. To, niestety, mit. Prawda jest jedynie, że potrafią zmieniać ubarwienie. Ich skóra jest przezroczysta, a komórki pod nią zawierają różne pigmenty: czerwone, pomarańczowe, zielone, niebieskie, żółte, a nawet białe i czarne. W zależności od tego, które komórki wyeksponuje kameleon, taką barwę przyjmie. Ale nie jest to typowa mimikra, czyli naśladowanie otoczenia. Zmiana koloru służy raczej komunikacji z innymi osobnikami. Ubarwieniem kameleony demonstrują zły humor lub zainteresowanie płcią przeciwną. Poza tym gdy jest im zimno, stają się ciemniejsze, by pochłaniać więcej promieni słonecznych. Dlatego kameleon wrzucony do wody prawdopodobnie nie zmieni koloru. Chyba że się wścicknie lub woda będzie zbyt chłodna.



W tym tygodniu:
GEORGE CLOONEY LATA,
JULIA FIEDORCZUK OPOWIADA,
MUZEUM (PRAWIE) SIĘ OTWIERA,
A NA DESER MUZYCZNE
CRÈME DE LA CRÈME: NIWEA

JEDEN SPEKTAKL, DWIE PERSONY

PREMIERA TADEUSZ NYŁEK

„PERSONA. CIAŁO SIMONE” W WARSZAWSKIM
DRAMATYCZNYM ROBI KARIERĘ Z POWODÓW
NIE TYLKO TEATRALNYCH

KRYSTIAN LUPA JUŻ OD JAKIEGOŚ CZASU próbuje rozwiązać kwadraturę koła: jak wyjść z teatru, jednocześnie w nim zostając. Jakby przestał lubić teatr tak długo będący dla niego całym światem. Kiedyś zamykał pudełko sceniczne różnymi ramami. Oddzielał aktorów od widowni przezroczystymi zasłonami z gazy, budował wysmakowane dekoracje tworzące wyrazisty i osobny świat, piękny i niepowtarzalny. Teraz traktuje teatralność, więc sztuczność, złudzenie i fałsz, jako problem do powtórnej dyskusji. Dekoracje są coraz częściej tylko cytatami z innej, realnej rzeczywistości produkującej artefakty sztuki. Na przykład konkretnymi pracowniami artystycznymi („Factory 2”), pustymi i zdegradowanymi studiami filmowymi („Persona. Marilyn”) albo salami prób w teatrze („Persona. Ciało Simone”). Ta ostatnia dekoracja to zresztą autocytat, bo jest niemal kopią tamtego studia z „Marilyn”.

Aktorzy zachowują się tak, jakby nie wychodzili z teatru i nadal nad czymś pracowali. Zastajemy ich w trakcie, fragmencie drogi skądś dokądś, na brudno, zaskoczonych faktem, że przyszedł jacyś ludzie i zasiedli na widowni.

Jeśli Lupa produkuje teraz jakieś teatralne złudzenia, to po to, żeby mylić tropy, zacierać granice między sceną a niesceną. Prowokuje aktorów do improwizacji utrudniających im „artystyczne” popisy. W materię spektaklu wkrada się nieporządek, niepoprawność, niegrammatyczność, drażniąca bylejakością daleka od „sztuki panowania

nad widzem”. Wygląda na to, że coś bardzo przełomowego musiało się stać w momencie, gdy kilka lat temu zafascynował się nowojorską Fabryką Andy’ego Warhola i zaczął oglądać jego filmy. A właściwie antyfilmy, bo ich akcja była w zasadzie żadna, a przyjaciele występujący w rolach aktorów, głównie nieźle naćpani, w nieskończoność improwizowali jakieś scenki i sytuacje, przeważnie na prywatne tematy. Takie prywatne i półprywatne filmowanie stało się odtąd obowiązkową częścią składową przedstawień Lupy.

Krótko mówiąc: wy, którzy lubicie w teatrze efektownie opowiedziane historie, idźcie gdzie indziej. Nie macie tu już czego szukać.

Sen Elżbiety Vogler

Persony zastępujące teraz w teatrze Lupy dawnych tak zwanych bohaterów scenicznych z ich perypetiami to twórcy, którzy własne życie utożsamili z duchowym powołaniem. Nie przypadkiem jedna z głównych postaci „Ciała Simone”, niejaki Artur (Andrzej SzereMETA) usiłujący wystawić spektakl o Simone Weil (trochę porte-parole samego Lupy, a trochę ironiczny portret dzisiejszego młodego reżysera), powiada, że naprawdę interesuje go ktoś taki jak Dostojewski, Nietzsche czy właśnie Simone Weil, a nie na przykład Kant. Myśli Kanta można bowiem wyjąć z jego głowy i obdarzyć nimi kogoś innego, osoba nosiciela nie ma tu większego znaczenia. Odwrotnie niż w przypadku tamtej trójki.



Simone Weil
tu jeszcze
zadowolona
z siebie.
Niedługo to
się skończy

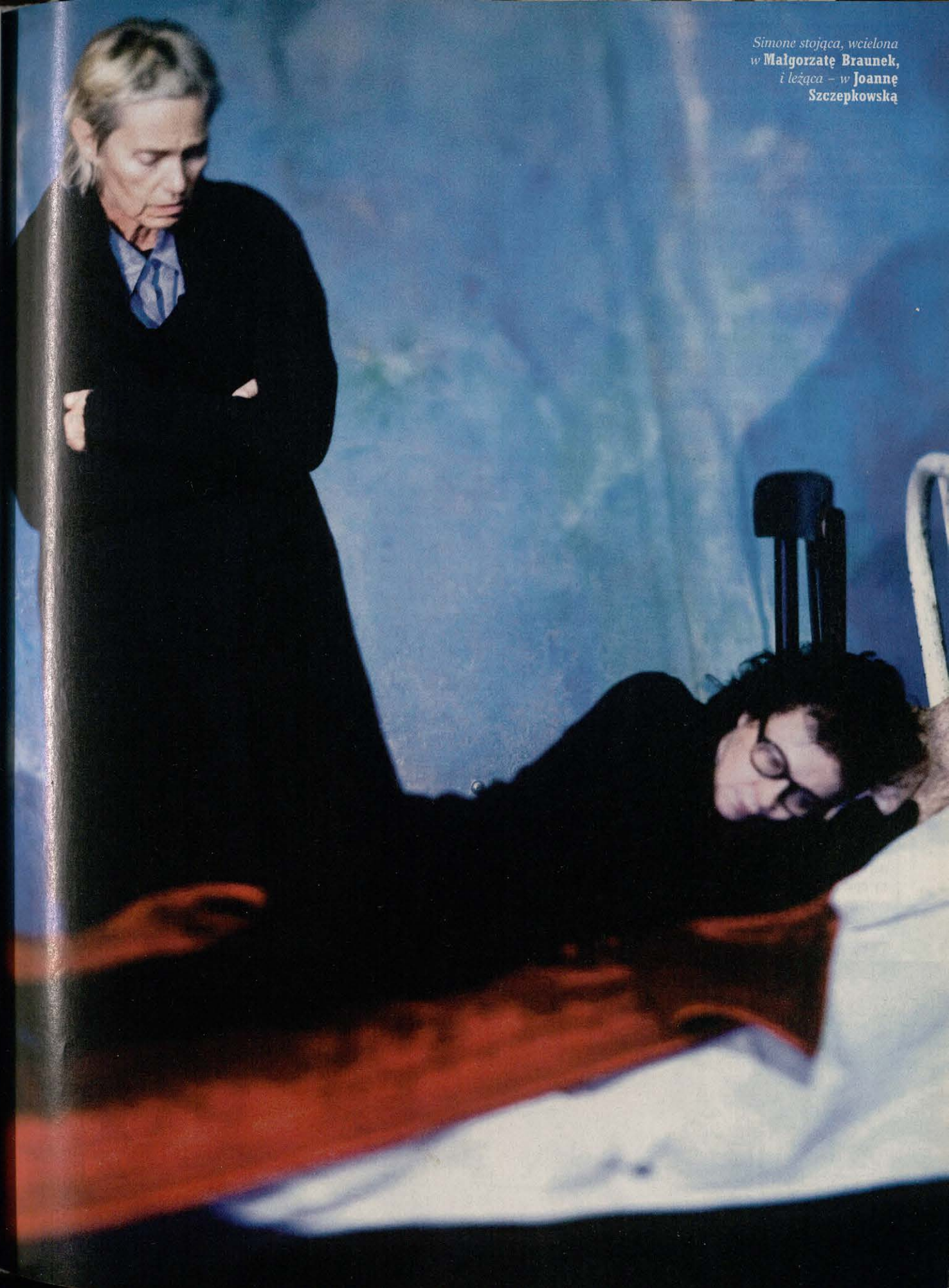
Weźmy taką Weil. Francuska Żydówka, filozofka, lewicująca syndykalistka i nawrócona, natężona mistyczka, zmarła z wycieńczenia w 1943 roku, mając zaledwie 34 lata. Nie mogąc znieść ogromu ludzkiej biedy, pogrążona w naukach Chrystusa ukrzyżowanego za innych doprowadziła się do śmierci może nie celowo, ale konsekwentnie.

Simone – w jej roli Joanna Szczepkowska – pokaże się w spektaklu tylko raz, pod jego koniec. Będzie ni to snem, ni majakiem szwedzkiej aktorki Elżbiety Vogler, pamiętnej bohaterki „Persony” Bergmana. To ta, która podczas występu w teatrze nagle zamilkła i milczała kilka miesięcy, bezskutecznie potem prowokowana przez swoją opiekunkę pielęgniarkę do przerwania niemoty. W wymyślonym przez Lupę dalszym ciągu jej życiorysu Elżbieta, mająca ponad 60 lat, dostaje od zafascynowanego nią młodego reżysera propozycję zagrania Simone. Elżbieta nie jest zwykłą aktorką i wie, że ma się wcielić w niezwykle postać. Waha się, bo obecnie jest od Simone dwukrotnie starsza, a nie wyobraża sobie, żeby można było zagrać tamtą francuską mistyczkę bez całkowitego utożsamienia się z nią. Ma też kłopoty z niektórymi duchowymi i egzystencjalnymi wyborami Simone, choć widzi zbieżności między własną przemianą wewnętrzną a przemianami Weil.

Elżbietę gra Małgorzata Braunek. Aktorka, która również nie jest zwykłą aktorką. Jej filmografia (w teatrze występowała tylko trzy lata) urywa się nagle na roku 1980. Zerwała z aktorstwem, środowiskiem, ze sławą. Została praktykującą buddystką i wolontariuszką w hospicjum. Na ekran wróciła niedawno. Do teatru – po blisko 40 latach.

Te wszystkie role, ta Simone i Elżbieta, postaci prawdziwe i filmowe, role sceniczne i pozasceniczne mieszają się teraz w „Ciele Simone”. Granice się zacierają, jesteśmy →

Simone stojąca, wcielona
w Małgorzatę Braunek,
i leżąca – w Joannę
Szczepkowską



→ w teatrze i nieteatrze. Lupa wprowadza aktorkę Simone i aktorkę, która gra aktorkę grającą Simone, bo tym sposobem łatwiej mu powiedzieć, że Weil i dla niego nie jest kimś jednoznacznym. Elżbieta broni „swojej” bohaterki nie tylko przed Arturem widzącym w niej zakochałą w swoim poświęceniu fanatyczkę, ale i przed samą Simone, która chce jej pokazać, że uczciwość życia, za którą Chrystus umarł na krzyżu, wymaga moralnego absolutyzmu. Czyli przekroczenia wszystkich ludzkich ograniczeń i odrzucenia wszystkich małości, słabości i codziennego banału. Ale ponieważ także i ta Simone jest tylko aktorką Joanną Szczepkowską, może przekroczyć te ograniczenia jako aktorka właśnie. I oto Szczepkowska zbliża się w pewnej chwili do widowni i na naszych oczach, coraz bardziej zaskoczonych, przeobraża się z łagodnego doktora Jekylla w diabelskiego pana Hyde'a. Na moment ściera z twarzy rysy Simone i ze słowami: „Tu jeszcze dalej możesz iść”... podciąga czarną, niemal mnisia spódnicę i pokazuje gołą pupę. Macie swoje „przekraczanie granic” w teatrze.

I przez chwilę nie wiadomo, kto tu komu rzuca wyzwanie. Aktorka Szczepkowska uchodząca za wzór perfekcyjnego akademizmu, demonstrująca, jak prostym i stosunkowo łatwym gestem dostać przepustkę do teatralnej awangardy, czy awangardowy reżyser Lupa ironizujący na temat między innymi swojego teatru. W „Ciele Simone” – jak zresztą w kilku poprzednich spektaklach – znów przecież rozegrał do rosołu ładnego chłopaka.

Marilyn i Simone

Są w spektaklu sceny bardzo piękne, przejmujące, wzruszające i poruszające. Jak choćby ta ostatnia, wielka, intymna rozmowa dwóch Simone, prawdziwej i tej wcielo-nej w Elżbietę Vogler. Gdyby nie ów dziwny epizod z pupą, skupienie byłoby pełniejsze, ale widać nie można mieć wszystkiego. Są jednak i takie sceny, które wloką



Reżyser Krystian Lupa przenosi realny świat na scenę

się niemiłosiernie, a logoreję Lupy wkładane w usta aktorów zdają się nie mieć końca. Wstyd przyznać, ale wtedy człowiek marzy o szybkiej ucieczce z widowni w dowolnym kierunku. A przecież siedzi dalej w poczuciu, że naprawdę ważne rzeczy są mówione. I nie aktorzy czy tekst są tu winni, tylko... bo ja wiem... wstydliva niezdolność do bezkresnego towarzyszenia Samym Najważniejszym Sprawom?

Rola Małgorzaty Braunek automatycznie przywodzi na myśl głośną rolę Sandry Korzeniak, jej poprzedniczki z „Marilyn”, pierwszej części Lupowego tryptyku. Są oczywiście kompletnie inne. Marilyn i Korzeniak to była charyzmatyczna jedność, biologiczny żywioł, totalne utożsamienie przytrafiające się w teatrze od wielkiego dzwonu. Braunek-Elżbieta-Simone to wy-ciszone, grane półtonami, nieuchwytnie i migotliwie przenikanie się różnych postaci, przepływanie mnie-w-nie-mnie, ciągły wewnętrzny spór. Ale bohaterki obu „Person” łączą nie tylko zawodowy profesjonalizm. Równie ważne jest to, co przychodzi wraz z nimi z zewnątrz. Ze świata, który Lupa usiłuje wciągnąć na scenę jako samoistną wartość równą wartości kreacji artystycznej. To coś, czego się nie da na-

uczyć ani podejrzeć, bo jest organiczne, czysto ludzkie i niedyskutowalne. Ta osobista prawdziwość unosząca się lekko nad sceną teatru, który jest wcieloną sztucznością.

PS Powiadają, że człowiek inteligentny znajduje na wszystko wytłumaczenie. Byłem, jak zapewne wielu na premierowej sali, przeświadczony, że ów nieco zaskakujący epizod w postaci krótkiej, acz sugestywnej demonstracji tylnej części ciała Joanny Szczepkowskiej to pospólne dzieło aktorki i reżysera. Uzasadnienie: patrz wyżej. Jak już dziś wiadomo, myliłem się straszliwie. Następnego dnia Lupa opublikował oświadczenie, że nie ma z tym nic wspólnego, a sama „sprawa Szczepkowskiej” stała się główną aferą teatralnej zimy.

Rozmowa z Krystianem Lupą Wiedziałeś o tym happeningu Szczepkowskiej?

– Ależ skąd! Byłem całkowicie zaskoczony! Owszem, podobno Szczepkowska zapowiadała wcześniej w teatrze, że chce „coś zrobić” od siebie, ale przez myśl mi nie przeszło, że coś takiego! **No, ale ta improwizacja była dosyć na temat... Wciąż komuś tam chodziło o przekraczanie granic, więc może uznała, że i ona może?** – Problem w tym, że właśnie jej rola miała być takich rzeczy absolutnie pozbawiona! W tym

chwijnym świecie wciąż podważanych reguł ktoś taki jak Simone miał być wcieleniem autentyczności, jakimś duchowym monolitem, choć oczywiście z wewnętrznymi problemami. To, co zrobiła Joanna, było przeciwko postaci.

Był między wami konflikt?

– Ależ skąd! Świetnie się nam pracowało. Byłem bardzo zadowolony z jej roboty, nie wyobrażam sobie idealniejszej Simone. Na jednej z prób mieliśmy lzy w oczach, tak to było prawdziwe i wzruszające.

Rozmowa z Joanną Szczepkowską Co chciałas przez to powiedzieć?

– Że wyzwanie artystyczne, jakie formułuje Krystian Lupa w swoim spektaklu, brzmi atrakcyjnie. Napisał tekst o tym, że nie jest artystą ten, kto nie przekracza granic. Napisał też, że ciężko pracować z aktorem, który nie ma w sobie „obszaru kompromitacji”. Napisał, że aktorzy są skostniałymi narzuconymi ramami.

Postanowiłam więc sprawdzić, do jakiego stopnia to wyzwanie jest autentyczne, a do jakiego stopnia dotyczy tylko samego Lupa. Oczywiście posłałki, które przez moment pokazałam, absolutnie nie były gestem „wypięcia się na reżysera”. Ja się rozebrałam, przekraczając tylko własne granice.

Ale co innego grać skonfliktowaną wewnętrzną kobietę zdającą do samozatrącenia, a co innego być Joanną Szczepkowską coś tam manifestującą.

– Niezupełnie, jeśli rozumieć dosłownie „znużenie Lupa teatralnością” i manifestowanie ciekawości tym, co w osobie grającej dzieje się naprawdę. Przecież Krystian Lupa cały czas mówi: interesuje mnie płynność prywatności i aktorstwa. Tyle że na aktorstwo nie mieliśmy szans, bo odbyła się jedna tylko próba całego tekstu na scenie. Próbowaliśmy ponad rok chyba, ale były to jedynie chaotyczne przemowy Krystiana, który chodził wokół stołu. Nie mogłam uwierzyć, że nie chce prób.

Ale zepsułaś Krystianowi spektakl, bo chyba chciał, żeby wasza scena z Małgorzatą Braunek była takim czystym teatrem, nieskażonym ciągłym podważaniem reguł, do czego nawiązuje prowokacyjny reżyser Artur. Nie mówiąc o szoku, jakiego musiała doznać twoja sceniczna partnerka.

– To bardzo wysoka poprzeczka, którą można osiągnąć tylko w próbach, a nie przypadkowością. Więc może ten „nieskażony teatr” miał zostać skompromitowany? Małgosię Braunek bardzo podziwiam za jej spokój w tym przypadku. No, ale obie znalazłyśmy się w trudnym i okrutnym obszarze sztuki, która ma wyjść poza reguły. Teraz, kiedy jest szum, może przynajmniej publiczność będzie się orientowała, do jakiego stopnia nie byliśmy przygotowani. Kolejne spektakle to już tylko świadome próby roli.

„Persona. Ciało Simone”, tekst, reżyseria i scenografia Krystian Lupa, kostiumy Piotr Skiba, muzyka Paweł Szymański, Teatr Dramatyczny w Warszawie

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, FORUM, JAKUB OSTŁOWSKI/FOTORZEPA



Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

Zakładam w grach wideo Ligę Emerytów. Zainteresowani?

POWINNIEM NAPISAĆ, że zainspirował mnie tekst na Wired.com – o tym, jak to dzisiejsza młodzież w rozgrywanych przez Internet grach wideo nie daje szans „staruszkom”, czyli wszystkim powyżej trzydziestki. Zanim taki weteran zdąży przeładować karabin, 15-latek wisi mu już na gardle z nożem. Gdy grupa staruszków opracuje strategię ataku, leci im już na spotkanie pocisk z granatnika, a nastolatki po drugiej stronie komentują sytuację głośnym „he, he, he”. Tak naprawdę powinienem jednak napisać, że zdarzyłem się z tym w praktyce. Mam 36 lat na karku, prawie tyle ile autor z „Wired”, ale wciąż trochę ambicji, by sprostać młodzieży w działaniach wojennych („Modern Warfare”) albo w wyścigu po skarby („Uncharted”). No i przepadłem. Pierwszy krok, drodzy emeryci – zanim zaczniecie grać, odcinajcie fonie. Inaczej za- leże was fala rechotu, żartów opartych na trzech wyrazach – wszystkich wulgarnych – i odstraszaające knowania klanów z krajów tak egzotycznych, że nawet „przepraszam” w ich języku wywołuje ciarki. Właśnie. Zwróćcie też uwa-

gę na nazwy klanów. Te proste, odnoszące się do podstawowych funkcji (nie)życiowych – jak DEAD i KILL – to z pewnością niewyżyte nastolatki. Szczególnie odradzam kontakty z klanem ITA. Włosi byli może narodem rozmówczym we freskach i uwerturach, ale tylko do czasu, gdy wymyślono gry w strzelanie. Są okrutni, grubiańscy i kaleczą angielski gorzej niż Koreańczycy. Śmiertelne spotkanie z tymi ostatnimi będzie za to szybkie i ciche jak rwanie mleczaków – nawet nie zauważyście. W drugim kroku zwróćcie uwagę na ksywki przeciwników. Punisher85, Destroyer92, Butcher97 – im wyższy rocznik, tym okrutniej. Data bywa zresztą zbędna. Jak u wymownego BEG4ME2STOP. Już chciałem prosić, żeby przestał. Ale nie zdążyłem się odezwać. Albo F33lFr33_2_H4t3, który(a) zrobił(a) ze mnie sito, zanim zdążyłem odszyfrować jego (lub jej) ksywkę. W wolnym tłumaczeniu: „Możesz mnie nienawidzić”. Przy graczach joky2000 dałem się odstrzelić, bo stanąłem osłupiały, zastanawiając się, czy ten małałot (widać po zachowaniu) z bronią naprawdę ma tylko 10 lat. Owszem, byłem lepszy niż Mazzy57, który przez całą roz-

grywkę się nie ruszał. Kłopoty z kontrolerem? Artretyzm? A może po prostu zasnął przed telewizorem? Albo niejaki WanderingGolfier, który w golfie może sobie z lekkością pyka (popykując cygarko), ale w grze nie popykał, stając się mięsem armatnim. Sam zdołałem dopaść przeciwników typu x19xmurphx84x czy hazzard72. Sukces? Hm, jeden starszy ode mnie, a drugi w wieku 26 lat, czyli bliżej mnie niż średniej, która na niektórych sieciowych serwerach wynosi lat 14. Co z tego, że 30-latką kształtują branżę gier wideo, skoro słabnący refleks i pogarszająca się motoryka eliminują ich w sposób naturalny. Poza tym nie mają tyle czasu na rozrywki. Czym są moje odebrane życie rodzinne i nocnemu spoczynkowi 24 godziny (łącznie) sieciowej gry w „Uncharted 2” przy światowej średniej sięgającej 800 godzin. Te 33 okrągłe doby, i więcej, wyrabiają właśnie małałoty. Jaki jest zatem trzeci krok? To akceptacja dwóch faktów: zdolną mamy młodzież, ale nigdzie indziej niż w grach wideo nie przekonacie się z większą łatwością, że ta kategoria wiekowa już się za wami zatrzasnęła. Z hukiem, łoskotem i rechem. □

RYS. MARCIN MACIEJOWSKI



REKLAMA

KAYAX PREZENTUJE

www.kayax.net



ALBUM FOX BOX W SKLEPACH!

Maria Peszek
M.Bunio.S [DICK4DICK]
Natalia Lubrano [MILOOPA]
Sqbass
Novika [SOFA]
Orgonek [SOFA]
Marsija [LOCO STAR]



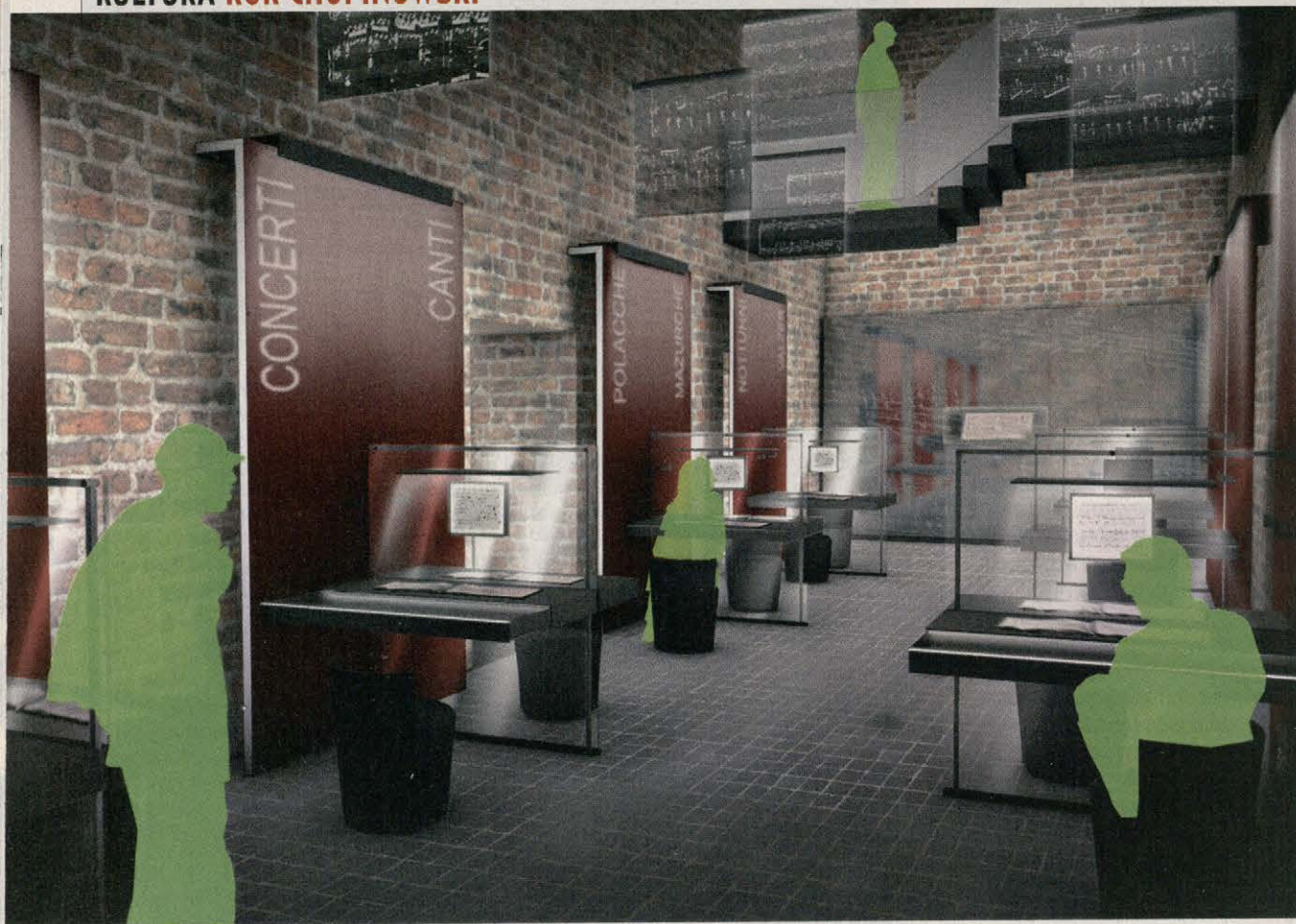
PRZE KROJ

onet.pl

Roxyem

cojestejane

HIRO



Wystarczy dotknąć ekranu z rękopisami, a wirtualna przeglądarka nut uruchomi muzykę

MUZEUM ADA GINAŁ

Czip, czip, hurra!

Był pedantem, przesadnie dbał o ubiór. By dowiedzieć się o nim więcej, posłuchać muzyki, zobaczyć pamiątki, a nawet poczuć zapach jego ulubionych kwiatów, trzeba wybrać się na multimedialną wędrówkę po nowym muzeum Fryderyka Chopina w Warszawie. Otwarcie i marca

Chcemy posłuchać wybranego utworu romantycznego kompozytora? Wystarczy na historycznym fortepianie ustawić Chopinowską partyturę. Specjalny system elektroniczny uruchomi nagranie, a na panelach nad instrumentem – projekcję dłoni Stanisława Drzewieckiego grającego wybrany utwór polskiego pianisty. Co jeszcze zobaczą, a może raczej czego doświadczą goście muzeum? Przez rok debatowała nad tym komisja, w której specjalistami od muzealnictwa, muzykologów (profesor Irena Poniatowska), historyków, scenografów, performerów wideo-art (m.in. Boris Kudlička i Adam Dudek), a nawet filmowców (Andrzej Wajda) zastanawiali się, jak najlepiej Chopina pokazać. – Staraliśmy się pamiętać przy tym,

że najszybciej przyswajamy wiedzę, jeśli odbieramy ją wszystkimi zmysłami – zaznacza Alicja Knast, kuratorka najnowocześniejszego w Europie muzeum biograficznego. Efekt? We wnętrzach muzeum przystosowanych dla osób niepełnosprawnych ważną rolę odgrywają nie tylko dźwięki i obrazy, ale nawet zapachy. Oprócz muzyki Chopina usłyszymy nauczyciela pokrzykującego w czasie lekcji fortepianu czy odgłosy paryskiej ulicy. Pocujemy też, a jakże, zapach fiołków – ulubionych kwiatów kompozytora.

Idziemy własną ścieżką

W pałacu i odrestaurowanych piwnicach dla zwiedzających przeznaczono cztery różne poziomy. W podziemiach spotkamy się z Chopinem kompozytorem i wir-

tuozem. Tu znajdują się gabloty z autografami, między innymi etiud z opus 10.

Na parterze znajdują się sale Żelazowa Wola i Warszawa, poświęcone młodzieńczym latom Chopina, a także pokój dla dzieci z szafą grającą animacjami i grą komputerową. Piętro poświęcone zostało pobytovi kompozytora na emigracji. W wiernie odtworzonym salonie paryskim stanie jeden z najcenniejszych eksponatów – fortepian Pleyela, ostatni, na którym artysta grał. Na tym poziomie, w sali Kobiety znajdują się też prezentowane w multimedialnej oprawie pamiątki związane z matką kompozytora, siostrą Ludwiką, narzeczoną Marią Wodzińską, młodzieńczą miłością Konstancją Gładkowską, uczennicą Jane Stirling (to ona kupiła ostatni fortepian Chopina i przekazała rodzinie mistrza w Warszawie) czy baronową d'Est, w której albumie (kupionym dwa lata temu przez Narod-

wy Instytut Fryderyka Chopina) znajdziemy autograf impromptu cis-moll – odręczną dedykację kompozytora dla protektorki. Na ostatnim poziomie poznamy charakter i temperament pianisty (niewiele pewnie wie, że był pedantem do przesady dbającym o ubiór).

Najlepsze światowe muzea to dziś nie tylko centra edukacyjne. Wiedzę podaje się w nich zwięźle, a publiczność wciągana jest w symulację historycznych wydarzeń. W jednym z największych centrów popularyzacji nauki na świecie – paryskim Cité des Sciences et de l'Industrie – na ziemię spojrzymy z perspektywy kosmonautów. W pełni skomputeryzowanym Natural History Museum w Londynie przeżyjemy trzęsienie ziemi i wybuch wulkanu. – Dziś nie projektuje się muzeów, ale zachowania ludzi w przestrzeni – mówi Ico Migliore z mediolańskiej pracowni Migliore + Servetto, która stworzyła ekspozycję. Włosi mają na koncie projekty dla centrów wystawienniczych w Tokio, Paryżu, Hongkongu czy Berlinie. W ich koncepcji warszawskiego muzeum świat realny spotkał się z wirtualnym. Ten pierwszy wypełniły gromadzone przez lata pamiątki po kompozytorze – w sumie 430 obiektów. Drugi to wirtualna część ekspozycji, do której wstęp zapewnia bilet z czipem.

To muzeum dla każdego – i laika, i znawcy. Każdy może być reżyserem swojego spotkania z Chopinem i wybrać dla siebie trasę nie tylko na czterech poziomach merytorycznych, ale też w aż ośmiu językach. Jak to zrobić? – Zwiedzający najpierw loguje się na stronie muzeum, tam wypełnia szczegółową ankietę, na której podstawie przygotowany dla niego zostaje bilet z zakodowaną indywidualną ścieżką zwiedzania – tłumaczy Alicja Knast. – Osobne czipy przeznaczyliśmy dla dzieci, którym w tej podróży towarzyszyć będą animowane ludziki opowiadające prostym językiem o kompozytorze.

Czego nie widać?

Nie tylko żaden wielki Polak, ale też żaden inny wielki twórca nie doczekał się takiej ekspozycji. Uznawane za jedno z bardziej nowoczesnych na świecie Muzeum Michaela Faradaya

w Oksfordzie, choć pełne elektroniki, jest tylko namiastką tego, co zobaczymy w Warszawie. Ściągnięto tu najlepszych speców od współczesnego muzealnictwa. W ciągu dwóch lat przekształcili oni Pałac Ostrogskich zaprojektowany przez XVII-wiecznego architekta Tylmana z Gameren w obiekt, w którym króluje high-tech. Zadanie należało do karłowatnie trudnych. Gmach, w którym

gotowanymi przez firmę Microtech International z Wrocławia. – W tym budynku najtrudniej było stworzyć to, czego nie widać – opowiada Jarosław Grzegory. – Usłyszymy muzykę, ale nie zobaczymy głośników, obejrzymy filmy, ale nie znajdziemy projektorów. Pod kamiennymi posadzkami w półtorametrowych przestrzeniach krzyżują się tysiące przewodów.



Dla dzieci powstał pokój z animacjami i grami komputerowymi o Fryderyku

mieściły się kolejno koszary, lazaret, fabryka wyrobów gumowych, konserwatorium, a po II wojnie światowej siedziba Towarzystwa imienia Fryderyka Chopina, przez lata nie był remontowany – ubytki zamalowywano tylko kolejnymi warstwami farby, piwnice porastały pleśnią. – Gdy w 2007 roku robiłem tu ekspertyzę architektoniczną, przeżyłem szok – opowiada Jarosław Grzegory z firmy Grzegory & Partnerzy, który podjął się stworzenia funkcjonalno-przestrzennej koncepcji muzeum i odrestaurowania pałacu. – Po zagraconych pomieszczeniach sypiała woda. Bałem się, że gdy osuszymy mury, wszystko się posypie. Na szczęście udało się tego uniknąć.

Odrestaurowane pomieszczenia, po których teraz poruszać się można szklanymi pomostami, wypełnione zostały pamiątkami po Fryderyku Chopinie i multimedialnymi instalacjami. Dwa poziomy piwnic i pałac naszpikowano dziesiątkami głośników emitujących muzykę i mowę, setką stacji komputerowych, ścianami wideo, kamerami, czujnikami ruchu, projektorami, monitorami LCD

Interaktywne stacje dźwiękowe skrywają między innymi audiobooki z listami kompozytora

wielkości do 65 cali przy-

– Na muzeum kompozytora z budżetu państwa przeznaczono 50 milionów złotych, kolejne 31,5 miliona pozyskaliśmy z Unii – mówi kuratorka Alicja Knast. – Za taką kwotę można było wybudować co prawda dwa nowe muzea, ale wybrałmy trudniejsze zadanie – odrestaurowanie zabytku i stworzenie w jego wnętrzu nowoczesnej placówki.

Na finał zwiedzania trafimy do sali Śmierć, w kontraście do innych pomieszczeń tradycyjnej, pozbawionej multimedialności. W ciszy zaprezentowane zostaną tu między innymi pierwsza pośmiertna maska Chopina, jego kosmyk włosów, kupon niedawno na aukcji w Chicago akwarela Teofila Kwiatkowskiego portretująca kompozytora na łożu śmierci, a także nekrologi, zaproszenia na pogrzeb, wycinki pośmiertnych artykułów z prasy francuskiej i angielskiej. – Nasi researcherzy wysłani zostali w różne strony świata, by zdobyć materiał ikonograficzny maksymalnie poszerzający wiedzę o Chopinie. Taki wysiłek mało kto dziś podejmuje – podsumowuje Alicja Knast.

Było warto – ofiarowaliśmy kompozytorowi wyjątkowo drogi, ale też wyjątkowo trwałe prezent na jego 200. urodziny.

Wejście Julii

Poetka mocno debiutuje prozą

++++ MARCIN SENDECKI



Od dziś mówiąc o nowej polskiej prozie, nie można pominąć Julii Fiedorczuk

Z pewnego szanującego się periodyku kulturalnego, po który sięgam czasem w celach rozrywkowych, dowiedziałem się ostatnio – cytuję z pamięci – że „Zaburzenia” Thomasa Bernharda właściwie nie da się czytać, bo przecież świat nie jest naprawdę tak straszliwy, jak go autor maluje. Wspominam o tym, by od razu przestrzec czytelników tęskniących do zgoła niebernhardowskich pejzaży, że w książce Julii Fiedorczuk raczej ich nie znajdą. Pada w niej za to kwestia jednej z bohatererek: „Bardzo proszę, żeby wszyscy byli szczęśliwi. Nie, to niemożliwe. Żeby wszyscy byli bezpieczni. Żeby nikomu nic się nie stało. A jeśli już dzieje się coś złego, niech to przynajmniej ma jakiś sens. Cierpienie. Niech ich uszlachetni i poprowadzi w sam środek radosnego światła!”. Kwestia ważna, bo w opowiadaniach Fiedorczuk jest dokładnie na odwrót. Jej postaci to głównie kobiety, wszystkie na swój sposób wypchnięte z kolein normalności, doświadczone traumą, krzywdą, przemocą, własną cielesnością, życiem samym.

Bardzo to ciekawe, bo Fiedorczuk, autorka kilku tomów wierszy i badaczka literatury amerykańskiej (największa w Polsce specjalistka od wielkiej ekscentryczki Laury Riding), nie

jest przecież poetką jakoś szczególnie mroczną. Wygląda więc na to, że debiutując prozą, chciała poszerzyć pole swoich zainteresowań. Z sukcesem – co do tego nie mam wątpliwości. Zwykło się mówić w takich razach, że rzecz wcale nie wygląda na debiut – i tak jest naprawdę. Nie ma u Fiedorczuk nic pospieszonego, niechrząpanego, niechrząpanego. Jest – nieco paradoksalnie, wzięwszy pod uwagę jej tematy – radość pisania, radość z układania celnych zdań, czelowania opisów, pisarska samoświadomość. Jej niedługie opowiadania są gęste od zdarzeń i znaczeń – parę współczesnych polskich pisarek każde z nich rozciągnęłyby pewnie w powieść – a jednocześnie elegancko skonstruowane, umiejętnie wykorzystujące napięcie między dosadnością konkretnego a niedopowiedzeniem.

Za tekst najlepszy mam tytułowy „Poranek Marii”. Inne niewiele mu ustępują, ale – pora na drobne zastrzeżenie – przy końcu tomu zdaje się, że oto tryb pisania Fiedorczuk wyczerpuje własne możliwości do cna. Że dalej się tak nie da i następna proza poetki, by zachować świeżość, musi przekroczyć samą siebie: tematycznie, objętościowo, stylistycznie. Jak będzie? Intrygujące pytanie.

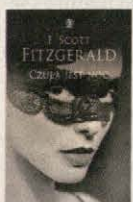


Julia Fiedorczuk „Poranek Marii i inne opowiadania”, Biuro Literackie, Wrocław 2010, s. 100, 34 zł

F. Scott po liftingu

„Czuła jest noc” w nowym przekładzie

TAK TO JUŻ JEST JAKIŚ TRAFEM, że się Scotta Fitzgeralda albo uwielbia, albo lekceważy. Jedni mają „Wielkiego Gatsby’ego” (oraz niektóre opowiadania) za rzecz wielką, najpierw inicjacyjną, potem nieodmiennie wzruszającą. Inni chętnie się krzywią, że autor płochy, manieryczny, sentymentalny. Może i atrakcyjny dla młodzieży, ale zasadniczo nie dość głęboki i w ogólności niepoważny.



Jestem z tych pierwszych i bardzo się cieszę, że dzięki nowemu przekładowi

F. Scott Fitzgerald „Czuła jest noc”, przeł. Wojciech Brydak, Rebis, s. 384, 39,90 zł

FSF może zyskać trochę nowych czytelników. Dlaczego Wojciech Brydak wziął na warsztat akurat „Czuła jest noc”? Ba, nie jestem pewien – istniejące tłumaczenie Marii Skroczyńskiej i Zofii Zinserling nie odbiega chyba poziomem od innych przekładów Fitzgeralda. Zresztą (takie mam wrażenie, dla porównania zająłem tylko w parę miejsc) wersja Brydaka to raczej ogólne odświeżenie i lifting niż zmiana rewolucyjna. W dodatku ta właśnie powieść szczęścia autorowi nie przyniosła. Po gigantycznym sukcesie „Gatsby’ego” (1925) Scott latami zmagał się ze sławą, obłędem swojej żony Zeldy i mocnymi trunkami, ale kolejnej powieści napisać nie potrafił. Kiedy

w końcu wydusił z siebie „Czuła jest noc”, był rok 1934 i Wielki Kryzys. Nikogo nie obchodziły wzloty i upadki (z przewagą tych drugich) niebiednych Amerykanów blakających się po Europie w latach 20. Szkoda, bo to przecież ładna, po części autobiograficzna książka o „pięknych przegranych”. Kiedy ją czytałem, przypomniał mi się list Scotta do Hemingwaya. Listopad, rok 1925, obaj bawili w Paryżu. Fitzgerald strasznie przeprosza za przedwczorajsze naprzykrzanie się (z pewnością był pod dobrą dawką) koledze i jego żonie i prosi, by uznać, że ten żalony facet, który w sobotni poranek władował się do ich mieszkania, to nie był on, tylko niejaki Johnston, luźniak do Fitzgeralda podobny. Wzruszające. Niech spoczywa w pokoju. – msen



Piękny przegrany F. Scott Fitzgerald

SZTUKA KULTURA

„Śmierć matki”, około 1934 roku, tempera na papierze

często zrobionym własnoręcznie z patyka i koziego włosia, malowała święte obrazki.

Wystawie jej prac towarzyszą nie tylko Dorocine przyśpiewki nagrane przez dobrych ludzi, ale i dwa filmy dokumentalne. Ciekawy jest zwłaszcza ten drugi, późniejszy, z lat 80. Zimowa Zawoja, przez kopny śnieg brnie do domu okutana w chusty i szmaty starowina. W zgrabiałych i powykręcanych dłoniach, które nigdy nie widziały rękawiczek, niesie wiązkę chrustu. Otwiera drzwi do chatynki i zamyka je na kawałek drutu udającego haczyk. W chatynce brud, smród i ubóstwo nie do opisanie. Starowina bierze porządki z czajnika i wychodzi po wodę. Czerpie ją z rynienki odpływowej wystającej ze zbocza góry. Stawia czajnik na piecu. Kroi kapustę. Kury wąż na stół i pętają się pod nogami. W sąsiedniej izdebce meczą kozy. Wygląda, że to nie zwierzęta mieszkają u niej, lecz ona mieszka u zwierząt.

Życie nie do pozazdroszczenia. Choć podobno bywały lepsze chwile. Jakies pieniądze za sprzedane obrazki. Jakies stypendium, zapomoga. Ktoś kupił materiały malarskie. Nawet kiedyś postawili nową chałupę obok starej i zniszczonej, ale za parę lat i tamta wyglądała podobnie. Dorota, choć Lampart, wiodła życie gorsze od psa. Tego nie wiadać na jej obrazkach, zazwyczaj jasnych i pogodnych, nawet gdy maluje Sąd Ostateczny, męczeństwo świętej Doroty czy Drogi Krzyżową. Bo świat zaludniony przez świętych, aniołów, Matki Boskie i cały ten naiwno-baśniowy pejzaż to jedna wielka odtrutka na nędzę ziemskiego padolu.

Nikifor w spódnicy? Bez przesady. Nikifor był świetnym malarzem, do którego etykieta prymitywisty pasowała tylko jednym bokiem. Malarstwo Doroty Lampart jest zwyczajnie naiwne i prymitywne, trochę dziecięce, niekiedy bardzo stereotypowe. A przecież przed niejednym z tych obrazków stałem w zdumieniu, że tyle czystej wiary w żywe istnienie Nadprzyrodzonego uchowało się w tej samotnicy z Zawoi. I że umiała tak pięknie rozmawiać ze swoimi snami.



Lampart w Krakowie

Ote głupia Dorka od świętych obrazków. Krakowskie muzeum etnograficzne pokazuje właśnie jej prace

■ TADEUSZ NYCZEK

Najbardziej zastanawia ten Lampart. Wiejska kobieta, niechby i urodzona w Krakowie, niewykształcona, nieślubne dziecko chorej umysłowo matki, prawdziwy boży człowiek, a tu nazwisko tak egzotyczne? Tajemnica, jak się okazuje, tkwi w nieznanym ojcu. A raczej w bujnej wyobraźni księdza zapisującego w księgach kościelnych jego domniemane imię i nazwisko: Edward Lampart. Może żołnierz, może Żyd. Tym sposobem 7 lutego 1906 roku pojawiła się na świecie Dorota Lampart, późniejsza malarka ludowa. Dożyła prawie setki. Umarła we wrześniu 2005 roku.

Z wyjątkiem ostatnich lat spędzonych w Zakładzie Opiekuńczo-Lecznym w Rajczy nieopodal Żywca całe życie przemieszkała na peryferiach Zawoi, znanej podhalańskiej wsi. Miała 20 lat, kiedy umarła jej matka, 37, kiedy straciła dziadka, w którego gospodarstwie mieszkała od dziecka. Jej późniejsza samotność była absolutna, choć nie wiadomo, czy całkiem z wyboru. Nigdy nie założyła rodziny; powiadają, że na stare lata chciała zostać matką jak święta Elżbieta. Ale chociaż otaczała się głównie świętymi ze snów i majaków na jawie, cud macierzyństwa jakoś się nie zdarzył. Zresztą żaden inny też nie. Od ludzi raczej stroniła, ludzie od niej jeszcze bardziej. Mieli ją za dziwaczkę i trochę pomyloną. W Rosji obchodziliby ją z szacunkiem jako jurodiwą, w Polsce uchodziła za „głupią Dorkę”. Pewnie dlatego, że zamiast zajmować się czymś pożytecznym, gadała z kózami i aniołami, śpiewała całymi dniami ułożone przez siebie pieśni religijne, a kiedy nadchodziła ją wena, wyciągała arkusz papieru i pudełko z temperami, nalewała wody do kubka i pędzlem,



Dorota Lampart „Wyrwany skrawek nieba”, Muzeum Etnograficzne w Krakowie, do 16 maja

Film z cyklu Wiesz co dobre



wtorek 2 marca
20:25 TVP

Jeden dzień na załatwienie wszystkich spraw. Jeden dzień na pożegnania. Jeden dzień na dotarcie do prawdy. Zaledwie doba dzieli dealera narkotyków, Monty’ego Brogana (Edward Norton) od początku długiej, siedmioletniej odsiadki. Choć rzecz dzieje się w półświatku, „25 godzina” Spike’a Lee to coś więcej, niż konwencjonalny kryminał. Wina Brogana nie ulega wątpliwości – przynajmniej w świetle w prawa, bo gdy w jego historię wkraczamy głębiej, okazuje się, że nie mógł wybrać inaczej, żyjąc w świecie wyjąłowym z empatii, współczucia, lojalności. Los bohatera spłata się z losami miasta – Lee filmuje Nowy Jork po zamachach z 11 września, metropolię, która też gwałtownie obudziła się ze snu o potęgę. I w życiu dealera i w filmie Spike’a Lee liczy się każda minuta: spotkania, rozmowy, ostatni spacer mają swój ciężar i wagę. Klimat filmu współtworzą świetne zdjęcia Rodrigo Prieto i fantastyczna muzyka Terrence’a Blancharda. To trzeba zobaczyć!

Wiesz co dobre

Program Wiesz co dobre to system rekomendacji Škody. W telewizyjnej odsłonie akcji spośród tysięcy tytułów wybraliśmy dla Ciebie najciekawsze pozycje filmowe z ostatnich lat. Przy wyborze kieruj się jednak przede wszystkim własnym gustem, bo przecież sam najlepiej wiesz, co jest naprawdę dobre...

++++ MAŁGORZATA SADOWSKA

Zalotany „W chmurach” to mainstreamowe kino w najlepszym wydaniu



Przewrotny, inteligentny, dowcipny, gdzie trzeba lekki, gdzie trzeba – ma swój ciężar. Jason Reitman („Juno”) wymieszał gorycz i słodycz w idealnych niemal proporcjach, pewną ręką prowadząc aktorów od komedii do dramatu i z powrotem.

Miedzy konwencjami zgrabnie przeskakuje George Clooney. Jako Ryan, specjalista od zwolnień, który spędza niemal cały rok w samolotach, jest (jak zawsze) uwodzicielski. Tym razem jednak szelmowski uśmiech i błysk w oku okazują się poza.

Puste mieszkanie bohatera to tylko przystanek między kolejnymi służbowymi podróżami. Najlepiej Ryan czuje się na lotniskach, kocha sterylne hotelowe pokoje i przyćmione światło barów. Uwielbia życie „w chmu-

rach”, czyli bez zobowiązań – przynajmniej do czasu, gdy poznaje (w delegacji) Alex (Vera Farmiga potrafi ukraść Clooneyowi niejedną scenę). Ale rozwijający się w nieoczekiwanym kierunku romans to tylko jeden z wątków. Wszak główny bohater zjeżdża kraj (u Reitmana poznanie Ameryki industrialnych pejzaży i nieciekawych biurowych wnętrz), by osobiście zwalniać ludzi, wmawiając im przy tym, że dostali od losu szansę na nowe życie.

Sceny rozgrywane się w firmach należą do najmocniejszych, szczególnie że Reitman wplotł w fabułę prawdziwe opowieści ludzi wyrzuconych z pracy. Czy można zwolnić „beztresowo”? Czy koniecznie trzeba patrzeć z złością na twarz? Młodziutka ko-

leżanka Ryana, karierowiczka Natalie (Anna Kendrick), uważa, że wystarczy Internet. Podróż przez prowincjonalne Stany będzie dla obojga lekcją współpracy i odpowiedzialności. Natalie i Ryan to przeciwieństwa: on nie przywiązuje się do miejsc i ludzi; ona dawno zaplanowała przyszłość. Bując więc w obłokach czy może stać twardo na ziemi? Na szczęście Reitman nie mówi, jak żyć, jedynie tworzy przenikliwy portret człowieka, który stoi w miejscu, żywiąc przy tym przekonanie, że jest w ciągłym ruchu. Tak, „W chmurach” powinno się wyświetlać w samolotach. Najlepiej w klasie biznes.

„W chmurach”, reż. Jason Reitman, USA 2009, UIP, 109', premiera 26 lutego

++++ Oda do snujstwa

Przyjemnie leżeć w „Niezasłanych łóżkach”

DOS SANTOS NAKRĘCIŁ ODĘ do snujstwa, życiowej małej destabilizacji i powolnego szukania swojej drogi. Klimatyczną, płynącą w rytm indie rocka opowieść o 20-latkach, Hiszpanie Axlui i Belgijce Verze,

mieszkających w londyńskim squacie. Czas spędzają na chodzeniu na koncerty, poznawaniu ludzi i wydeptywaniu nowych ścieżek. Choć żyją tak samo, ciągle mijają się w drzwiach. Dos Santos buduje nastrój z wyczuciem za pomocą rozedrganych zdjęć, cięć montażowych dokonywanych w rytm emocji bohaterów i raz melancho-

lijnej, raz energetycznej muzyki. Słychać tu także dalekie echa filmów Kar-waia, Van Santa i Isabel Coixet. Artystyczny nieład górą! – igror

„Niezasłane łóżka”, reż. Alexis dos Santos, Wielka Brytania 2009, Gutek Film, 92', premiera 26 lutego

rozmowa z reżyserem filmu na film.przekroj.pl

++++

I twego ojca też

Poruszający, odważny i przełamujący tabu – taki jest fabularny debiut Piotra Dumala

Traktowana serio śmierć to w kinie wciąż tabu. Piotr Dumala podobnie jak Małgorzata Szumowska („33 sceny z życia”) je przełamuje. Uznany twórca filmów animowanych, do tej pory głównie adaptujący prozę („Łagodna”, „Zbrodnia i kara”), pierwszy raz tak otwarcie sięga do własnego życia. Z kamerą wchodzi do rodzinnego mieszkania na Wolskiej w Warszawie i zleca Stanisławowi Brudnemu i Mariuszowi Bonaszewskiemu odgrywanie ról umierającego ojca i opiekującego się nim syna. Nie ma lez, lamentu, jest prawda: wysadzanie, podmywanie, chłodna



obserwacja bezwładnego ciała. Ładunek emocjonalny emanujący z tych mechanicznych czynności jest potężny. Masochizm? Nie z tych rzeczy! Dumala oswaja widza z sytuacją, jaką wszystkich czeka. A przeplatając sceny domowe z sekwencjami dziejącymi się w lesie (i zarazem w przeszłości), prowokuje do wejścia w gąszcz złożonych relacji rodzinnych. Im dalej w las, tym więcej pytań, które warto sobie zadać, nawet jeśli film nie pomoże znaleźć na nie odpowiedzi. Karolina Pasternak

„Las”, reż. Piotr Dumala, Polska 2009, Stowarzyszenie Nowe Horyzonty, 76', premiera 26 lutego

FOT. EVERETT/EAST NEWS, GUTK FILM, ERA NOWE HORYZONTY, SEAN GALLUP/GETTY IMAGES/FPM

EWA SZABŁOWSKA*

Wszystko, co najważniejsze w Berlinie 60. Festiwal Filmowy: superprodukcje i kontrrewolucje

Ten numer „Przekroju” zamykaliśmy przed ogłoszeniem werdyktu berlińskiego jury pod przewodnictwem Wernera Herzoga. I choć to właśnie konkurs,

w którym tradycyjnie pokazywane są głośne produkcje z gwiazdorską obsadą, skupiał największą uwagę, tegoroczny festiwal dowiódł, że współczesne kino ma wiele twarzy.

Obok superprodukcji, takich jak „Autor widmo” Romana Polańskiego czy „Wyspa tajemnic” Martina Scorsese, na Berlinale pokazano „Skowyt” Boba Epsteina i Jeffreya Friedmana. Dydaktyczny smrodek filmu o kultowym dla beat generation poemacie Allena Ginsberga zastrzał, niestety, wywrotowy młodzieńczy manifest poety, przez co rozczerował i jury, i widzów. Kontrowersje wzbudziła „Gąsienica”, antywojenny pamflet japońskiego klasika Kōjiego Wakamatsu szokujący scenami seksu z tytułową gąsienicą, czyli pozabawionym rąk i nóg wojennym weteranem. Aplauzem zakończył się seans przewrotnego „Exit Through the Gift Shop” – autobiograficznego dokumentu legendy street artu Banksy’ego. Chro-

Dziennikarka i selekcjonerka festiwalu Era Nowe Horyzonty

gdy pokazuje, jak względna sprawa może być artystyczny sukces.

Berliński festiwal od lat skupia kino zaangażowane i promuje filmy podejmujące walkę z homofobią, rasizmem, z wszelkiego rodzaju szowinizmami. Feministycznym akcentem był w tym roku „Black Bus” Izraelki Anat Yuty Zuri pokazyujący opresję chasydzkich kobiet w Jerozolimie. Symbolem segregacji płciowej stały się „czarne autobusy”, w których mężczyźni siedzą oczywiście z przodu, a kobiety z tyłu.

Jedną z najciekawszych części Berlinale – Forum Expanded – odbywała się jednak poza czerwonym dywanem. Eksperymentalna, sytuująca się gdzieś pomiędzy kinem a galerią sekcja bada przemianę języka i formy filmowej. To rodzaj laboratorium, w którym kuratorzy, reżyserzy i artyści zadają pytania do-

powat, dynamiczny film portretuje środowisko malarzy ulicznych, choć prawdziwych rumieńców dostaje wtedy, tyżące istoty kina oraz sposobu funkcjonowania ruchomego obrazu we współczesnym świecie. Wszak ekran jest dziś

wszechobecny i w przestrzeni prywatnej, i publicznej – od małego ekranu telefonu komórkowego, przez komputery, telewizory, po gigantyczne reklamy



na ulicach. Film dociera wszędzie. Na ile w tej sytuacji reżyser jest jeszcze istotny dla odbioru, skoro coraz częściej zamiast towarzyskim wydarzeniem film staje się samotnym, anonimowym doświadczeniem?

Kontrrewolucję proponuje live cinema – seans z udziałem twórcy, który na bieżąco ingeruje w strukturę filmu. Uzi Parnes i Ela Troyana w wideoperformansie zatytułowanym „Milczenie Marcela Duchampa jest przece-niane” na żywo montowali fragmenty filmów i slajdów w filmowy kolaż. Jeszcze radykalniejszą propozycją był „Reforming the Past” Jamesa Benninga, weterana amerykańskiego minimalizmu. Była to rekonstrukcja starego materiału, w trakcie której artysta oddzielił obraz od dźwięku. Najpierw pokazał serię niemych obrazów, a potem odczytał relację z podróży przez Amerykę, z której pochodziły ujęcia z pierwszej części. Efekt to oniryczny film drogi testujący granice pamięci, także naszej, i umiejętności skupiania się na „czystym” obrazie.

Filmowa pamięć jest zresztą fascynującym zjawiskiem, bo gdy się zastanowimy, to nasza kulturowa tożsamość jest niczym innym jak zlepkiem przeżytych i ekranowych wspomnień, przy czym te fikcyjne określają często o wiele mocniej sposób, w jaki widzimy świat. □

65. WROCŁAWSKI FESTIWAL JAZZOWY WROCŁAW 28 LUTEGO – 6 MARCA 2010

3 MARCA 2010 (Środa)

Otwarty Konkurs na Indywidualność Jazzową
Laureat Grand Prix 2009
Daniel Soltis – Vertigo Quintet and Dorota Barová
Krzysztof Urbański Quartet

28 LUTEGO 2010 (Niedziela)

PAT METHENY
SOLO GUITAR & ORCHESTRION

4 MARCA 2010 (Czwartek)

VINCENT HERRING
JAZZ AGENTS
Vincent Herring, Anthony Wonsey,
Jesse Goods, Joris Duddle
SZKIEŁ MOŻDŻER &
ANÁ VASCONCELOS

Grzech Piotrowski
Emotronika
Bugge Wesseltoft

Sprzedaż i rezerwacja biletów: Centrum Sztuki Impart,
ul. Mazowiecka 17, Wrocław, tel. 071/341-94-32, 344-69-66
rezerwacje@impart.art.pl

Punkty sprzedaży i sprzedaż internetowa: www.eventim.pl
Sklep Muzyczny De'Molika, ul. K. Wielkiego 65, Wrocław,
tel. 071/346-89-26, www.demolika.pl

5 MARCA 2010 (Piątek)

THE GOLDEN STRIKER TRIO
RON CARTER
Russel Malone, Jacky Terrasson
DAVID SANBORN
Joey DeFrancesco, Gene Lake

Duo RAW MATERIALS
Vijay Iyer &
Rudresh Mahanthappa
Obara Special Quartet
Maciej Obara, Ralph Alessi,
Marke Helias, Nasheet Waits
Adam Wendt Power Set

6 MARCA 2010 (Sobota)
Laureat Grand Prix 2010
GALA POLSKIEGO JAZZU
feat. DUDZIAK, KUDYK, MICHALAK
MUNIAK, NAMYSŁOWSKI, ŻĄDŁO
BIG FESTIVAL BAND pod kier. Zbigniewa Czwajdy
i Józego Szymanika

Organizatorzy



Mecenas



Partnerzy



Mili młodzi ludzie „Co to jest za muzyka w ogóle?”

– pyta w jednym z utworów Wojciech Bąkowski, wokalista duetu Niwea. Odpowiadam: dobra muzyka. No!

Się nie bój, no... – zachęca Bąkowski w innym miejscu. Nie wiercie mu. „...01” to płyta, która wystraszy was nie na żarty. Może też pogłębić depresję, pozbawić snu, skierować myśli na nieodpowiednie tory. Może wam przypomnieć o miejscach, których nie chcecie znać, nawet jeśli w nich mieszkacie. O ludziach, których wolicie nie zauważać, nawet jeśli codziennie mijacie ich na klatce schodowej. Zachwycam się więc, ale nie polecam.

„...01” to płyta o lękach, natręctwach i obsesjach. O młodych, którzy nie mają nadziei, i o starych, którzy nienawidzą młodych za to, że ich nadzieje zawiedli. To ta sama prawda o życiu, która tak nas pociągała i przerażała razem w debiucie Kalibra 44 (choć katowickim rapperom zdarzały się chwile wręcz beztrudne) czy w filmie „Takiego pięknego syna urodziłam” Marcina Koszałki (choć mam nadzieję, że debiut Niwei to nie dokument, lecz artystyczna kreacja).

Teksty Wojciecha Bąkowskiego porażają – ma doskonałe wyczucie kolokwializmów, a zarazem wrażliwość i wyobraźnię poety („Miły młody człowiek tu był u ciebie, no/ Zdjęcia widział twoje, mu mówiłam/Jak ten, co się bałaś pralek/Pamiętasz? Prali boję/Się śmiał. Prali boję”). Wokalistą jest żadnym, bo ani to śpiew, ani rap, za to niezłym aktorem – chowa się za dziwnym akcentem, a wszędybyłska partykuła „no” potęguje wrażenie, że słuchamy naturszczyka, że to nie piosenki, ale spowiedź („To jest jakby w formie modlitwy/Że mówię i proszę o różne te, no”). Owszem, jego maniera wokalna może irytować, ale to dotyczy właściwie całej płyty. Trudno o obojętność wobec debiutu Niwei – albo wpadnięcie w to po uszy, albo natychmiast wyplucie z obrzydzeniem.

Niwea to muzyka miejska. Coś jak Burial, ale nie z Londynu, tyl-



Niwea „...01”, Kulturopap

ko z Wałbrzycha, Łodzi, Katowic, Rzeszowa. Ojczyzną Buriala są korytarze metra, postindustrialne hale przerobione na nielegalne kluby techno, światła wielkiego miasta, natomiast w mieście Niwei „świeci tylko Tesco”. Całą resztę: bloki, przystanki, śmietniki, parkingi, ulice, przejścia podziemne, urzędy, spowija gęsty, śmierdzący, tłusty mrok. Burial klei swoje kompozycje ze strzępów dobrej muzyki sączącej się z najmodniejszych klubów. Ktoś jego twórczość nazwał trafnie kacem po rave. Tymczasem Niwea to kac po kiepskim rapie, w którym zagubieni młodzieńcy struganiem gangstera zagłusza-

li rozpacz i strach. Kac po „Majteczkach w kropeczki”, niezatapialnych przebojach Kombi i ścieżkach dźwiękowych do reklam podpasek.



Artyści zdolni i multimedialni:
Wojciech Bąkowski (z prawej),
Dawid Szczęsny (z lewej)

Nowa droga do indie

Trzy interesujące nowości z czeluści polskiego undergroundu:



+++++ Oranżada „Samsara”, OBUH

Rock psychodeliczny. Hipnotyczne rytmy i martytryczne melorecytacje mogłyby usnąć, na szczęście straż pełnią intrygujące przeszkadzajki, dysonanse i sprzężenia. Gdyby jeszcze udało się Oranżadzie porzucić schemat „najpierw onirycznie, potem czad”, byłoby wyśmienicie.



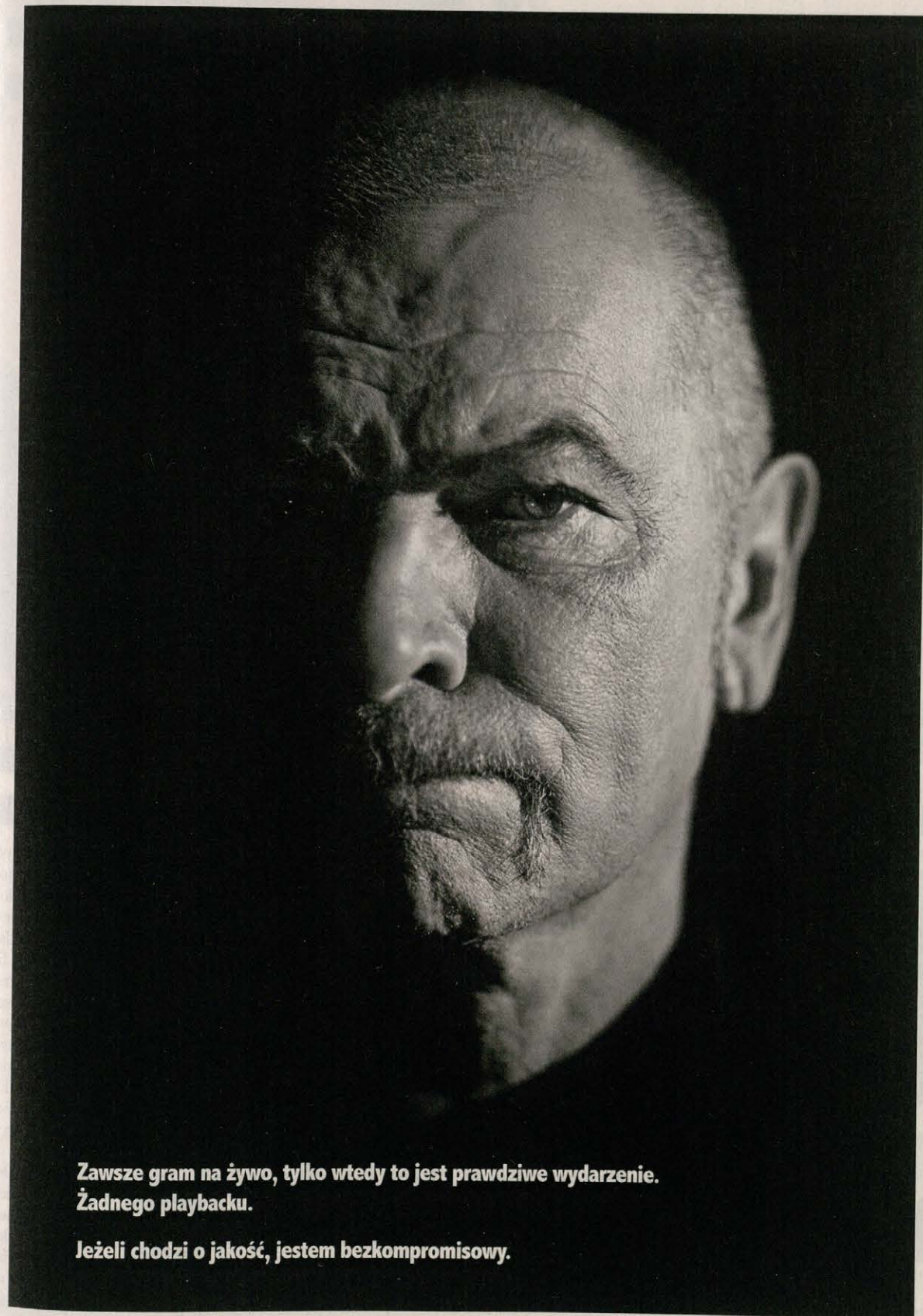
+++++ Starsplanes and circles „Structures”, Tone Industry

Od ambientu, przez leniwie kroczące industrialne maszyny, po pogmatwane rytmy quasi-taneczne. Niby projekt solowy, ale na liście płac tłum wyjadaczy (z grup takich jak Neu-ma czy Kostas New Program). Pozostaje niedosyt, bo nie dość, że krótko (22 minuty), to jeszcze brakuje wyrazistego elementu, który scalałby te impresje w porywającą całość.



+++++ Bipolar Bears „Interpolar Link”, Antena Krzyku/Open Sources

W notce prasowej wyczytałem, że te 12 utworów cechuje „niesamowity wręcz eklektyzm”. To prawda. Stylizacyjna nadpobudliwość Misiów bywa jednak męcząca. Zanim przyszła satysfakcja z rozwiązania supła splecionego z alternatywnego rocka oraz wszystkich chyba elektronicznych nurtów ostatnich 20 lat, parę razy miałem ochotę go przeciąć, wyłączając płytę. Byłby to błąd. Bipolar Bears nieźle się musieli napocić, przygotowując ambitny debiut. Uszanujcie więc pracę artystów – pomęczcie się i wy.



Zawsze gram na żywo, tylko wtedy to jest prawdziwe wydarzenie. Żadnego playbacku.

Jeżeli chodzi o jakość, jestem bezkompromisowy.

Najlepsze przed Tobą. **ŻYWIEC**

+++ BARTEK WINCZEWSKI

Bez zaskoczenia

Sade się nie zmieniła. Fanów to ucieszy, pozostałych rozczaruje

Kochamy spektakularne powroty po latach. Uwielbiamy, kiedy gwiazdy poprzednich epok wracają na rynek z nowymi pomyślnymi na siebie i swoją twórczość. Naiwnie wierzyłem, że także brytyjska wokalistka po 10 latach milczenia odważy się wyjść ponad to, co wymyśliła dla siebie ponad ćwierć wieku temu. Fakt, nie było i nie ma drugiej grupy, która z takim sukcesem sprzedawałaby fuzję bezpiecznego, salonowego popu i soulu z dyskretną domieszką jazzu, elektroniki i muzyki etnicznej, jednak nie zaszkodziłoby rozejrzeć się za nową, młodszą publicznością.

Nadzieję, że coś drgnęło, dawała tytułowa piosenka „Soldier of Love” promują-

Sade
„Soldier
Of Love”,
Sony



ca album. Drapieżna, nowoczesnie wyprodukowana, bardziej niż z Sade kojarzy się z Grace Jones i nic dziwnego, że nawet alternatywne marudy z serwisu Pitchfork chyliły przed nią czoła. Folkowa ballada „Be That Easy” też pachnie nowością, ale na tym koniec niespodzianek. Cała reszta, choć jak zwykle podana elegancko, z dbałością o klimat i aranżacyjny szczegół, mogłaby się znaleźć na każdym z pięciu poprzednich albumów Sade.

Dla wiernych fanów to dobra wiadomość, bo ci zwykle nie chcą, by ich idole kiedykolwiek się zmieniali. Sade daje im ten komfort. Od debiutu w 1984 roku nagrywa z tym samym zespołem. Ci sami ludzie od lat kręcą dla niej klipy. Wizualnie Sade Adu też niewiele się zmieniła. Jak jednak wytłumaczy swoim oddanym sympatykom, że po raz pierwszy w karierze nie potrafiła napisać choćby jednej przebojowej piosenki? □



++++

Do słuchania po ciemku

Z cyklu *Wielkie Powroty:*
Gil Scott-Heron

JAK PRZYSTAŁO NA PRAWDZIwego bluesmana, kontrakt na nagranie tej płyty Gil Scott-Heron podpisywał w więzieniu. Odwiedził go szef prężnej wytwórni XL Richard Russell. Możemy się tylko domyślać, że już wtedy wiedział, jak odnowić karierę wybitnego wokalisty i poety: siłą tekstów i charyzmy Scotta-Herona oraz pomysłem, by opakować jego głos w mroczną muzykę z okolic nowej elektroniki i trip-hopu. Działal ostrożnie. Miał do czynienia z legendą, której jeden przebój – „The Revolution Will Not Be Televised” („Re-

wolucji nie pokażą w telewizji”) – wzmacniał na początku lat 70. dumę Afroamerykanów i sprawiał, że czarni muzycy, zamiast śpiewać, zaczęli o swoich problemach melodeklamować. Rap ma źródło u Scotta-Herona. A tym samym także acid jazz, trip-hop i inne gatunki czarnej muzyki, dla której ten człowiek był wielkim narratorem. Niczym Bob Dylan po białej stronie pop-kultury. Był więc guru, ale od wielu lat nieobecny. Problemy z narkotykami, a potem z prawem wyłączyły go z życia muzycznego, w którym i tak bez pomocy kogoś z takimi pomysłami jak Russell nie miałby lekko. Już sam dobór piosenek wpisuje się w sytuację bohatera tak idealnie jak covery wybierane w ostatnich latach życia dla

Johnny'ego Casha. Klasyczny „Me and the Devil” Roberta Johnsona to przecież wyznacznik człowieka opętanego złem, a utwór tytułowy – wzięty od Billa Callahana – pociesza powracającą frazą: „Nieważne, jak daleko zaszedłeś złą drogą, zawsze możesz zawrócić”. Przytłaczający „New York Is Killing Me” i soulowy, melancholijny „I'll Take Care of You” też idealnie wpisują się w klimat tej krótkiej płyty, który mimo różnych pomysłów w tle spina mocno właśnie blues.

Warto się z tym materiałem zmierzyć. Po ciemku, poświęcając mu całą uwagę – tak jak prosi autor we wkladce. Bo wprawdzie rewolucja to nie jest, ale nowego Gila Scotta-Herona też nie pokażą w telewizji.



Gil Scott-Heron
„I'm New Here”, XL

Bartek Chaciński

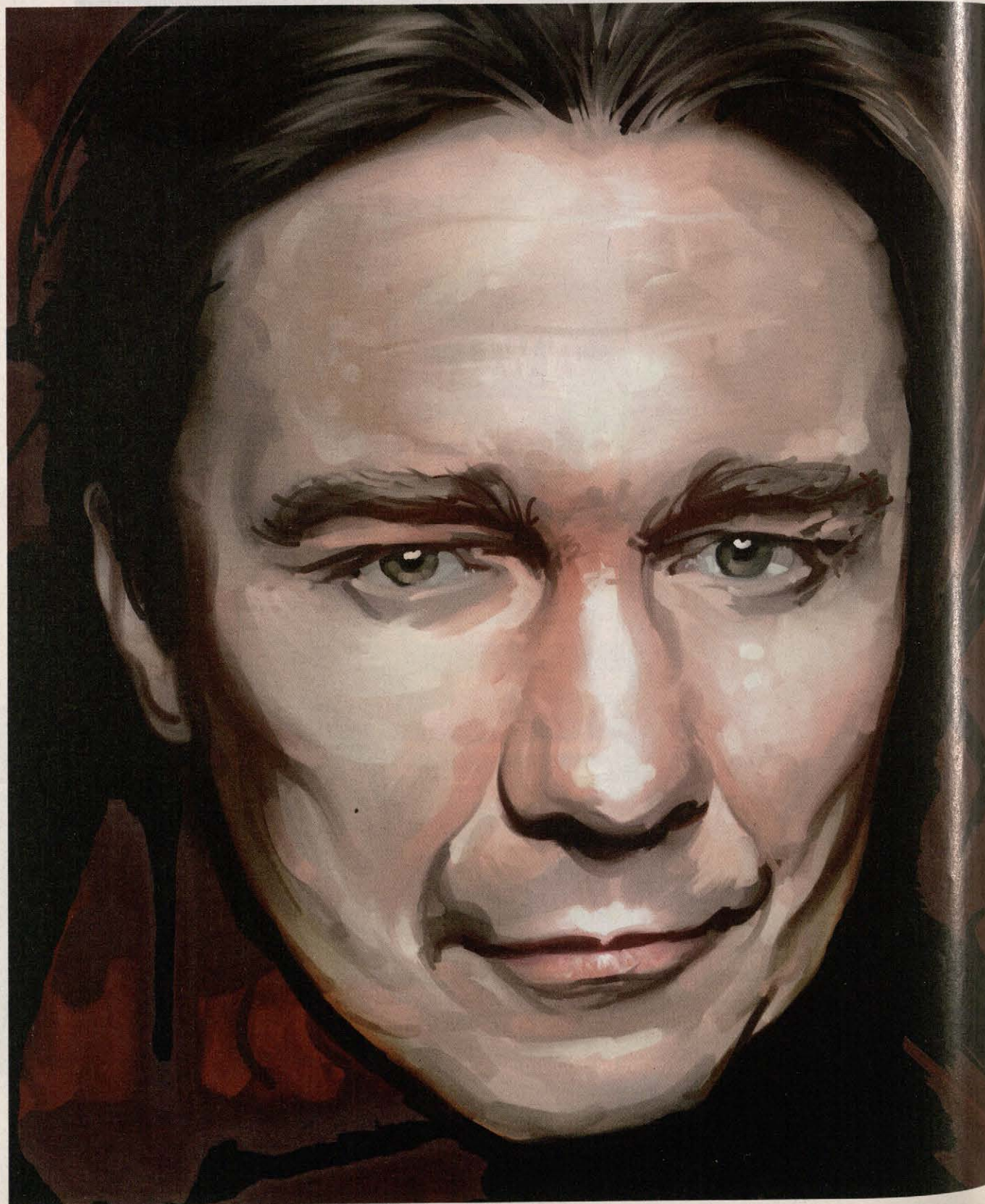


Według idei Prawa Czystości Piwa najlepsze piwo powstaje z chmielu, wody, słodu jęczmiennego i drożdży. W XIX wieku prawo to przestało obowiązywać. My jednak wybraliśmy trudniejszą drogę i warzymy Żywca do dziś według tych samych zasad.

Jeśli chodzi o jakość, jesteśmy bezkompromisowi.

Najlepsze przed Tobą. **ŻYWIEC**

1 kwietnia Scott-Heron skończy 61 lat. Przejścia ostatniej dekady wpłynęły na jego wygląd. Twarz wychudła, a głos zgrubiał



MUZYKA

DOBRCZE UBRANA

Chciałabym zapytać, dlaczego Rafał Ma-serak, Edyta Herbuś, Ewa Szabatin będą tańczyć?

– Opowiem o tym, ale wolalbym, żebyśmy zaczęli od czegoś innego.

No dobrze, chociaż tamto nie daje mi spokoju. „Traviata” to operowy szlagier, melodramat wystawiany we wszystkich operach świata, mile lechący gusta mieszczkańskiej publiczności. Nie pasuje mi do wizji nowoczesnej opery, którą chce pan stworzyć w Warszawie. Co panu zadziwięczało w utworze Verdiego?

– Zdecydowałem się wystawić „Traviatę” z przekory. Stworzyliśmy w Warszawie nowoczesny teatr operowy, ale nie chcemy pomijać klasyki. A „Traviata” jest kwintesencją opery, jednym z najgłośniejszych tytułów. Z jednej strony kojarzy mi się z melodramatem, z ciekawością, z tymi wszystkimi obciążeniami, których w operze nie lubię. Z drugiej strony istnieje to niezwykle nagranie Carlosa Kleibera z 1977 roku – zrealizowane w jakimś uniesieniu, z chorobliwie tętniącym pulsem nakreślającym spiralę emocji. To nagranie pomogło mi znaleźć klucz do „Traviaty”. W „Traviacie” fascynuje mnie także temat śmierci, tak skutecznie wypierany przez współczesność. Główna bohaterka „Traviaty” choruje na gruźlicę. Osiągnęła sukces, jest na szczycie i zdaje sobie sprawę z tego, że wkrótce umrze. Jeśli spojrzeć na tę sytuację jak na element konwencjonalnej operowej fabuły, otrzymamy melodramatyczne zakończenie i nic więcej. Ale jeśli przyjrzeć się temu uważniej, rysuje się fascynująca opowieść o osobie, która znajduje się w sytuacji granicznej. Staje w obliczu śmierci i to doświadczenie całkowicie przewartościowuje sens jej życia.

Warto sobie uświadomić, kim była bohaterka „Traviaty”, a wcześniej powieści Aleksandra Dumasa „Dama kameliowa”. 16-letnia dziewczynka, półanalfabeta, przyjeżdża do Paryża i w ciągu paru lat robi błyskawiczną karierę najbardziej znanej luksusowej kurtyzany Paryża. Jej kochankami są najznamienitsi paryżanie – począwszy od artystów, na członkach rodziny królewskiej skończywszy. Dziewczyna

WYDAJE SIĘ NIEMOŻLIWE, BY KTOŚ NA JEDNYM ODDECHU NAPISAŁ DZIEŁO, KTÓRE MA W SOBIE TAKĄ ILOŚĆ HITÓW, A JEDNAK ONO ISTNIEJE – MÓWI O WYSTAWIANEJ W WARSZAWIE „TRAVIACIE” REŻYSER MARIUSZ TRELIŃSKI

umiera w wieku 23 lat. Po jej śmierci cała elegancja socjeta przyjeżdża obejrzeć jej kolekcję sztuki, stroje, piękne przedmioty, którymi się otaczała.

Bohaterka wypowiada zdanie, które mogłoby stać się mottem „Traviaty”: „Wiem, że nie będę żyła długo, dlatego chcę żyć szybko”. To hasło świetnie pasuje do współczesności. Przekładając „Traviatę” na współczesność, możemy powiedzieć, że Violetta jest celebrytką. Dziś pewnie nie sprzedawałaby swojego ciała, ale umiejętności albo po prostu chęć zaistnienia. To często wystarcza. Gdzieś by tańczyła, śpiewała, gotowała czy robiła cokolwiek innego, byle w świetle jupiterów.

– U mnie jest gwiazdą kabaretu. Zachłannie czerpie przyjemności i nagle, w przeczuciu śmierci, uświadamia sobie, że to, co stanowiło treść jej życia, jest absurdałne, nieważne, miałkie. Kariera, sława, bogactwo tracą jakiegokolwiek znaczenie. U Verdiego bardzo nowocześnie napisany jest wątek miłosny. Dziewczyna kpi z miłości, nie wierzy w jej istnienie. Mówi: w tę rolę nie wchodzę. I nagle nieoczekiwanie się zakochuje. W finale opery bohaterka umiera na scenie jako osoba nowo narodzona, odnajdując w sobie pełnię człowieczeństwa.

Przemianę bohaterki podkreślamy z Borisem Kudlińką pomysłem scenograficznym. Historia rozgrywa się w efektownej teatral-

nej scenografii, z której w pewnym momencie wychodzimy na zewnątrz. Traviata oznaczająca po włosku kobietę zbłąkaną, upadłą, która przez pokutę wraca na łono Kościoła, społeczeństwa, staje się niemal świętą. Tak opowiedziana historia byłaby staroświecka i obca memu światopoglądowi, w którym religia i Kościół nie mają wielkiego znaczenia. Kluczowa jest przemiana głównej bohaterki, odrzucenie tego, co dotychczas było dla niej ważne, jej dojrzenie duchowe. Na końcu tej drogi jest poczucie zwycięstwa, wolności, szczęścia. Verdi kończy swoją operę słowem „szczęśliwa”. Jedną z najsłynniejszych arii z tej opery to „Sempre libera”. I na ogół słowa Violetty są odczytywane dosłownie: wolna od miłości, od rodziny, wyzwolona, szalona. W mojej inscenizacji bohaterka czuje się wolna w chwili, gdy odrzuca blichtr tego świata. Nie chcę, żeby to zabrzmiało pretensjonalnie, ale przy tej inscenizacji myślałem o buddyjskiej teorii zasłon spowijających życie i świat. Zgodnie z tym myśleniem ulegamy mitom, które każdego ranka każą nam wstać, iść do pracy, być kimś ważnym, budować swoją karierę, osiągać sukcesy.

Ale te zasłony są jedynie iluzją, która może w każdej chwili zniknąć.

Czy „Traviata” to spektakl autobiograficzny? Zobaczył pan zwodniczość sukcesu, któremu poświęcił pan kilkanaście lat życia?

– Wszystkie moje spektakle są autobiograficzne, choć nigdy wprost. Ciekawe są wydarzenia z naszego życia wewnętrznego, a nie z życiorysu. Mój spektakl opowiada o teatrze, bohaterka „Traviaty” jest kobietą sceny. Kabaret nie jest wielką sztuką, ale właśnie to pozwala mówić o tych problemach z dystansem. Zresztą ktoś, kto stoi na scenie naprzeciw widzowi, w blasku reflektorów, jest w danej chwili osobą wyjątkową, wybraną. „Traviata” dała nam możliwość spojrzenia na to, co do tej pory zrobiliśmy, na sens naszych działań.

Czyżby poczuł pan, że to tylko ułuda?

Że czas zedrzyć zasłonę i zanurzyć się w czymś innym?

– Pracując nad „Traviatą”, zadałem sobie pytanie, czy nie jestem zmęczony, czy nie mam uczucia przesyty. Zaczęliśmy z Borisem się zastanawiać, co będzie dalej: jeszcze jeden spektakl, jeszcze raz i jeszcze na takiej scenie, i jeszcze w tej operze, i co z tego? Mamy za sobą 10 lat pracy. Najbardziej mnie rozbawiają moi rodzice, którzy dzwonią do mnie zaniepokojeni z pytaniem: Mariusz, widzienia była brawo, ale tym razem nie było stojących owacji. Czy coś jest nie tak? Uspokajam ich, że nie zawsze muszą być brawa na stojąco, że to nic złego. Zresztą najlepszym sprawdzianem są moje spektakle za granicą. Tam ludzie nie przychodzą na mnie, bo mnie nie znają. Przychodzą na tytuł lub wykonawcę. Sale są pełne.

Ale zanim do tego dojdzie, jest wielomiesięczna praca. Długi czas przygotowań, który polega na tym, że wchodzę w muzykę, jestem na niej całkowicie skoncentrowany. To jest stan bliski medytacji. Na podstawie muzyki →

→ buduję konstrukcję spektaklu. Energia w to włożona sprawia, że ten gmach rośnie. Ceną jest życie osobiste, którego nie mam. Ciągłe jestem w podróży, przenoszę się z hotelu do hotelu, z kraju do kraju. Pracy jest tak dużo, a momenty piękne, czyli brawa, trwają 20 minut, najwyżej pół godziny, że czasem pojawia się pytanie: czy warto? Z pewnością warto od czasu do czasu wyjść ze spektaklu, jak to się dzieje w „Traviacie”, i popatrzeć na to z boku. Przekonać się, że to tylko spektakl i aż spektakl.

Dla spektaklu warto ciągle wzniesiac w sobie energię, angażować się na 120 procent?

– Tak, bo to jest piękne i podniecające. Praca w operze jest jak pożar, który nas spala, ale którego nie chcemy ugasić. Gombrowicz powiedział, że pytać artystę, dlaczego robi to, co robi, to jak pytać alpinistę, dlaczego zdobywa szczyty. Uważam, że sztuka jest czymś całkowicie bezużytecznym. To próba kontemplacji pewnych tematów. Dzieła są spowiedzią artysty na różnych etapach jego życia, próbą rozwiązania nierozwiązywalnych zagadek, które napotyka na swej drodze.

A dla mnie sztuka jest czymś całkowicie użytecznym. Często tylko poprzez sztukę jesteśmy w stanie zadać sobie pytanie o naszą śmiertelność, miłość, przemijanie. Sztuka jest pretekstem, ale i osłoną przed zderzeniem się z myślami na ten temat.

– Tarkowski mawiał, że gdyby dzieła sztuki cokolwiek w nas zmieniały, to dawno byłibyśmy aniołami. Medytacja polega na tym, że odnajdujesz jakąś prawdę o sobie, o swoim życiu, ale co z tego wynika? Czy umiesz się do tego dostosować? Pewnie nie.

Może nie umiemy się do tego dostosować, ale sama świadomość istnienia świata zagęszczonych uczuć, idealnej miłości, intensywnych przeżyć sprawia, że przynajmniej mamy do czego dążyć.

– Na pewno jest to ścieżka, którą warto podążać. Coś zostanie zapisane w poezji, zyska piękną strukturę, jest cieniem idealnego świata, cieniem, który na chwilę, na kilka wieczorów powołujemy do życia, wypruwając sobie żyły, i który znika z chwilą, gdy spektakl schodzi z afisza.

Co pan czuje, kiedy po polskiej premierze „Borysa Godunowa” czyta pan recenzję, że jest to kolejna premiera Trelieńskiego, w której pomysły inscenizacyjne całkowicie podporządkowały sobie stronę muzyczną?

– Już dawno przestałem się tym przejmować. Moje spektakle zawsze były atakowane. Złe recenzje miał „Eugeniusz Oniegin”, atakowano „Don Giovanniego”, ale dziś już się o tym nie pamięta, bo po latach te inscenizacje stały się klasyką i do dzisiaj są grane przy pełnej widowni. Od początku miałem świadomość, że przychodzę do opery z in-

nego świata, z innej dziedziny sztuki. Przy zachowaniu wartości muzycznych chciałem dodać operze wymiar, po pierwsze, intelektualny, po drugie, dramatyczny, po trzecie, teatralny. Zarzut o pomijanie wymiaru muzycznego dzieła o tyle jest bezzasadny, że gdyby był w nim choć cień prawdy, to największy dyrygent świata nie zapraszałby mnie do współpracy. Nie sądzę, że Waleri Giergiew, Kent Nagano, Daniel Barenboim, Lorin Maazel zapraszaliby mnie do współpracy, jeśli niszczyłbym ich muzykę. Przeciwnie – są to silne osobowości artystyczne, którym nie przeszkadza wyrazista interpretacja. Opera jest spotkaniem mocnych twórców, którzy nie wydzierają sobie pola, tylko nawzajem się dopełniają.

Nieporozumienia wokół moich inscenizacji wynikają z tego, że zachowania, które dawniej w operze były nie do pomyślenia, dziś są codziennością. Pamiętam, jak podczas prób jednej z moich pierwszych

Tarkowski mawiał, że gdyby sztuka coś w nas zmieniała, dawno byłibyśmy aniołami

inscenizacji, śpiewaczka powiedziała mi, że ona ma do wykonania arię i w związku z tym nie zamierza nawet drgnąć na scenie. A ja na scenach świata oglądam śpiewaków, którzy potrafią śpiewać, całując się, leżąc na ziemi, a nawet skacząc na jednej nodze, tak jak Papageno u Wilsona. Ruch na scenie jest elementem koniecznym, dodającym muzyce ducha, roznoczącym ją, a nie tłamszącym.

A może rozbawił pan swoimi inscenizacjami publiczność i krytyków tak bardzo, że teraz za każdym razem próbuje ich pan za wszelką cenę na nowo uwieść? Sam ze sobą ściga się pan na efektywność swoich spektakli?

– Moje spektakle na szczęście dobrze się sprzedają. Nie muszę myśleć komercyjnie ani skakać ponad poprzeczkę. To daje większą możliwość skupienia.

Mariusz Trelieński, 48 lat, reżyser filmowy, teatralny i operowy, od półtora roku dyrektor artystyczny Teatru Wielkiego (Opery Narodowej) w Warszawie.

Karierę zaczynał w kinie, specjalizując się w adaptacjach klasycznej literatury. Jego „Pożegnanie jesieni” (1990) według (Witkacego) zostało nagrodzone na festiwalu w Wenecji, zaś



„Łagodna” (1995) według Fiodora Dostojewskiego na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. W 1995 roku zadebiutował w operze, reżyserując na zamówienie festiwalu Warszawska Jesień „Wyrwaczą serce” Elżbiety Sikory, inspirowanego prozą Borisa Viana. Cztery lata później zrealizował „Madame Butterfly” Giacomo Pucciniego, która przyniosła mu

To teraz już chyba pora na pytanie, które nie daje mi spokoju: jak nazwać fakt, że w „Traviacie” zatańczą tancerze znani z popularnych programów telewizyjnych: Edyta Herbuś, Ewa Szabat, Anna Bosak, Rafał Maserak? To nie jest chwyt komercyjny? Czy w operze nie może tańczyć balet? Musi pan aż tak bardzo poddawać się presji kultury masowej?

– Pewnie mi pani nie uwierzy, ale angażując tych tancerzy do spektaklu, nie wiedziałem, kim są. Od sześciu lat nie mam telewizora. Długo pracowałem za granicą, nie widziałem, co tu się dzieje, szczególnie w popkulturze. Zrobiłem casting do pierwszej części opery, która rozgrywa się w kabarecie. Szukałem ludzi do zespołu, który zatańczy lekko, współcześnie. Przy całym szacunku do baletu, który jest sztuką niezwykle wyrafinowaną, potrzebny był mi inny rodzaj ruchu. Chciałem podkreślić, że bohaterka „Traviaty” wywodzi się ze świata celebrytów. Wybrałem najlepszych tancerzy i dopiero wtedy Tomasz Wygoda powiedział mi, że oni sami są celebrytami. Tym bardziej się ucieszyłem, bo dzięki temu fantastycznie spełniają swoją funkcję. Nie dość, że – tak jak oczekiwałem – świetnie tańczą, to jeszcze zostali ikonami współczesnego świata jak niedługo Violetta.

Co robić, muszę panu uwierzyć. Choć uważam, że zatrudniając te gwiazdy – wiem, jak to zabrzmieć – może pan przyćmić wielkich śpiewaków: Aleksandrę Kurzak, Andrzeja Dobbera. W masowym odbiorze to będzie spektakl, w którym zatańczył Rafał Maserak. Tak dzisiaj wygląda, niestety, hierarchia gwiazd.

– I to jest problem. Bo w tym spektaklu biorą udział prawdziwe sławy, czyli wspomniani przez panią Andrzeja Dobber i Aleksandra Kurzak. To są megagwiazdy. I fakt, że mogą ich medialnie przyćmić tancerze z popularnych programów, świadczy o indolencji życia kulturalnego w Polsce. Za granicą gwiazdy operowe są bohaterami sesji modowych, ikonami stylu, mody. Kiedy robiliśmy za granicą spektakl z Giergiewem, bilety ze względu na jego udział były wyprzedane, zanim my wiedzieliśmy, jak ten spektakl będzie ostatecznie wyglądał. Giergiew przyjechał do Polski i okazało się, że mamy problem ze sprzedażą droższych biletów na jego „Oniegina”. Edukacja muzyczna w Polsce, świadomość tego, kto jest kim na świecie, praktycznie nie istnieje. Może więc się zdarzyć tak, jak pani mówi, że nikt – a w każdym razie niewiele osób – nie zauważy, iż w „Traviacie” śpiewa

„Orfeusza i Eurydykę” z 2008 roku Trelieński uważa za swój najważniejszy spektakl

Ola Kurzak, która przyjeżdża do nas prosto z La Scali, światowej sławy śpiewak Andrzej Dobber albo młodziutki Sebastian Gueze, tenor, który wygrał Operalia organizowane przez Placida Dominga. **Tradycyjnie już kostiumy do pańskiej inscenizacji przygotowują projektanci mody. Tym razem Gosia Baczyńska i Tomasz Ossoliński. To już stały pański sposób na uwspółcześnianie opery?**

– Cały czas próbuję przełamać operową sztafpe. Muzyka jest wieczna, ale to nie znaczy, że musi być źle ubrana. Nie jest powiedziane, że aby dobrze zaśpiewać „Traviatę”, śpiewacy muszą nosić krynoliny. Chcę, żeby stroje do opery projektowali ludzie, którzy poruszają się we współczesnym świecie, kreują jego estetykę. Dzięki również ich pracy wyraźniej widać, a raczej słychać, nieprzemijalność muzyki. Szekspir jest wieczny, bo przez lata w rękach różnych inscenizatorów staje się lustrem, w którym przeglądamy się kolejne pokolenia i ciągle odnajdują w nim swoje odbicie. Wierzę, że podobnie jest z dziełami operowymi, które również mają w muzyce zakodowany potencjał na wieczność. Za muzyką muszą jednak nadążyć obrazy, inscenizacje.

Jaka tym razem będzie scenografia? Współczesna? Abstrakcyjna?

– Współczesna, ale w przewrotny sposób. Jednym z pierwowzorów naszej Violetty była Dita von Teese, wystylizowana w stylu retro stripdancerka, a zarazem ikona popkultury, była partnerka Marilyną Mansona. „Traviata” niedobrze znosi bezpośredni kontakt z rzeczywistością. Spektakl rozgrywa się w aurze współczesności, ale odwołuje się do stylizacji retro.

Co pan robi, kiedy nie pracuje pan nad operą?

– Trudne pytanie, bo świata pozaoperowego praktycznie nie mam. Teraz będę miał cztery dni przerwy przed następną realizacją, więc nie będzie za wiele czasu, żeby wychylić się na zewnątrz. Kalendarz mam ułożony z kilkuletnim wyprzedzeniem, więc w chwilach paury myślę już o następnych projektach. Szukam pomysłów, inspiracji, oglądam różne rzeczy i myślę, co z tego może mi się przydać na przykład w „Lady Makbet”, do której się przymierzam.

O swoim synu przypomina pan sobie od czasu do czasu?

– Piotr ma w tej chwili 16 lat i już zrozumiał, a nawet pogodził się z tym, że taty prawie nigdy nie ma. Mam z tego powodu potężne poczucie winy. Przez długi czas się buntowałem, bo trudno mu było znieść moją ciągłą nieobecność. Miesiącami pracowałem za granicą, w przerwach wpadałem do domu, żeby zaraz wyjechać. Taki tryb życia niszczy życie rodzinne. Jak tylko budowałem jakieś związki, Piotr był do nich bardzo pozytywnie nastawiony. Cieszył się, że będę miał normalną rodzinę. Teraz on wchodzi w swoje pierwsze relacje i ja mu w tym bardzo sekunduję.

Wróćmy zatem do tego, co stanowi o siłę opery, czyli do zaszyfrowanych w niej archetypów. Jednym z głównych tematów „Traviaty” jest miłość. „Orfeusz i Eurydyka”, opera, którą pan wystawił rok temu, też jest opowieścią o splocie wielkiej miłości i śmierci. Czy jako dojrzały mężczyzna wierzy pan w istnienie idealnej miłości?

– Dziwne pytanie. Czy to jest uczucie, które z wiekiem powinno przechodzić?

Przechodzić może wiara w to, że taką miłość można przeżyć, spotkać.

– To dwie niezależne sprawy: czy takie uczucie istnieje i czy łatwo je spotkać w życiu. Trzeba to rozgraniczyć. Ten, kto wchodzi na teren sztuki, myśli idealistycznie, odwołuje się do idei, mówi o rzeczach w stanie czystym. Miłość jest dla mnie podstawowym napędem, dzięki któremu tworzę, działam, żyję. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to pojęcie istnieje. Ktoś powiedział, że najlepszym dowodem na istnienie Boga jest liczba wizerunków, dzieł sztuki, które mu poświęcono. Per analogiam można powiedzieć, że liczba utworów, które opowiadają o miłości w stanie czystym, jest dowodem na to, że to uczucie w nas istnieje. Pytanie, czy w codziennym życiu się z nim stykamy, czy z naszą żoną lub z mężem w łóżku mamy te same jazdy co bohaterowie „Traviaty”? Ja nie mam żadnych wątpliwości. Co więcej uważam, że każdy chce szukać kwiatu paproci.

Wspomniała pani „Orfeusza i Eurydykę”. Jest to chyba najważniejszy spektakl, jaki w życiu zrobiłem. Rzecz rozgrywa się w świadomości głównego bohatera, w jego umyśle. Jest to chyba mój najbardziej intelektualny i najgłębszy spektakl.

Pracując nad nim, czytał pan poemat Czesława Miłosza pod tym samym tytułem. Poetycki utwór, w którym stary mistrz przetworzył na sztukę swój ból po śmierci ukochanej żony.

– To kolejny dowód na to, że wielka miłość istnieje niezależnie do wieku i że niektórzy mają szczęście ją przeżywać. Ten przykład pokazuje, że sztuka nie jest więc odbiciem świata, który nie istnieje, ale zapisem autentycznych ludzkich przeżyć.

Cały czas próbuję dotykać w swoich spektaklach odmiennych spraw, nie chcę się dać złapać ani w pułapkę estetyczną, ani tematyczną. Wróciłem do Polski trzema spektaklami: „Orfeuszem”, o którym już rozmawialiśmy, „Borysem Godunowem”, który był próbą zrozumienia współczesnych mechanizmów władzy, rodzajem pamfletu politycznego, i wreszcie „Traviatą”. Ta opera jest dziwną mieszańką wybuchową. W opakowaniu glamour kryje się niepokojąca opowieść o marności świata. Tym razem pracuję inaczej niż do tej pory. Wcześniej każdy krok, każdą sytuację miałem wymyśloną i podczas prób odtwarzałem ją z artystami. W tej chwili reaguję spontanicznie na sytuacje, które zdarzają się podczas prób. Oczywiście wszystko mam zaplanowane, scenografia jest gotowa, kostiumy użyte, ale dopuszczam improwizację, reaguję na to, co proponują inni.

Może pozbył się pan lęku, czuje się pan pewnie i dlatego dopuszcza do głosu innych?

– Z lęku zamykamy się, nie pozwalamy sobie na publicznie czy wspólne z innymi poszukiwania. A ja wiem, o co mi chodzi, wiem, kim ma być moja „Traviata”, potrafię jasno przekazać to wszystkim artystom i czerpać także z ich pomysłów. Już się nie boję.



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

OTWÓRZ
oczy

*Histerycznie mocne
kolory, ostre cięcia.
Moda to **mroczna**
bajka. Taką konwencję
zapropował
Alexander McQueen
na rok przed śmiercią*

MODA OLA SALWA

BUNTOWNIK OD PODSZEWKI

NIEPOKORNY BRYTYJCZYK ALEXANDER MCQUEEN
ROBIŁ WSZYSTKO, BY POSTAWIĆ ZNAK RÓWNOŚCI
MIĘDZY MODĄ A SZTUKĄ. JEGO KOLEKCJE SZOKOWAŁY,
PROWOKOWAŁY DO DYSKUSJI I OŻYWIAŁY ZBLAZOWANY
ŚWIATEK MODY. 11 LUTEGO KREATOR POPEŁNIŁ
SAMOBÓJSTWO

Ciało modelki ma być doskonałe, a nogi po samą szyję? Alexander McQueen zaprasza na wybieg Aimee Mullins, była paraolimpijka. Jej codzienne protezy zamienia na ręcznie strugane, by ludzie mający obsesję piękną rozszerzyli jego definicję. Nie wolno szarpać ubrań i przyszywać do nich tamponów? Wolno, dowód to kolekcja Highland Rape (szkocki gwałt). Pochód modelek w artystycznie podartych strojach miał przypominać o walce Szkotów z brytyjską dominacją.

To właśnie Alexander McQueen – choć mniej znany niż dekadę od niego starsi Marc Jacobs, John Galliano czy Tom Ford, był znacznie od nich ciekawszy i bardziej twórczy. Swoje pokazy zamieniał w spektakle, podczas których wybieg stawał się na przykład betonowym piekłem w morzu ognia. Modeli wzorem bohaterów filmu Sydneya Pollacka „Czyż nie dobija się koni?” zmuszał do szalonego tańca. Innym ra-

Wiosna-lato 2008: hołd dla Isabelli Blow, która kochała ekscentryczne kapelusze. Kilka miesięcy wcześniej stylistka popłynęła samobójstwo



CHOĆ MNIEJ ZNANY NIŻ O DEKADĘ OD NIEGO STARSI **MARC JACOBS, JOHN GALLIANO** CZY **TOM FORD**, BYŁ ZNACZNIE OD NICH CIEKAWSZY I TWÓRCZY



zem na wielkiej szachownicy w miejsce figur ustawił modelki.

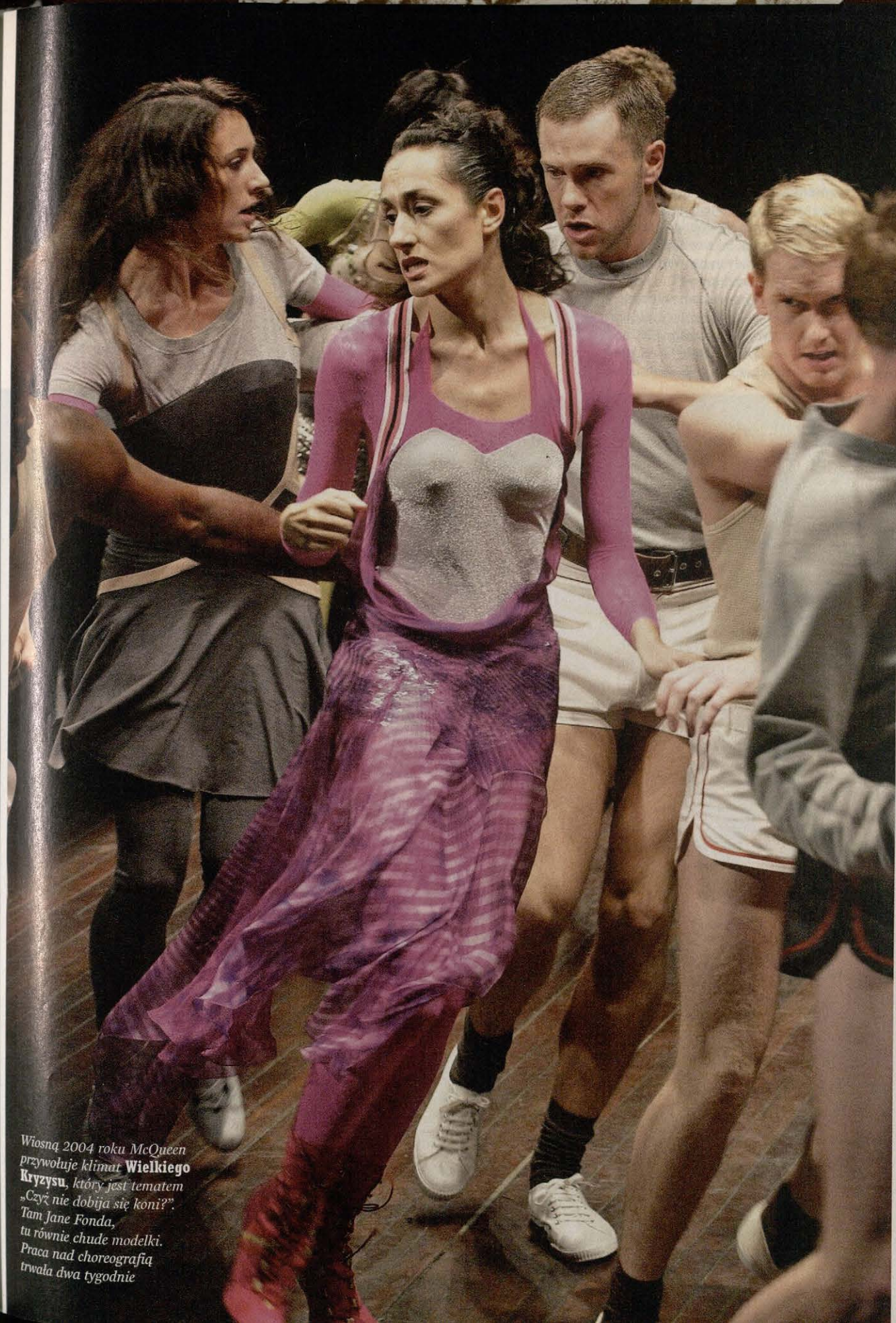
Przedstawienie, co oczywiste, miało przykuć wzrok. Zarazem jednak było metaforą świata mody, w którym ludzie to pionki przestawiane bez ceregieli, a zasady gry są jasno określone. Ich łamanie zresztą przychodziło projektantowi łatwo, więc dostał przydomek chuligana świata mody. I co krok udowadniał, że nań zasłużył. Gdy w 2006 roku Kate Moss przyłapano na zażywaniu narkotyków, przez co straciła większość kontraktów reklamowych i zleceń, McQueen stanął w jej obronie w sposób dla siebie typowy – jesienią pokazy zakończył projekcją hologramu „Kokainowej Kate”. Dzięki niemu Moss wirtualnie zmartwychwstała, by kilka tygodni później wrócić realnie do świata mody. Tłem muzycznym do tego spektaklu była ścieżka dźwiękowa z „Listy Schindlera”, Holocaustu i upadła modelka?

(W stronę mroku)

Dla Brytyjczyka nie istniały tematy tabu ani świętości, mieszał wysokie z niskim, style, nastroje, kultury. Potrafił wiosną zaskoczyć delikatnymi i lirycznymi sukienkami, by pół roku później postraszyć nawiązaniem do filmów Hitchcocka czy historii o Kubie Rozpruwaczu. Fascynacja mrokiem objawiła się także w kolekcji na jesień-zimę 2009. Odziane w czarne lub czerwone suknie modelki miały upudrowane na białą policzki

Projektant ubierał szalejące z modą gwiazdy, jak Sarah Jessica Parker

Oto jedna z ulubionych sukienek McQueen. Wiosna-lato 2005



Wiosną 2004 roku McQueen przywołuje klimat **Wielkiego Kryzysu**, który jest tematem „Czyż nie dobija się koni?”. Tam Jane Fonda, tu równie chude modelki. Praca nad choreografią trwała dwa tygodnie

→ oraz hojnie usminkowane usta i przypominały raczej upiory niż ludzi.

Dlaczego ciągnęło go w stronę ciemności? Cathy Horyn, wpływowa dziennikarka pisząca o modzie w „The New York Times”, wielokrotnie rozmawiała z McQueenem i uważała go za jednego z najbardziej tajemniczych projektantów, jakich poznała. Podobne wrażenie odniosła modelka Kamila Szczawińska, która z nim pracowała. – Był zdystansowany i bardzo skupiony – mówi „Przekroju”.

O jego życiu prywatnym wiadomo niewiele: nie ukrywał homoseksualnej orientacji, ale też nie afiszował się ze swoimi związkami. Otwarciem deklarował za to miłość do matki Joyce, która zmarła po ciężkiej chorobie na początku lu-



Piękno, moda i popularność to złudzenie.
Tak samo jak hologram Kate Moss

tego roku. Niewykluczone, że to jej śmierć przyczyniła się do samobójstwa projektanta.

(Różowa owca)

Alexander McQueen urodził się w 1969 roku w Londynie w rodzinie taksówkarza i nauczycielki. Od dziecka wiedział, czym chce się zajmować. Pierwszy szkic wykonał, zanim dojrzała nauczył się mówić. Miał trzy lata, gdy na ścianie, z której złuszczyła się tapeta, narysował sukienkę, potem szyl stroje dla trzech siostr. Zyskał wtedy przydomek rodzinnej różowej owcy. Gdy miał 16 lat, dostał się na staż w Savile Row u Andersona & Shepparda, krawców między innymi księcia Karola. Po latach wspo-

ALEXANDER MCQUEEN MIAŁ NIEPOKORNĄ NATURĘ. PIERWSZY BUNT? NA PODSZEWKACH MARYNAREK KSIĘCIA KAROLA WYPISYWAŁ PRZEKLEŃSTWA



FOT. WIREIMAGE/GETTY IMAGES/FLASH PRESS MEDIA (2),
AFP/EAST NEWS (2), SIPA/EAST NEWS,
ZEPPILIN/EAST NEWS (2), EAST NEWS, CORBIS (3)

minal, że tam zdobył się na pierwszy modowy bunt: na podszewkach marynarek księcia wypisywał przekleństwa. Nauki pobierał też u Kojiiego Tatsuno, protegowanego Yohjiego Yamamoto, oraz u Angelsa i Bermansa szyjących kostiumy do teatru. Tak, jeszcze jako nastolatek poznał klasyczny warsztat i poczuł artystyczną swobodę.

Oprócz niepokornej natury McQueen miał też talent i był pracowity, co szybko odkryto. Gdy aplikował na stanowisko asystenta w prestiżowej Central Saint Martins of Art and Design, został tam przyjęty jako student, mimo że nie skończył liceum. Reszta przypomina bajkę o Kopciuszku: wpływa i kontrowersyjna stylistka Isabella Blow



Wrzesień
2009 roku.
Inspiracje:
rajska rafa
koralowa,
obraz 3D.
A w tle
premierowo
grany „Bad
Romance”
Lady Gaga

Jesień–zima 2009
to mroczna fantazja
na temat **mody jako
śmietniska**. Stroje
to wariacje na temat
kolekcji New Look Diora,
która zrewolucjonizowała
modę w 1947 roku



Widzicie tu **trupia
czaszkę**? To jeden
z ulubionych
motywów
McQueena



w 1994 roku wystąpiła w roli dobrej wróżki – kupiła jego kolekcję dyplomową i wylańsowała jej autora.

(Życie po życiu)

Alexander McQueen ze swoimi odważnymi kolorami i krojami wpuścił świeże powietrze do sterroryzowanego przez minimalizm i czerń świata mody. – On rozumiał, że istotą mody nie są ubrania, ale pomysły, estetyka, przełamywanie granic tego, co można pokazać na wybiegu. Do tego świetnie szyl i drapował materiał – wspomina Cathy Horyn. Pomysły projektanta weszły też do szaf przeciętnych konsumentów – to on upowszechnił biodrówki.

W 1997 roku upomniał się o niego wielki świat. McQueen podpisał kontrakt z domem mody Givenchy szukającym po odejściu Johna Galliano młodego i pomysłodawcę projektanta. Brytyjczyk przyjął propozycję, by zebrać kapitał na stworzenie własnej marki. Wolność – reglamentowaną, bo 51 procent udziałów w jego firmie objęła Gucci Group należąca do holdingu PPR – wywalczył w 2001 roku i od ośmiu lat projektował kolekcje pod własnym nazwiskiem. To ostatnie nie zniknie z rynku mody, bo choć człowiek umarł, PPR zdecydowało, że marka „Alexander McQueen” przeżyje.

Tylko co się stanie z jej duchem? □

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

KRZYŻÓWKA O KORZYŚCIACH
Z WIZYT W PARKU, SZARY
UŚWIADAMIA SOBIE MARNOŚĆ
WSZECHRZECZY,
A KURKIEWICZ SIĘ GUBI

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Marności, czyli odpowiednie dać rzeczom słowo

NAJPIERW ODKLEIŁA SIĘ LIT-terka h, potem już poszło jak z płatkami: a, d, a, d, r. Najdłu-żej trzymały się samogłoski (e, i, o), ale i ich tandetne wy-konanie w końcu wyszło jak sztydło z worka. Z koszul-ki ulubionego zespołu została Szaremu po prostu koszulka, uświadamiając mu marność współczesnych przedmiotów. Czy jest sens przypominać, jak wiele z przeszłości zostało do naszych czasów (te wszyst-kie stoły i krzesła meblozerycy

Ludwika XIV), choć kiedyś pro-dukowano tak niewiele? Czy jest sens prorokować, jak nie-wiele naszych rzeczy przetrwa do jutra, choć dziś produ-kuje się tak wiele jak jeszcze nigdy dotąd? Ilość rzeczy, któ-rymi człowiek obrasta podczas całego życia niczym rako-twórczą pleśnią, objawiała się Szarym zawsze podczas re-montu, przeprowadzki albo zwykłych wiosennych por-ządków. Te wszystkie „turbiny” i „derma wandy”, któ-

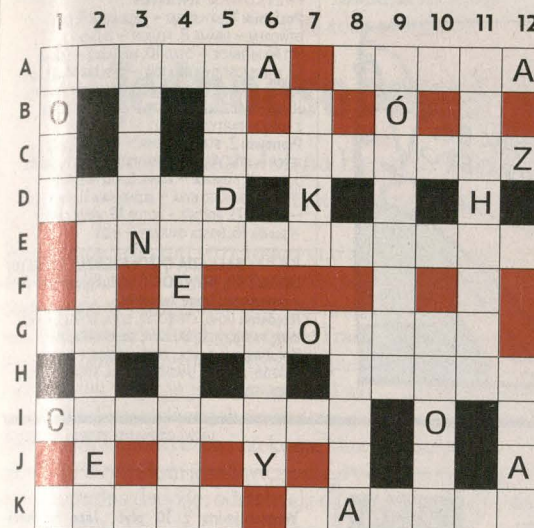
re w chwili zakupu wydawały się niezbędne do życia... Te cudowne nawilżacze powie-trza, które nawilżały głównie dywan wyciekającą z nie-szczelnego zbiornika wodą... Te cudowne pasy, które miast wyszczuplać talie Szarych, wyszczuplały ich kieszeń... Lecz to, co już mamy, to jesz-cze nie koniec. Zewsząd wciąż atakowały nowe rze-czy. Wystarczyło włączyć telewizor, by być świadkiem zalotów magicznych ście-reczek, koców z rękawami, dmuchanych sof, mopów ul-tra, odchudzających mat kąpielowych. Sklepy inter-netowe? Proszę bardzo – jest i coś zarówno dla mają-cych poczucie humoru (baki na zawołanie, rentgen w te-lefonie, klawisz panikarza), jak i dla poważnych („Tu es Petrus» to jednocześnie (Sza-

ra: jednocześnie?) opowieść o trzech największych pro-blemach XXI wieku”). Call center? U Różewicza sta-ra kobieta wysiaduje (gó-rę śmieci); teraz stara kobie-ta wygaduje (był tylko górę śmieci sprzedac), da-jąc śmieciom odpowiednie piękne słowo. Nie wierzy-cie? Weźcie dzień urlopu i odbierajcie wszystkie tele-fony, a lampy odstraszające wirusy oraz poduszki leczą-ce raka dopadną was z całą mocą. Sprzedaż naręczna (okazja: 1 koszula za 50 zło-tych, dwie już za 100!), domowej roboty billboardy („Stanowczo męska odzież”, „Plastikowe donice – trwałe piękno”) – wszystko zachę-cało do zapewnienia szaf, komórek i piwnic. Rzeczy jednak szybko ujawniały swą niską skuteczność i wy-

kazywały żywotność równie krótką jak egzystencja ję-tki jednodniówki. Już nie nie opłacało się naprawiać. Zastępy zegarmistrzów, szewców, repasacek poń-czoch i innych złotych rączek odchodziły w zapo-mnienie równie szybko jak złote myśli Lecha Wałęsy. Jeśli dziś spotkacie komi-niarza jak z „Elementarza” Falskiego, to na pewno bę-dzie fałszyfikat – przecież każde dziecko wie, że głów-nym zajęciem tej braci jest sprzedaż kalendarzy, przy-czym trudno się ubrudzić. – To jednak pocieszające, że jeszcze nigdy tak wielu nie miało tak wiele – powie-działo Szara. – Tak, tylko szkoda, że tak wiele ozna-cza tak wiele niepotrzebnych rzeczy i tak marnej jakości – dodał Szary.

JOLKA NR 8

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY

11-LITEROWE:

• POCHODZI OD MAŁPY
• NIE DBA O POPYT
I ZŁOTE ZGŁOSKI

WYRAZY 8-LITEROWE:

• WIELKANOCNA AKCJA
LUSTERKA
• DOPCHA ŻUKA
• WYKŁADANE NA
MATURĘ
• JEJ WIARA KOŃCZY SIĘ
NA KUBIE
• ODKOŚNIKI
NA DŁONIACH

• NA WIECZORY POD
STRZECHĄ

WYRAZY 6-LITEROWE:

• ARTYSTA W BIERNIKU
• Z GÓRY SIĘ NA OKAPI
POGAPI

WYRAZY 5-LITEROWE:

• KOGUTOWI SPAĆ
NIE DAJE
• MÓGLBYM PRZYSIAŚĆ!
• DYSKUTUJE
O WYSZEHRADZIE
• WPŁYWA
NA SAMOPOCZUCIE
NURKA

• KRZESŁA W SAM
RAZ TYŁE, BY ULTRAS
PRZYCUPNAŁ

• PRZEKRACZA SŁOWIKA
• ZAPASOWA ZAŁETA
• PRZYCHODZI Z BABĄ
DO BRAKARZA

WYRAZY 4-LITEROWE:

• W ŻABIE JACQUES
DZIABIE
• WYDALI GO KOLEDZY
Z WOJSKA
• WCHODZA
W KOLIGACJE Z LODAMI
• IN VINO NIE ZADASZ

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

J10_A4_C3_ / G11_ / J8_G9_H6_ / A5_G6_D3_K9_I4_E7_G8_C6_C1_ /
H9_A1_ / G3_H8_I2_E11_E6_A3_K10_C5_ / K12_G4_E2_K3_B11_ /
H4_G1_E12_B5_D1_I12_ / K5_H11_F2_ / G10_C10_I7_B7_K1_D4_ /
C8_D9_I5_ / K7_A10_ / K11_B3_A8_E9_F11_G5_K2_.

LAUREACI Z NR. 4

KRZYŻÓWKA:

Artur Kublik, Szydłowiec; Maria
Łukasik, Wojkowice; Irena
Machowska, Kraków; Ewa Pecold,
Łódź; Iwona Wawrzyniak, Łomża

JOLKA:

Barbara Brewińska, Kościan; Ewa Hiper,
Częstochowa; Anna Leszczyńska,
Legionowo; Ryszard Malik, Rotmanka;
Maciej Tkaczyk, Piaseczno

AUTOR WIDMO

WYSTĘPUJĄ:
REPORTER TVN 24
MIEJSCE:
GSTAAD,
SZWAJCARIA

CZAS:
ŚRODKOWO-
EUROPEJSKI
BIOMET:
NIEKORZYSTNY

Kino-
teatrzyk
PRZEMKA
JURKA

REPORTER TVN24: (na tle ośnieżonego domku Romana Polańskiego,
z emfazą)

– Jak reżyser przyjął pierwsze recenzje swojego filmu, nie mam oczywiście
zielonego pojęcia. Wiem natomiast, że w jego domu ktoś rano zapalił
światło w kuchni, a dosłownie przed chwilą – w salonie!!!

(pauza)
– Błagam was, zabierzcie mnie stąd... Zimno mi...

KURTyna z powodu tajemniczej awarii prądu w Warszawie nie zapada.

LEWO
MYŚLNIE

Cel! Pal! Cel! Nie pal!
Człowiek się gubi, usiłując
zrozumieć, o co chodzi temu
Sejmowi. O zachowanie
zdrowia czy raczej jego
całkowitą utratę

ROMAN KURKIEWICZ



JAK DOBRZE WIADOMO PRZYNAJ-
mniej od XV wieku od niejakiego
Mikołaja z Kuzy, zbieżność, współ-
występowanie przeciwieństw naj-
lepiej oddaje stan rzeczy, społec-
zeństwa, wiary, niewiary, istnienia,
nieistnienia, kuli, niekuli, praw-
dy, nieprawdy, mądrości, głupoty,
chciwości, rozrzutności, czego tam
jeszcze chcecie czy nie chcecie. Ale,
ale – diabeł pali w szczegółach...

Właśnie do wyznawców Kuzań-
czyka dołączył polski parlament,
który w jednym czasie chce wypra-
cować model dwóch sprzecznych
zasad. Może wymaganie pewnej
spójności i konsekwencji to za du-
żo. Ale chodzi o prostą sprawę: na-
sze zdrowie i życie.

Prace nad ustawą o zakazie
palenia mają jednak cel: nie pal!
Nie pal tu, nie pal tam, nie pal tę-
dy i owędy, nie wówczas, potem
i wcześniej, nie palcie nigdzie
i zawsze, nie palcie nigdzie, wszę-
dzie niech będzie palenie zakaza-
ne. Dlaczego? Ano dla zdrowia.
Dla zdrowia ochrony, dla zdro-
wia opieki, dla zdrowia zachowa-
nia, dla jak najlepszego zdrowia,
dla jak najdłuższego życia, dla
jak najdłuższego zdrowego żywo-
ta, bez trosk, bez raka płuc, krta-
ni, języka, bez smrodu powszech-
nego, niedobrotliwego. Na zdro-
wie! W gardła wódka, ale bez dy-
mu. Nie ma wódki bez dymu? No
to będzie! Parlament się trosz-
czy, parlament się namyśla, par-
lament rozważa, parlament na-
mysłem się zaciąga jak elektro-
nicznym papierosem (też go za-
kazać, bo to wiadomo, co o nim

wiadomo?). Parlament będzie
bezwzględny, porozumienie po-
nad dymem podziałów, nieza-
leżnie od własnego uzależnienia,
obok wolności, obok czegoś, cze-
goś, coś tam, coś tam.

A równocześnie komisja Przy-
jazne Państwo, która miała usu-
wać absurdy i paranoje polskie-
go ustawodawstwa, mordegi, ku-
rioza, kretynstwa i nielogiczności
prawa, zakrzętała się wokół ula-
twień w dostępie do broni palnej.
Ot, potrzeba to nagle, potrzeba,
można rzec – paląca! Jest więc in-
ny cel, niż nie pal – jest cel: pal! Pal
z broni palnej każdy, kto ma lat 21
(a dlaczego nie na przykład 31?),
kto niekarany za umyślne prze-
stępstwo, kto niechory na umy-
śle, kto zameldowany. Ale dła-
czego bezdomnym nie dawać? Prze-
cież oni mają najtrudniejsze wa-
runki do przeżycia. Tak napraw-
dę o co chodzi? O ten spodziewa-
ny miliard dodatkowego obrotu
dla handlujących bronią? Chodzi
o wysyp szeryfów? O ostrzeliwanie
się przed kim, kiedy, jak?

Nie uczymy się znowu od tych,
którzy wiedzą, że funkcją po-
wsechnego czy powszechniej-
szego choćby dostępu do bro-
ni są konsekwencje, takie jak po-
strzelenia przypadkowe, naduży-
cia, samopostrzały? W Polsce nie
ma problemu za małej ilości bro-
ni w prywatnych rękach, jest pro-
blem za dużej ilości takiej broni
w prywatnych rękach (sto tysięcy
uzbrojonych myśliwych...).

To jaki jest cel? Pal? Czy nie
pal? Pal z dala? Pal w dal? □

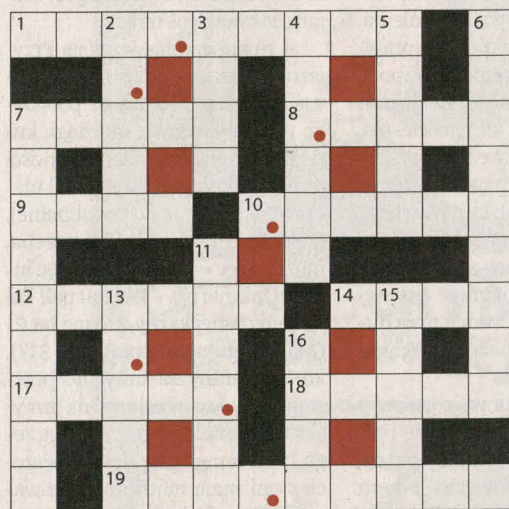
MYŚLNIE

Niebawem całą odpowiedzialność
zrzucimy na geny.

Krzysztof Bilica



KRZYŻÓWKA NR 8



Sponsorem nagród do jolki i krzyżówki jest sklep internetowy www.stereo.pl

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

1. KANAPA AMERYKANKA
7. ZIMNE KOPYTKA
8. STOLARZ MA TO W MAŁYM PALCU
9. MÓWIĄ RYSY
10. NIEJEDNEGO SPROWADZIŁY DO PARTERU
12. W PARKU POD KASZTANEM
14. GDZIE DROGA MLECZNA
17. W TYM DOMU STRASZY
18. DONOSI O PREMIERZE
19. NAPRAWIA KONTAKTY

PIONOWO:

2. NA PANNIE WŁODEJ
3. BABA Z WOZU
4. WINA WINA
5. NA RÓŻNE SKALE
6. DUŻO WYNIÓSŁ ZE SZKOŁY
7. POCHMURNY SAMURAJ
11. CŁOWIEK
13. JAJO DO JAJA
15. RUSZTOWANIE
16. SESJA ZWŁOK

stereo.pl

ROZWIĄZANIA Z NR. 6

KRZYŻÓWKA: KWINTET

Poziomo: 1. BRYLEWSKI — OKULARNIK 7. STOK OTWOREM — BRAMA 8. KŁUJON — ZADŁO 9. I PO HERBACIE — OSAD 10. MA UCHO — ŚCIANA 12. WIEKSZOŚĆ DYPLMATÓW — DYPLOM 14. DZIADEK PUTINA — MROŻ 17. ZAPISAŁ OJCEC SYNOWI — NOTES 18. BIORĄ UDZIAŁ W ZIEŻDZIE — SANKI 19. OFERER Z BORU — PARTYZANT

Pionowo: 2. STAN SKUPIENIA — UWAGA 3. BŁYŻE SERCA — ATAK 4. PRZECINAJĄ WSTĘGĘ SZOS — DROŻYCE 5. WALCZY Z ORLAMI — KADRA 6. TRZYMIOTNIN — TROJACZKI 7. TO BYŁA — BLONDYNKA 11. RINKU STAR — BOKSER 13. POCOP? — POTOP 15. JEDNA GÓŁOTA — RUNDA 16. NOSZA OKULARY — USZY

JOLKA: BALLADA O ŻOŁNIERZU, KTÓREMU UDAŁO SIĘ POWRÓCIĆ (tytuł piosenki z repertuaru Ireny Jareckiej)

Rzędami: UCHO, STEREO, TY, SOFA, ULISSES, MARSZ, ZYSK, PASTA, WOLIERA, TANY, OLBRYZYMKA, ŻOŁC

Kolumnami: ŻYWIŁ, CHROM, FANKLUBY, OSZAR, SZWEDZI, MEDUZY, SPAZMY, KENIKA, STRAŻ, PIASZĘTA, ANIOŁ, SPOŚOB

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBR 45



Wygraj jedną z 10 płyt „Jazz for Weekend” (różni wykonawcy). Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASŁO JOLKI lub PRZEKROJ.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 8” lub „krzyżówka 8”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 1 marca 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

ŁADNE RZECZY!



Islandczyk **Olafur Eliasson** uwielbia iluzje wzrokowe, co widać na okładce tomu z jego pracami

Uwielbiać **piękne kobiety i Paryż?** Nie kupujcie tego albumu ze zdjęciami: nie oderwiecie od niego oczu

OLA SALWA

Papierowy snobizm

Książki, które wcale nie są do czytania

PAMIĘTACIE, JAK WŁAŚCICIEL JEDNEJ Z RESTAURACJI KUPIŁ literaturę na kilogramy, przyciął tomy do odpowiedniego wymiaru i ustawił na półkach jako ozdobę? Spokojnie, nożyczki w przypadku „książek stolikowych” (fachowo: *coffee table books*) nie pójdą w ruch, ale zamysł jest podobny. Błyszczące albumy o fotografii, dizajnie czy architekturze – „wyguglujcie”, co akurat jest najbardziej snobistyczne – mają w całości leżeć na naszych stolikach i pachnieć. Oczywiście dobrym i drogim papierem. Obok można postawić świeczkę (nie wolno jej zapalać) albo misę z ozdobnym piaskiem. Książek nie powinniśmy czytać, w końcu chodzi tylko o to, by pokazać znajomym, że je mamy, interesujemy się sztuką i stać nas na kosztowne publikacje. No i przekładanie kartek mogłoby zniszczyć naszą ozdobę. □



Architektka **Zaha Hadid** to awangarda. Zamiast domu jej projektu kupcie sobie jej album

Słodkie opakowanie skrywa **pikantną historię** szwedzkiej prasy erotycznej



KUBA DĄBROWSKI

Jednoosobowa wojna

W fotomontażach Johna Heartfielda rewolucja artystyczna spotyka się z polityczną

BERLIN, 1899 ROK, HELMUT HERZFELD MA osiem lat, razem z trójką rodzeństwa wychowuje się w atmosferze przesiąkniętej marzeniami o rewolucji. Jego ojciec Franz jest zdeklarowanym socjalistycznym pisarzem, matka pracuje jako szwaczka i aktywnie działa w związkach zawodowych. Za działalność polityczną i rzekome bluźnierstwo Herzfeldom grozi więzienie. Podejmuje trudną decyzję: odstawiają dzieci

do rodziny na wsi, sami uciekają z kraju. Ślad po nich ginie na zawsze. Wujostwo nie jest w stanie utrzymać czwórki rodzeństwa, dlatego dzieci zostają rozdzielone.

Helmut łąduje w przyklasztornym sierocińcu. Zdradza talenty plastyczne, więc zakonnice wysyłają go do akademii sztuk pięknych. Zostaje projektantem. Jako pierwsze duże zlecenie dostaje – zupełnie przypadkowo – projekt obwolut do wzno-



Wojnę Heartfield spędza w Wielkiej Brytanii, w 1939 roku w Londynie ma słynną wystawę „Sam na wojnie przeciwko Hitlerowi”. W 1948 roku osiedla się w NRD, za zasługi naród dedykuje mu znaczek pocztowy

STOPKLATKA ROZMAITOŚCI

wienia dzieł zebranych ojca. Mający rewolucję we krwi młody grafik szybko staje się ważną postacią kipiącego lewicowymi ideami berlińskiego intelektualno-artystycznego podziemia.

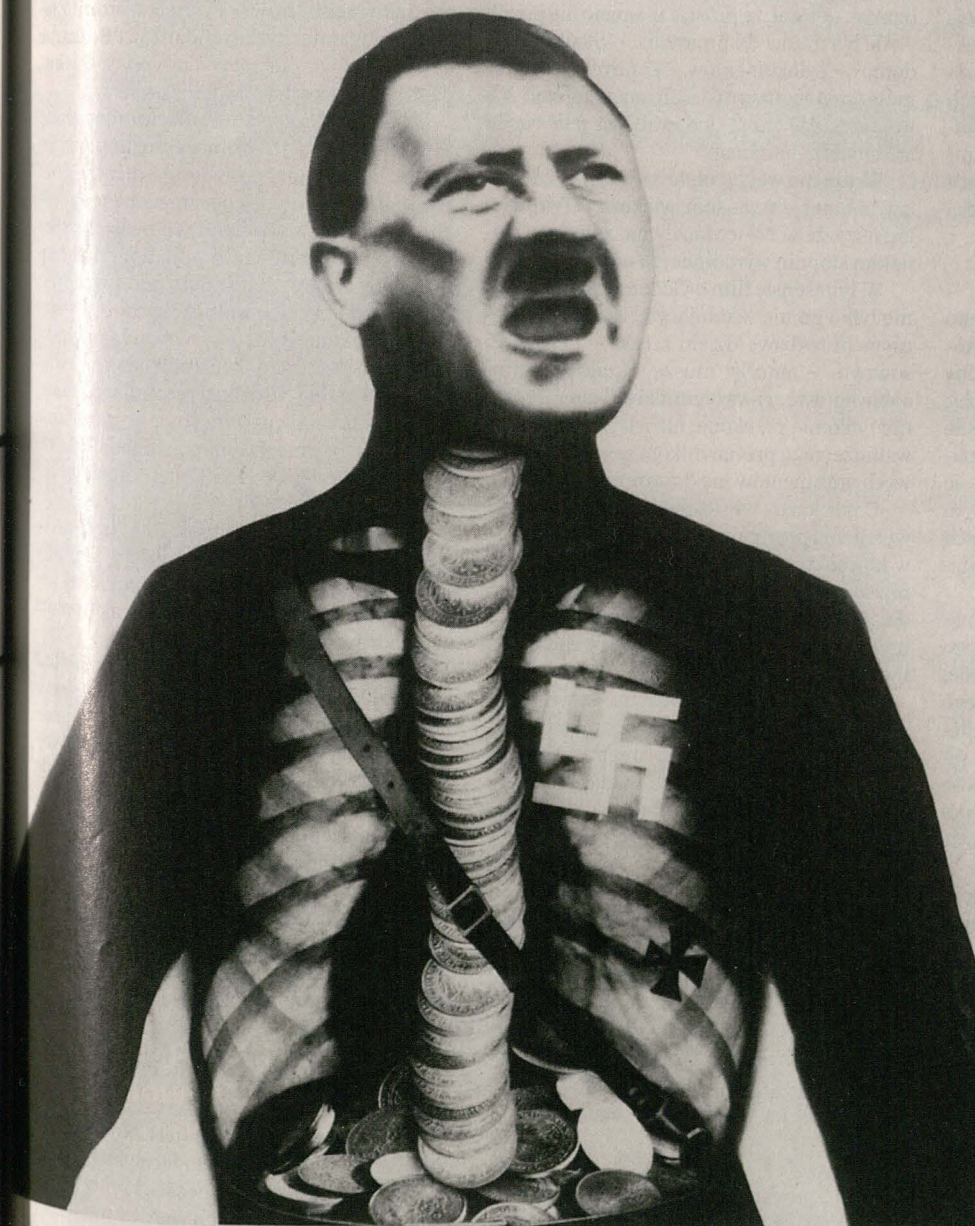
Kiedy wybucha wielka wojna, by uniknąć wysłania na front, Helmut Herzfeld skutecznie symuluje chorobę psychiczną. W ogóle wojna mu się nie podoba, nie podoba mu się nacjonalistyczny ton, w który uderza propaganda. Największą odrazę budzi w nim hasło „Niech Bóg ukarze Anglię”. W ramach protestu zmienia imię i nazwisko na angielskie John Heartfield. Podobny ruch wykonuje jego przyjaciel, malarz Georg Gross, który mianuje się bardziej słowiańskim Groszem.



Poza fotografiami prace Heartfielda inspirują też zbuntowanych muzyków. Zespół Laibach poświęcił mu utwór „Herzfelde”, a angielscy punkowcy z Discharge wykorzystali jego grafiki na okładce swojej płyty

Za namową Grosza Heartfield przystępuje do berlińskiego klubu Dada, bez niczyjej namowy zaś zapisuje się do Komunistycznej Partii Niemiec. Do spółki z Groszem zakłada satyryczno-polityczny magazyn „Die Pleite”. Specjalnością Heartfielda stają się wydobywające się z nurtu Dada fotomontaże – artysta skleja negatywy, wkompowuje w nie czcionki, zderza obraz z dopowiadającym go tekstem. W przeciwieństwie do dadaistów uważa jednak, że wycinanki nie powinny służyć wyłącznie zabawie. Publikacją manifestem staje się dla niego materiał „Fotografia jako broń” – na celowniku Heartfielda znajduje się głównie rosnący w siłę nazizm.

Niestety, broń okazuje się nie do końca skuteczna. W Wielki Piątek 1933 roku do drzwi mieszkania Heartfielda puka patrol SS. Artysta zgarnia pod pachę leżące na biurku najnowsze prace, wyskakuje przez okno (mieszka na parterze) i przez zieloną granicę dociera do Czechosłowacji. □





Bez względu na to, jakie zło i jakie dobro ma na koncie General, w jego wydaniu wartości te grzeszą głównie formalną nudą. Nudny był stan wojenny, nudna inwazja na Czechy, nudne prawie całe Wojsko Polskie, na czele którego stał przez dziesięciolecia

JERZY PILCH

2 LUTEGO

WZCZAJSZEGO WIECZORU, Z LEKKĄ TYLKO SOBĄ GARDZĄC, obejrzałem w telewizji film o generale Jaruzelskim. Nic nowego, nic odkrywczego, nic zaskakującego. Czern przewidywalna i monotonna. Słońce wschodzi i zachodzi, przemijają pokolenia, a jedyni sprawiedliwi nudni jak peerelowskie flaki z olejem. Obejrzałem i zasmakowałem mulistości. Tak jak w większości programów poświęconych historii najnowszej i tak jak w przypadku wszystkich programów, artykułów książek czy wywiadów poświęconych Generałowi zasmakowałem nudę mulistą (Ależ nudno, ależ śmiertelnie nudno! – wzdychał Janek Błoński parę tygodni po wprowadzeniu stanu wojennego).

4 LUTEGO

BEZ WZGLĘDU NA TO, JAKIE ZŁO I JAKIE DOBRO ma na koncie General, w jego wydaniu wartości te grzeszą głównie formalną nudą. Nudny był stan wojenny, nudna inwazja na Czechy, nudne prawie całe Wojsko Polskie, na czele którego stał przez dziesięciolecia. Biuro polityczne obradowało, za oknami zmieniały się pory roku, General za stołem prezydenckim siedział nieruchomo jak skała – w niektórych towarzyszach budziło to lęk, inni przepowiadali mu wielką przyszłość.

Jeśli praktycznie nieograniczona, w najczystszej postaci dyktatorska władza, którą miał przez dekadę, była jego spełnioną wielką przyszłością – to się zgadza. Jeśli słynna jego nieruchomość była figurą przyszłej nieruchomości – to się zgadza tym bardziej. Pisał i pisał w swej obronie książki, w których racje swe wykladał z morderczą pedanterią – równie pedantyczne, jak nudne są to wywody. Zażalanie na dodatek – moje argumenty też nienowe.

Jeśli tyran – to za mało samowolny, jeśli demokrat – to za bardzo do muru przyparty. W obu wypadkach – mało porywający.

Z dyktatorskiej władzy wielkiego użytku nie zrobił, gdy wybiła godzina, oddał ją bez szemrania. Jedni za to do dziś go chwala, drudzy żadnej zasługi w oddawaniu władzy przez zapędzonego w kozi róg komucha nie widzą.

– Gdyby nie on, Polska krwią by spłynęła – powiadają pierwsi. – Krwi i tak było dosyć, a władzę, miast czekać, aż sam ją odda, było mu zabrać od ręki – powiadają drudzy. – Zabrać mu władzy nie szło, moskiewskie miał gwarancje, ruscy w jego obronie by weszli! – Skąd!

Ruscy by nie weszli! Co innego mieli na głowie! Nie mieli zamiaru wchodzić! – A jakby weszli? Z dokumentów wynika, że by weszli. – Weszli by, jakby ich poprosił. – Widocznie nie prosił, bo nie weszli. – Jak nie prosił, jak prosił? – Nie prosił, a jedynie rzekomym proszeniem wejście im utrudniał, skąd odpowiedzialności uświadamiał, udawał, że prosi, a w istocie nie prosił. – Ale był gotów do proszenia. – Skąd to wiadomo? – Z dokumentów. – Z innych stenogramów co innego wynika. Breżniew mówił: *Nie wajdiom*. Ale zaraz dodawał: *Nu jeśli budiet usłożniatsia – wajdiom*.

Wejda nie wejda, białe czy czarne, zdrajca czy bohater – trwa spór wieki. Tym wieki, że w Polsce każdy ma zdanie w jednakim stopniu wyrobione, co nienaruszalne.

W tym sensie film o Generale jest dziełem nie tylko go nie szkalującym, ale wręcz – niczym prawdziwe dzieło sztuki – bezinteresownym – autorzy muszą wszakże zdawać sobie sprawę, że zwolenników Generała film nie tylko nie przekona, ale ich poparcie dlań wzmoże; jego przeciwnikom zaś żadnych nowych argumentów nie dostarczy.

U nas każdy wie swoje i swojej trzyma się wersji, nie przypominam sobie żadnej debaty, w której ktoś by rzekł do swego adwersarza: przekonały mnie pańskie argumenty. Jeśli pada: przy swoich odrębnych zdaniach zostajemy – to i tak jest znakiem najwyższego z możliwych poziomu sporu.

Ideologiczne zadowolenie wynikające ze sporządzenia czarnego wizerunku było inspiracją autorów? – każdy ma takie inspiracje, na jakie zasłużył. Miernoty, które wypłynęły na wierzch w stanie wojennym, gloryfikowały Generała wedle identycznych metod co jego obecni pogromcy. To samo to jest plemię. Z natury rzeczy Ci, co dziś Jaruzela, opluwają – w stanie (jak mawiano w Krakowie: „w stanuchu”) wojennym z analogiczną gorliwością staliby po jego stronie – nie jest to żadne gdybanie, ale chłodna i – szczerze mówiąc – banalna obserwacja skłonnej do łatwizny kondycji ludzkiej. Dzisiejsza – jakże bezkompromisowo miazdząca – krytyka Generała jest równie łatwa i równie trywialna jak ówczesna adoracja.

5 LUTEGO

NIBY NIC NOWEGO, NIBY NIC ZASKAKUJĄCEGO, ale lawina – skądinąd jak najsłuszniej – oburzonych głosów, jaka nazajutrz po wyświetle-

niu filmu w telewizji ruszyła, zadziwia dziecinnością. Niby że obraz tendencyjny, jednostronny, niesprawiedliwy. Niby że osądzający w filmie Wojciecha Jaruzelskiego historycy i inni specje wedle jednego, z definicji Generała wrogię, klucza dobrani. Gra do jednej bramki! Zestaw rytualnych kłamstw wiadomej instytucji! Pisowska wersja historii! Złamanie elementarnych standardów! Bezkarne widzimisię! Nie portret wielostronny, ale faul, pamflet, paszkwil, a nawet list gończy!

A czego się spodziewaliście, moi złoci? Wyważonych racji? Wolności rozumianej jako dar niezależnego wyboru i niczym poza rozmiarem mózgu nieograniczonego namysłu? W naszych stronach wolność nie spsobia do myślenia – że o pojednaniu czy jakimś wybaczeniu nieśmiało nie wspomnę. W naszych stronach wolność spsobia do gromienia pokonanych, do polowań z nagonką na do cna zaszczerzą i ledwo dychającą zwierzynę. W ogóle wszelkie prezentacje taniej odwagi i darmowego męstwa są popularne i w wysokiej cenie. Dlaczego sprzedaje się raczej nic niż coś? Oto fundamentalne pytanie naszych czasów.

Jednostronny wizerunek Towarzysza Generała? Zważywszy okoliczności – niechże Jego zwolennicy radzi będą z parciającej powściągliwości i leninowskiego braku polotu jego portrecistów.

W końcu w obrazie nie ma na przykład sugestii, że General od maleńkości zapowiadał się na sadystycznego tyrana, co się przejawiało obrywaniem przez paroletniego Wojtusia skrzydełek muchom i motylom. Nikt w filmie nie daje do zrozumienia, iż Jaruzelski – dla niepoznaki mając z nim dobre relacje – maczał palce w zamachu na Papieża. Nie przemyka przez ekran cień insynuacji, iż osobiście torturował pojmanych działaczy Solidarności, a zupełnie wręcz upodobanie miał w przyglądaniu się, jak Urban z Siwakiem nierzają kolejnych patriotów w kadziach z kwasem żrącym.

6 LUTEGO

NIE WYSTARZY NA DZIEŁO PATRZĄC WYŁĄCZNIE pod kątem tego, co w nim jest. Równie ważne, a nieraz ważniejsze, są rzeczy, których tam nie ma; najbardziej zaś nęcące i przez to najważniejsze są te, których nigdy ani tam nie miało być, ani nie było.

Cieszymy się, że jesteście z nami nieprzerwanie już od 13 lat. Dziękujemy za Wasze wsparcie i zaufanie.

Dzięki Wam:

- na pomoc dzieciom z chorobami nowotworowymi, przekazaliśmy 5.000.000 zł
- na program „Motylkowe szpitale”, który zmienił rzeczywistość 600 oddziałów dziecięcych przekazaliśmy 3.000.000 zł
- na dofinansowanie turnusów rehabilitacyjnych dla 5.000 niepełnosprawnych dzieci przekazaliśmy 1.400.000 zł
- na stypendia dla 500 wyjątkowo uzdolnionych dzieci przekazaliśmy 1.300.000 zł
- Otwierając Dzieciom Świat przekazaliśmy 4.000.000 zł na kilkaset wyjazdów krajowych i zagranicznych dla kilku tysięcy dzieci
- stworzyliśmy Europejskie Standardy Opieki nad Dzieckiem z Chorobą Nowotworową
- wybudowaliśmy Klinikę Hematologii i Onkologii Dziecięcej przy Akademii Medycznej w Gdańsku na którą przekazaliśmy 4.700.000 zł.

Pomóż nam więcej pomagać!

„Obecnie naszym najważniejszym celem jest dobudowa dwóch kolejnych pięter Kliniki Onkologii Dziecięcej w Gdańsku. Wierzę, że dzięki Wam pomożemy kolejnym, małym pacjentom. Każda przekazana złotówka przyczyni się do ratowania życia ciężko chorych dzieci.”

Jolanta Kwaśniewska



FUNDACJA JOLANTY KWAŚNIEWSKIEJ
Porozumienie Bez Barrier”
RS: 0000 16 75 78



spieraj nas przez cały rok:
Bank Handlowy I Oddział Warszawa
rachunku: 31 1030 1016 0000 0000 0347 4000

FUNDACJA JOLANTY KWAŚNIEWSKIEJ „Porozumienie Bez Barrier”
Al. Przyjaciół 8/1a, 00-565 Warszawa, tel./fax : (022) 849 96 62
www.fpbb.pl

FUNDACJA JOLANTY KWAŚNIEWSKIEJ
Porozumienie Bez Barrier

Oficjalny Srebrny Orzeł Stanów Zjednoczonych Ameryki

Najbardziej poszukiwana srebrna moneta inwestycyjna świata

Czyste srebro!



∅ 40,6 mm

Tylko 69 zł

- Najpopularniejsza srebrna moneta inwestycyjna na świecie
- Oficjalna moneta Stanów Zjednoczonych Ameryki
- Czyste srebro (Ag 999/1000)
- Tylko jedna rezerwacja na rodzinę
- Indywidualnie numerowany Certyfikat Autentyczności
- Ścisły limit emisji – tylko 45 000 Srebrnych Orłów 2010 dostępnych w ofercie Skarbnicy Narodowej

Karta rezerwacyjna powinna być odesłana w ciągu 10 dni. Aby uniknąć rozczarowania, zachęcamy do dokonania rezerwacji jeszcze dzisiaj.

NAJŁATWIEJ ZAMÓWIĆ

Oficjalna Linia Rezerwacyjna

(0)801 811 901*

lub z telefonów komórkowych:

22 332 10 82** (codziennie 9.00-21.00)

Internetowy System Rezerwacji:

www.srebrnyorzel.pl

* Koszt połączenia to cena 1 impulsu rozmowy lokalnej ** Koszt połączenia zgodnie z planem taryfowym danego sieci

OFICJALNY NUMER KARTY REZERWACYJNEJ: 52002506

☒ **Tak**, rezerwuję oficjalną monetę Srebrny Orzeł 2010 wraz z numerowanym Certyfikatem Autentyczności. Nie wysyłam teraz żadnych pieniędzy. Jeżeli moja rezerwacja zostanie zaakceptowana, otrzymam pisemne potwierdzenie. Otrzymam monetę Srebrny Orzeł, wraz z numerowanym Certyfikatem Autentyczności poświadczającym jej prawdziwość, za okazaną cenę tylko 69 zł (+ 9,95 zł pakowanie i przesyłka). Zakup tej monety nie wiąże się z dalszymi zobowiązaniami. Moneta Srebrny Orzeł 2010 mogę zwrócić w ciągu 14 dni od daty jej otrzymania. Koszt zakupu monety zostanie wówczas zwrócony. Moneta płatna przy odbiorze od listonosza. Rachunek zostanie dołączony do przesyłki. Proszę czytelnie wypełnić kartę rezerwacyjną i odesłać w ciągu 10 dni.

MÓJ ADRES:

Pan ☐ Pani ☐

Imię i Nazwisko

Ulica | nr domu | nr lokalu

Kod pocztowy

mięscowość

Data

Nr telefonu

Podpis

Adres e-mail

(Podanie adresu e-mail jest dobrowolne. Informujemy, że w przypadku podania adresu e-mail oferty i informacje handlowe mogą być przesyłane za pośrednictwem komunikacji elektronicznej.)

Informujemy, że Państwa dane osobowe będą przetwarzane przez Skarbnicę Narodową w celach realizacji rezerwacji i bezpośredniego informowania o innych usługach lub produktach Skarbnicy Narodowej. Mają Państwo prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania.

Zgadzam się na udostępnianie moich danych starannie wybranym firmom marketingu bezpośredniego, których produkty lub usługi mogą mnie zainteresować. Jeśli nie wyrażają Państwo zgody na udostępnianie danych, prosimy o przekreślenie kwadratu.

Skarbnica Narodowa Sp. z o.o., Aleja Jana Pawła II 19, 00-854 Warszawa, KRS: 0000241299, Sąd rejonowy dla M. St. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy, REGON: 140159953, Kapitał zakładowy: 50 000 zł, NIP: 525-234-83-37, www.skarbnicanarodowa.pl



ADRESAT:

Skarbnica Narodowa
Przegródka Poczтовая 48
ul. Domaniewska 41
02-696 Warszawa 113

Opłata przesyłki
i adresata –
umowa nr 46/04/HK
z C.P. OR Warszawa
z dnia 06.03.2008